







PISMA
ADAMA MICKIEWICZA.

PISMA

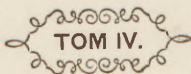
ADAMA MICKIEWICZA

WYDANIE NOWE, ZNACZNIE POWIĘKSZONE.



Z PORTRETEM AUTORA,

I OŚMIĄ RYCINAMI NA STALI.



WARSZAWA.

Nakładem S. H. MERZBACHA Księgarza.
W POZNANIU U LUDWIKA MERZBACHA.

1858.

304412

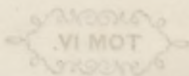


102511 L-P

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby exemplarzy.

Warszawa d. 8 (20) Lutego 1858 r.

Starszy Cenzor, **F. Sobieszkański.**



WARSAWA
w Drukarni J. Jaworskiego.

1858

KSIĘGA SIÓDMA.

R A D A.

TREŚĆ.

Zbawienne rady Bartka zwanego Prusak. — Głos żołnierski Maćka Chrzyciciela. — Głos polityczny Pana Buchmana. — Jan-kiel radzi ku zgodzie, którą Scyzoryk rościna. — Rzecz Gerwazego, s której okazują się wielkie skutki wymowy sejmowej. — Protestacya starego Maćka. — Nagłe przybycie posiłków wojennych zrywa naradę. — Hejże na Soplice!

S kolei, Bartek poseł rzecz swą wyprowadzał;
Ten, że często na strugach do Królewca chadzał,
Nazwany był Prusakiem od swych spółrodaków
Przez żart, bo nienawidził okropnie Prusaków,
Choć lubił o nich gadać; człek podeszły w lata,
W podróżach swych dalekich wiele zwiedził świata;

Gazet pilny czytelnik, polityki świadom,
 W niebytność Maćka, zwykle przewodził obradom.
 Ten tak rzecz kończył:

„Nie jest to Panie Macieju,
 Bracie mój, a nas wszystkich ojciec Dobrodzieju,
 Nie jest to marna pomoc. Jabym na Francuzów
 Spuścił się w czasie wojny, jak na czterech tuzów:
 Lud bitny, a od czasów Pana Tadeusza
 Kościuszki, świat takiego nie miał geniusza
 Wojennego, jak wielki Cesarz Bonaparte.
 Pamiętam, kiedy przeszli Francuzi przez Wartę,
 Bawiłem za granicą wtenczas, w roku pańskim
 Tysiącnym osimsetnym szóstym; właśnie z Gdań-
 [skiem
 Handlowałem, a krewnych mam wiele w Poznań-
 [skiem.
 Jeździłem ich odwiedzić; więc s Panem Józefem
 Grabowskim, który teraz jest reimentu szefem,
 A pod ów czas żył na wsi blisko Obiezierza,
 Polowaliśmy sobie na małego zwierza.
 Był pokój w Wielko-Polszcze, jak teraz na Litwie;
 Wtém nagle rozeszła się wieść o strasznój bitwie;

Przybiegł do nas posłaniec od Pana Todwena,
 Grabowski list przeczytał, krzyknął, Jena! Jena!
 Zbito Prusaków na łeb, na szyję, wygrana!
 Ja s konia ssiadłszy, zaraz padłem na kolana,
 Dziękując Panu Bogu.—Do miasta jedziemy
 Niby dla interesu, niby nic nie wiemy;
 Aż tu widzimy wszystkie Landraty, Hofraty,
 Komissarze i wszystkie podobne psu-braty
 Kłaniają się nam nisko; każdy drży, blednieje,
 Jako owad prusaczy gdy wrzątkiem kto zleje.
 My śmiejąc się, trąc ręce, prosim uniżenie
 O nowinki? pytamy, co słyhać o Jenie?
 Tu ich strach zdjął, dziwią się że o klęsce owéj
 Już wiemy; krzyczą Niemcy achary Got! o wej!
 Spuściwszy nos, do domów, z domów daléj w nogi—
 O to był rwetes! Wszystkie wielko-polskie drogi
 Pełne uciekających; Niemczyska jak mrowie
 Pełzną, ciągną pojazdy, które lud tam zowie
 Wageny i fornalki; męczyzni, kobiety,
 S fajkami, z imbryczkami, wleką pudła, bety;
 Drapią jak mogą; a my milezkiem wchodzim w radę,
 Hejże na koń, pomieszać Niemcom rejteradę;
 Nuż Landratom tłuc w karki, z Hofratów drzeć
[schaby,

A Herów oficerów łowić zaharcaby—
 A Jenerał Dąbrowski wpada do Poznania
 I cesarski przynosi rozkaz: do powstania!
 W tydzień jeden, tak lud nasz Prusaków wychłostał
 I wygnał, na lekarstwo Niemca byś nie dostał!

Skończył. Czekają wszyscy Macieja wyroku.
 Maciej głowy nie ruszył ani podniósł wzroku,
 Tylko ręką kilkakroć uderzył po boku,
 Jak gdyby szabli szukał;
 (I stąd był nazywany powszechnie Zabokiem,)
 Już wznosił głowę, słuchają w milczeniu głębokiém.
 Maciej oczekiwanie powszechne omylił,
 Nachmurzył brwi i znowu głowę na pierś schylił.
 Nakoniec odezwał się, zwolna każde słowo
 Wymawiając s przyciskiem a w takt kiwał głową.

„Cicho! skądże ta cała nowina pochodzi?
 Jak daleko Francuzi? kto nimi dowodzi?
 Wiele piechoty, jazdy? Kto wie, niechaj gada!“

Milczała patrząc na się kolejno gromada.
 „Radziłbym, rzecze Prusak, czekać Bernardyna
 Robaka, bo od niego pochodzi nowina!“

„He! czekać? szczeakać? zwlekać? przerwał Maciej
 [drugi,
 Ochrzczony Kropicielem, od wielkiej maczugi
 Którą zwał kropidełkiem; miał ją dziś przy sobie.
 Stanął za nią, na gałce zwiesił ręce obie,
 Na rękę oparł brodę, krzycząc: czekać! zwlekać!
 Sejmikować! Hem, trem, brem, a potem uciekać.
 * Ot plan pruski! po cichu sza, sza, sza, uzbrajać;
 Czy my mamy jako baby bajać? *
 Ja w Prusach nie bywałem; rozum królewiecki
 Dobry dla Pruss, a u mnie jest rozum szlachecki.
 To wiem, że kto chce bić się, niech kropidło chwyta,
 Kto umierać, ten księdza niech woła, i kwita!
 Wiecie wy co to znaczy?—Oto że wy dziady,
 Niedołęgi! He, bracia! to wyżła rzecz tropić,
 Bernardyńska kwestować, a moja rzecz kropić,
 Kropić, kropić i kwita!“—Tu maczugę głasnął,
 Za nim cały tłum szlachty kropić, kropić! wrzasnął.

Poparł stronę Chrzyciela Bartek, zwan Brzytewka
 Od szabli cienkiej, tudzież Maciej, zwan Konewka
 Od sztucca który naszał, z gardłem tak szerokiém,

Że zeń jak s konwi, tuzin kulek lał potokiem;
 Oba krzyczeli: wiwat Chrzciciel s kropidełkiem!
 Prusak chciał mówić, ale zgłuszono go zgiełkiem
 I śmiechem; precz, wołano, precz Prusaki tchórze,
 Kto tchórz niech w bernardyńskim chowa się kaptu-
 [rze.

Wtém znowu głowę zwolna podniósł Maciej stary,
 I zaczęły cokolwiek uciszać się gwary.

„Niedrwijcie, rzekł, z Robaka; znam go, to ówik
 [klecha,

Ten robaczek większego od was zgryzł orzecha;

Raz go tylko widziałem, ledwiem okiem rzucił,

Poznałem co za ptaszek; ksiądz oczy odwrócił,

Lękając się żebym go nie zaczął spowiadać;

Ale to rzecz nie moja, wiele o tém gadać!

On tu nie przyjdzie, próżno wzywać Bernardyna;

Jeśli od niego wyszła ta cała nowina,

To kto wie w jakim celu: bo to bies księżyna!

Jeśli prócz téj nowiny nic więcej nie wiecie,

Więc pociście tu przyszli? i czego wy chcecie?«

Prusak wciąż wołał a głos coraz wyżej wznosił,

Aż posłuchanie, częścią ukłonem wyprosił,
Częścią zdobył swą mową krzykliwą i cienką.

„I ja chcę bić się, wołał tłukąc się w piers ręką;
Choć kropidła nie noszę, drągiem od wiciny
Sprawiłem raz Prusakom czterem dobre chrzciny,
Którzy mię po pijanemu chcieli w Preglu topić.“

„Toś zuch Bartku, rzekł Chrzciciel, dobrze! kropić!
[kropić!

„Ależ najśłodszy Jezu! trzeba pierwój wiedzieć
S kim wojna? o co? trzeba to światu powiedzieć,
Wołał Prusak, bo jakże lud ruszy za nami?
Gdzie pójdzie, kiedy gdzie iść my nie wiemy sami?
Bracia Szlachta! Panowie! potrzeba rozsądku!
Dobrodzieje! potrzeba ładu i porządku!
Chcecie wojny, więc zrobmy konfederacją,
Obmyślmy gdzie zawiązać i pod laską czyją?
Tak było w Wielko-Polszcze;—widzim rejteradę
Niemiecką: cóż my robim? wchodzیم tajnie w radę,
Uzbrajamy i szlachtę i włościan gromadę,
Gotowi, Dąbrowskiego czekamy roskazu.
Nakoniec, hajże na koń! powstajem od razu!“

„Proszę o głos,“ zawołał Pan Komissarz s Klecka.
 Człowiek młody, przystojny, ubrany z niemiecka;
 Zwał się Buchman, lecz Polak był, w Polsce się
 [rodził;

Nie wiedzieć pewnie czyli ze szlachty pochodził,
 Lecz o to nie pytano; i wszyscy Buchmana
 Szacowali, iż służył u wielkiego pana,
 Był dobry patriota i pełen nauki,
 S ksiąg obcych wyuczył się gospodarstwa sztuki,
 I dóbr administracyą prowadził porządnie;
 O polityce także wnioskował rozsądnie,
 Pięknie pisać i gładko umiał się wysławiać,
 Zatem umilkli wszyscy, kiedy jął rosprowiać.

„Proszę o głos“ powtórzył, podwakroć odchrząknął,
 Ukłonił się i usta dzwicznymi tak brząknął.

„Preopinanci moi w swych głosach wymownych,
 Dotknęli wszystkich punktów stanowczych i głó-
 [wnych,

Dyskussyą na wyższe wzniesli stanowisko:
 Mnie tylko pozostaje, w jedno zjąc ognisko
 Rzucone trafne myśli i rozumowania:

Mam nadzieję w ten sposób spreczne zgodzić zda-
 [nia.

Dwie części w dyskusyi całej uważałem,
 Podział już jest zrobiony, idę tym podziałem.
 Naprzód: dla czego mamy przedsiębrać powstanie?
 W jakim duchu? to pierwsze żywotne pytanie;
 Drugie, rewolucyjnej władzy się dotyczy;
 Podział jest trafny, tylko przewrócić go zyczę.
 Naprzód zacząć od władzy; skoro pojmiem władzę,
 Z niej powstania istotę, duch, cel, wyprowadzę.
 Co do władzy więc—kiedy oczyma przebiegam
 Dzieje całej ludzkości i cóż w nich spostrzegam?
 Oto ród ludzki dziki, w lasach rozpierzchniony,
 Skupia się, zbiera, łączy dla wspólnej obrony,
 Obmyśla ją, i to jest najpierwsza obrada.
 Potém każdy wolności własnej częśćkę składa
 Dla dobra powszechnego: to pierwsza ustawa,
 S której jako ze źródła płyną wszystkie prawa.
 Owoż rząd na kontrakcie oparłszy społecznym,
 Podział władzy już tylko jest skutkiem koniecznym. «

„Otoż są i kontrakty! Kijowskie czy Mińskie?
 Rzekł stary Maciej; owoż i rządy Babińskie!
 „Panie Buchman, Waścina rzecz bardzo wymowna,
 Ale wymowa szum, drum: kropić! to rzecz główna. «

„To, to, to! pisnął, ręce trąc Bartek Brzytewka,
 Od Chrzciciela do Maćka biegając, jak cewka
 Od jednej strony krosien przerzucana w drugą:
 Tylko ty Maćku z różgą, ty Maćku z maczugą.“

„Komenda, przerwał Chrzciciel, dobra ku paradzie;
 U nas była komenda w Kowieńskiej brygadzie
 Krótka a węzłowata: strasz, sam się nie strachaj,—
 Bij, nie daj się,—postępuj często, gęsto machaj:
 Szach, mach!“—„To, pisnął Brzytwa, to mi regu-
 [lament

Po co tu pisać akta, po co psuć atrament?
 Konfederacyi trzeba? o to cała sprzeczka?
 Jest Marszałek nasz Maciej, a laska różeczka.“
 Niech żyje, krzyknął Chrzciciel, Kurek na kościele!
 Szlachta odpowiedziała. Vivant Kropiciele!

Ale wkątach szmer powstał, choć w środku tłumiony:
 Widać że się rozdziela rada na dwie strony.
 Buchman krzyknął: ja zgody nigdy niepochwalam!
 To mój system! Ktoś drugi wrzasnął: niepozwalam!
 Inni s kątów wtórują. Nareszcie głos gruby
 Ozwał się przybyłego szlacheica Skołuby:

„Cóż to Państwo Dobrzyńscy! a to co się święci?
 A my, czy to będziemy s pod prawa wyjęci?
 Kiedy nas zapraszano z naszego zaścianku,
 A zapraszał nas Klucznik Rembajło Mopanku,
 Mówiono nam że wielkie rzeczy dziać się miały,
 Że tu nie o Dobrzyńskich, lecz o powiat cały,
 O całą szlachtę idzie; toż i Robak bąkał,
 Choć nigdy niedokończył i zawsze się jąkał,
 I ciemno się tłómaczył;—wreście koniec końców,
 My zjechali, sąsiadów zwołali przez gońców.
 Nie sami tu Panowie Dobrzyńscy jesteście,
 Z różnych innych zaścianków jest tu nas ze dwieście;
 Wszyscy więc radźmy. Jeśli potrzeba Marszałka,
 Głosujmy wszyscy, równa u każdego gałka.
 Niech żyje równość!“

Zatém dwaj Terajewicze

I czterej Stupułkowscy i trzech Mickiewiczze,
 Krzyknęli: Wiwat równość!—stojąc za Skołąbą.
 Tymczasem Buchman wołał: zgoda będzie zguba!
 Kropiciel krzyczał: bez was obejdzem się sami;
 Niech żyje nasz Marszałek, Maciek nad Maćkami!
 Héj do laski!—Dobrzyńscy krzyczą: zapraszamy!

A obca szlachta woła w głos: niepozwalamy!
 Rostrycha się tłum na dwie kupy rozdzielony,
 I kiwając głowami w dwie przeciwne strony,
 Tamci, niepozwalamy—ci krzyczą, prosimy.

Maciek stary w pośrodku, jeden siedział niemy,
 I jedna głowa jego była nieruchoma.
 Przeciw niemu stał Chrzciiciel, zwieszony rękoma
 Na maczudze, a głowę na końcu maczugi
 Wspartą kręcił, jak tykwą wbitą na kij długi,
 I na przemiany, to w tył, to się naprzód kiwał,
 I ustawicznie, kropić, kropić! wykrzykiwał.
 Wzdłuż izby zaś przebiegał Brzytewka ruchawy,
 Ciągłe od Kropiciela do Macieja ławy.
 Konewka zaś powoli wszecz izbę przechodził
 Od Dobrzyńskich do szlachty, niby to ich godził;
 Jeden wciąż wołał, golić,—a drugi zalewać!
 Maciek milczał, lecz widno że się zaczął gniewać.

Ćwierć godziny wrzał hałas, gdy na tłum wrze-
 [szczący,
 Ze środka głów, wyskoczył w górę słup błyszczący:
 Był to rapier sążnistej długości, szeroki
 Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki.

Widocznie miecz Teutoński z Norymberskiej stali
Ukuty: wszyscy milcząc, na broń poglądali.

* Była wieść że od przodka Dobrzyńskich ta klinga
Wydarta pod Grundwaldem z rąk Mistrza Junginga.*

Kto ją podniósł? niewidać, lecz zaraz zgadniono;

„To Scyzoryk, niech żyje Scyzoryk! krzykniono,

Wiwat Scyzoryk, klejnot Rębajłów zaścianku,

Wiwat Rębajło, Szczerbiec, Półkoziec, Mopanku!“

Wnet Gerwazy (to on był) przez tłum się przecisnął

Na środek izby, wkoło scyzorykiem błysnął,

Potém, w dół chyląc ostrze na znak powitania

Przed Maćkiem, rzekł: „Rózcze Scyzoryk się kła-

[nia.

Bracia, szlachta Dobrzyńscy: ja nie będę radził

Nic a nic, powiem tylko po com was zgromadził,

A co robić, jak robić, decydujcie sami.

Wiecie, słuch dawno chodzi między zaściankami,

Że się na wielkie rzeczy zanoszą na świecie;

Ksiądz Robak o tém gadał, wszakże wszyscy wiecie?“

— „Wiemy!“ krzyknęli — „Dobrze owoż mądrój gło-

[wie,

Ciągnął mówca spojrzawszy bystro, dość dwie słowie.

Nie prawdaż?“ — „prawda“ rzekli — Gdy Cesarz

[Francuski

Rzekł Klucznik, stąd przyciąga, a stamtąd Car Ruski,
 Więc wojna, car s cesarzem, królowie s królami
 Pójdą za łby, jak zwykle między monarchami;
 A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego
 Będzie dusić, my duśmy mniejszych, każdy swego.
 Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali,
 Jak zacznem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali,
 I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita.

Nie prawdaż? — »prawda! rzekli, jakby s książki
 [czyta.«

»Prawda! powtórzył Chrzecieli, krop a krop i kwita.«

„Ja zawsze gotów golić ozwał się Brzytewka;“

»Tylko zgódźcie się, prosił uprzejmie Konewka,
 Chrzecieli i Macieju, pod czyją iść wodzą?“

Ale mu przerwał Buchman: »Niech się głupi godzą,
 Dyskussye publicznej sprawie nie zaszkodzą.

Proszę milczeć, słuchamy, sprawa na tém zyska,
 Pan Klucznik ją z nowego zważa stanowiska.«

»Owszem, zawołał Klucznik, u mnie po staremu,
 O wielkich rzeczach myśleć należy wielkiemu;

Jest na to Cesarz, będzie Król, Senat, posłowie.

Takie rzeczy Mopanku, robią się w Krakowie

Lub w Warszawie, nie u nas w zaścianku w Do-
 [brzynie;

Aktów konfederackich nie piszą w kominie Kredą, nie na wicinie, lecz na pargaminie. Nie nam to pisać akta: ma Polska pisarzy Koronnych i Litewskich, tak robili starzy. Moja rzecz Scyzorykiem wyrzynać—Kropidłem Pluskać“ dodał Kropiciel—„i wykalać szydłem,“ Krzyknął Bartek Szydełko, dobywszy swój szpadki.

„Wszystkich was, kończył Klucznik, biorę tu na [świadki, Czy Robaknie powiadał, że wprzód nim przyjmiecie W dom wasz Napoleona, trzeba wymieść śmiecie? Słyszeliście to wszyscy, a czy rozumiecie? Któż jest śmieciem powiatu? kto zdradziecko zabił Najlepszego s Polaków, kto go okradł, zgrabiał? I chce jeszcze ostatki wydrzeć z rąk dziedzica; Któż to? mamże wam gadać?“— „A jużci Soplica, Przerwał Konewka; to łotr!“— „Oj to ciemężyciel“ Pisnął Brzytewka— „Więc go kropić! dodał Chrzci- [ciel.“

„Jeśli zdrajca, rzekł Buchman, więc na szubienicę.“ Hajże, krzyknęli wszyscy, hajże na Soplicę!

Lecz Prusak śmiał podjąć się Sędziego obrony,
 I wołał z wniesionemi ku szlachcie ramiony:
 „Panowie Bracia! aj! aj! a na boskie rany!
 Co znowu? Panie Klucznik, czy Waść opętany?
 Czy o tém była mowa! że ktoś miał wariata,
 Banita bratem, to co? karać go za brata!
 To mi po chrześcijańsku! są tu w tém konszachty
 Hrabiego—żeby Sędzia był ciężki dla szlachty,
 Nie prawda! dalibóg że to wy tylko sami
 Pozywacie go, a on zgody szuka z wami,
 Ustępuje ze swęgo, jeszcze grzywny płaci.
 Ma proces z Hrabią, cóż stąd? obadwa bogaci;
 Niechaj pan drze się s panem, cóż to do nas braci?
 Pan Sędzia ciemiężyciel! on pierwszy zabraniał
 Ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał,
 Mówiąc że to grzech. Nie raz u niego gromada
 Chłopska, ja sam widziałem, do stołu z nim siada;
 Płacił za włość podatki, a nie tak jest w Klecku,
 Choć tam Waść, Panie Buchman, rządysz po nie-
 [miecku.
 Sędzia zdrajca! my się z nim od infimy znamy:
 Pocziwe było dziecko i dziś taki samy;
 Ilekroć s Prus powracam, chcąc zmyć się z niem-
 [czynny,

Wpadam do Soplicowa, jak w centrum polszczyzny;
 Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!
 Dalbóg Dobrzyńscy! ja wasz brat, ale Sędziego
 Niepozwole pokrzywdzić, nie będzie nic s tego.
 Nie tak Panowie Bracia w Wielko-Polszcze było:
 Co za duch! co za zgoda! aż przypomnieć miło!
 Nikt tam podobną fraszką nie śmiał rady mieszać.“
 „To nie fraszka zawołał Klucznik, łotrów wieszając!“

Szmer wzmagął się; wtém Jankiel posłuchania
 [prosił
 Na ławę wskoczył, stanął, i nad głowy wznosił
 Brodę jak wiechę, co mu aż do pasa wisi;
 Prawą ręką zdjął zwolna z głowy kołpak lisi,
 Lewą ręką jarmułkę zruszoną poprawił,
 Potém lewicę za pas zatknął i tak prawił,
 Kołpakiem lisim w kolej kłaniając się nisko:

„Nu, Panowie Dobrzyńscy, ja sobie żydzisko;
 Mnie Sędzia ni brat, ni swat; szanuję Sopliców
 Jak Panów bardzo dobrych i moich dziedziców;
 Szanuję też Dobrzyńskich, Bartków i Maciejów,

Jako dobrych sąsiadów, Panów Dobrodziejów;
 A mówię tak: jeżeli Państwo chcą gwałt zrobić
 Sędziemu, to bardzo źle, możecie się pobić,
 Zabić—a assesory? a sprawnik? a turma?
 Bo w wiosce u Soplicy jest żołnierzy hurma,
 Wszystko jegry! Assesor w domu; tylko świśnie,
 Tak wraz przymaszerują, stoją jak umyślnie.
 A co będzie? a jeśli czekacie Francuza,
 To Francuz jest daleko jeszcze, droga duża.
 Ja żyd, o wojnach nie wiem, a byłem w Bielicy,
 I widziałem tam żydków od samej granicy;
 Słysząc że Francuz stoi nad rzeką Łośosną,
 A wojna jeśli będzie, to chyba aż wiosną.
 Nu, mówię tak, czekajcie; wszak dwór Soplicowa
 Nie budka kramna, co się rozbierze, w wóz schowa
 I pojedzie: dwór jak stał, do wiosny stać będzie;
 A Pan Sędzia, to nie jest żydek na arędzie,
 Nie uciecze, to jego można znaleźć wiosną;
 A teraz rozejdźcie się, a niegadać głośno
 O tém co było, bo to gadać, to daremno!
 A czyja łaska Panów Szlachty, proszę ze mną.
 Moja Siora powiła małego Jankielka,
 Ja dziś traktuję wszystkich, a muzyka wielka!

Każę przynieść kozicę, basetłę, dwie skrzypiec,
 A Pan Maciek Dobrodziej lubi stary lipiec
 I nowego mazurka; mam nowe mazurki.
 A wyuczyłem śpiewać fein moje bachurki. «

Wymowa lubionego powszechnie Jankiela
 Trafiła do sere; powstał krzyk, oklask wesela,
 Szmer przyzwolenia nawet za domem się szerzył,
 Gdy Gerwazy w Jankiela scyzorykiem zmierzył.
 Żyd skoczył, wpadł w tłum; Klucznik wołał: „Precz
 [ztąd żydzie!

Nie tkaj palców między drzwi, nie o ciebie idzie!
 Panie Prusak! że Waszec Sędziowską handlujesz
 Parą wicin mizernych, to już zań gardłujesz?
 Zapomniałeś Mopanku, że ojciec Waszécin
 Spławił do Prus dwadzieścia Horeszkowskich wi-
 [cin?

Stąd się z bogacił i on i jego rodzina;
 Ba, nawet wszyscy, ilu was tu jest z Dobrzyzna.
 Bo pamiętacie starzy, słyszeliście młodzi,
 Że Stolnik był was wszystkich ojciec i dobrodziej:
 Kogoż on kommissarzem słał do swych dóbr Piń-
 [skich?

Dobrzyńskiego! rachmistrzów kogo miał? Dobrzyń-
 [skich.
 Marszałkostwa, kredensu nie zwierzał nikomu,
 Tylko Dobrzyńskim: pełno Dobrzyńskich miał w do-
 [mu!

On forytował wasze w trybunałach sprawy,
 On wyrabiał u króla dla was chleb łaskawy,
 Dzieci wasze kopami pomieszczał w konwikcie
 Pijarskim, na swym koszcie, odzieży i wikcie;
 Dorosłych promował także swym nakładem:
 A dla czego to robił? że wam był sąsiadem!
 Dziś Soplica kopcami tyka waszych granic,
 Cóż kiedy wam dobrego zrobił on?«

— „Nic a nic!

Przerwał Konewka: bo to wyrosło s szlachciury,
 A jak dmie się, phu, phu, phu, jak nos drze do góry!
 Pamiętacie, prosiłem na córki wesele;
 Poję, nie chce pić, mówi: nie piję tak wiele,
 Jak wy szlachta; wy szlachta ciągniecie jak bąki:
 Ot magnat! delikacik z marymonckiej mąki!
 Nie pił, leliśmy w gardło, krzyczał: gwałt się dzieje!
 Czekajno, niech no ja mu s Konewki naleję.«

— „Filut, zawołał Chrzyciel: oj i ja go kropnę
 Za swoje. Mój syn było to dziecko rostopne,
 Teraz tak zgłupiał, że go nazywają Sakiem,
 A s przyczyny Sędziego został głupcem takim.
 Mówilem, po co tobie leść do Soplicowa,
 Jeżeli cię tam złowię! niech cię Bóg uchowa.
 On znowu smyk do Zosi, dybie przez konopie,
 Złowiłem go; a zatém za uszy i kropię;
 A on beczy i beczy jak maleńkie chłopie:
 Ojczy, choć zabij, muszę tam iść; a wciąż szłocha—
 Co tobie? a on mówi, że tę Zosię kocha!
 Chciałby popatrzeć na nią, żal mi nieboraka,
 Mówię Sędziemu: Sędzio, daj Zosię dla Saka;
 On mówi: jeszcze mała, czekaj ze trzy lata,
 Jak sama zechce; łotr! łże, już ją komuś swata,
 Słyszałem; już ja się tam na wesele wkręcę,
 Ja im łożę małżeńskie kropidłem poświęcę.“

— „I taki łotr, zawołał Klucznik, ma panować?
 I dawnych panów, lepszych od siebie rujnować?
 A Horeszków i pamięć i imię zaginie!
 Gdzież jest wdzięczność na świecie? — nie ma jój
 [w Dobrzynie.

Strach wam turmy! czyż to ja wzywam na rozboje?
 Broń Boże! Szlachta Bracia! ja przy prawie stoję.
 Wszak Hrabia wygrał, zyskał dekretów nie mało;
 Tylko je exekwować! tak dawniej bywało:
 Trybunał pisał dekret, szlachta wypełniała,
 A szczególnie Dobrzyńscy, i ztąd wasza chwała.
 Nie wspomnę tutaj wielkich zajazdów bez liku,
 S których wyszliśmy zawsze jak szlachcie przystało.
 I z zyskiem i aplauzem powszechnym i s chwałą!
 Po cóż o tém wspominać! dziś darmo Pan Hrabia,
 Sąsiad wasz, sprawę toczy, dekrety wyrabia,
 Już nikt z was pomódz nie chce biednemu sierociel!
 Dziedzic Stolnika tego, który żywił krocie,
 Dziś nie ma przyjaciela, oprócz mnie, Klucznika,
 I ot tego wiernego mego scyzoryka!«

—,I kropidła, rzekł Chrzyciel, gdzie ty Gerwa-
 [zeńku
 Tam i ja; póki ręka, póki plusk plask w ręku.
 Co dwaj! to dwaj! Dalibóg, mój Gerwazy! ty miecz,
 Ja mam kropidło; dal-bóg! ja kropię a ty siecz,
 I tak szach, mach, plusk i plask; oni niech gawędzą!«

—«Toć i Bartka, rzekł Brzytwa, dracia nie odpę-
[dzą,

Już co wy namydlicie, to ja wszystko zgołę.»

—»I ja przydał Konewka z wami ruszyć wolę,
Gdy ich nie można zgodzić na obiór marszałka;

Co mi tam głosy, galki, u mnie insza gałka:
(Tu wydobył s kieszeni garść kul, dzwonił niemi)

Ot gałki! krzyknął, w Sędzię gałkami wszystkiemi!«

—»Do was, wołał Skołuba, do was się łączymy!«

—»Gdzie wy, krzyknęła szlachta, gdzie wy, to tam
[i my!

Niech żyją Horeszkowie! wiwant Półkozice!

Wiwat Klucznik Rębajło! Hajże na Soplice!«

I tak, wszystkich pociągnął wymowny Gerwazy:

Bo wszyscy ku Sędziemu mieli swe urazy,

Jak zwyczajnie w sąsiedztwie, to o szkodę skargi,

To o wyręby, to o granice zatargi.

Jednych gniew, drugich tylko poburzała zawiść

Bogactw Sędziego—wszystkich zgodziła nienawiść.

Cisną się do Klucznika, podnoszą do góry

Szable, pałki,—

Aż Maciek, dotychczas ponury,
 Nieruchomy, wstał z ławy i wolnymi kroki
 Wyszedł na środek izby, i podparł się w boki;
 I spójrzawszy przed siebie i kiwając głową,
 Zabrał głos, wymawiając zwolna każde słowo,
 S przestankiem i przyciskiem: »A głupi! a głupi!
 A głupi wy! na kim się mleło, na was skrupi.
 Nie można było, głupi, ani się rozmówić,
 Głupi, ani porządku, ani postanowić
 Wodza nad wami, głupi! a niech no kto poda
 Osobiste urazy, głupi, u was zgoda!
 Precz stąd! bo jakem Maciek, was, do milionów
 Kroćset kroci tysięcy fur beczek furgonów,
 Diabłów!!!«—

Ucichli wszyscy jak rażeni gromem!
 Ale razem straszliwy powstał krzyk za domem:
 »Wiwat Hrabia!« On wjeżdżał na folwark Maciejów,
 Sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dzokiejów.
 Hrabia siedział na dzielnym koniu, w czarnym stroju,
 Na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju,
 Szeroki, bez rękawów, jak wielka opona,

Spięty klamrą u szyi, spadał przez ramiona;
 Kapelusz miał okrągły z piórem, w ręku szpadę.
 Okręcił się i szpadą powitał gromadę.

„Wiwat Hrabia! krzyknęli, z nim żyć i umierać!“
 Szlachta zaczęła s chaty przez okna wyzierać
 I za Klucznikiem coraz ku drzwiom się napierać;
 Klucznik wyszedł, a za nim tłum przeze drzwi runął,
 Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął, zasunął,
 I przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: „głupi!“

A tym czasem się szlachta do Hrabiego kupi;
 Idą w karczmę, Gerwazy wspomniał dawne czasy,
 Kazał sobie trzy podać od kontuszów pasy,
 Na nich ze sklepu karczmy beczki wydobywa,
 Trzy: jedną miodu, drugą wódki, trzecią piwa.
 Wyjął goździe, wnet s szumem trysnęły trzy strugi
 Jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi,
 Trzeci żółty; troistą grają w górze tęczę,
 A spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą.
 Wre szlachta, tamci piją, ci Hrabiemu życzą
 Lat setnych, wszyscy, hajże na Soplice! krzyczą.

Jankiel wymknął się milczkiem, oklep; Prusak róż-
 [wnie,
 Niesłuchany, choć jeszcze rozprawiał wymownie,
 Chciał zmykać, szlachta w pogoń, wołając że zdra-
 [dził.

Mickiewicz stał zdaleka, ni krzyczał, ni radził,
 Ale z miny poznano, że coś złego knuje,
 Więc do kordów, i hajże! on się rejteruje,
 Odcina się, już ranny, przyparty do płotów,
 Gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czeczotów;
 Zaczém rozjęto szlachtę, ale w tym rozruchu,
 Dwóch było ciętych w ręce, ktoś dostał po uchu.
 Reszta wsiadała na koń.—

Hrabia i Gerwazy

Porządkują, rozdają orężę, roskazy.

W końcu, wszyscy przez długą zaścianku ulicę
 Puscili się w cwał krzycząc: „Hajże na Soplice!”

ZAWAŻD

KSIĘGA ÓSMA.



Jankowi wytknął się złością, obłą. Przekł ni-
 [nie]
 Nieśliczany, nieśliczany rozprawił wyrozumia-
 Chciał zaryć, wleciał w pogon, widując że zdm-
 [nie]
 Miałem i stał się, i krzyżem, ni radził,
 Ale z ulny poznano, że coś się stało,
 Właż do korytów, i hajtał w...
 Udział się, jak rano, pomyślał do siebie,
 Gdy na stopy i na odwiec Jan i brach Cezarego
 Zawsze po...
AMBO A OJEN
 Drobek było ciętych w ręce, kto dostał po...
 Rozstał się z...

Wielka i Główna

Porządku, rozdał oręta, rękawy.
 W końcu, wszyscy przez długie...
 Pasał się w...



ZAJAZD.

TREŚĆ.

Astronomia Wojskiego—Uwaga Podkomorzego nad kometami—
Tajemnicza scena w pokoju Sędziego—Tadeusz chcąc zręcznie
wyplatać się wpada w wielkie kłopoty — Nowa Dydo—Zajazd
—Ostatnia woźniczka protestacya—Hrabia zdobywa Soplico-
wo—Szturm i rzeź—Gerwazy piwnicznym—Uczta Zajazdowa.

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura;
Kiedy nad głowy ludzi przeleciawszy chmura
Stanie i grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma,
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gro-
[mie:
Téj ciszy chwila była w Soplicowskim domie.

Mysliłbyś, że przecucie nadzwyczajnych zdarzeń,
 Ścięło usta, i wzniosło duchy w kraje marzeń.

Po wieczerzy i Sędzia i goście ze dworu
 Wychodzą na dziedziniec, używać wieczoru,
 Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą;
 Całe grono s posępną i cichą postawą,
 Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
 Ścieśniać, i coraz bardziej ku ziemi przybliżać,
 Aż oboje skrywszy się pod zasłonę ciemną
 Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,
 Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
 Szeptach, szmerach i słowach na wpół wymówio-
 [nych,
 S których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
 Szepnęły wiotkiem skrzydłem niedoperze, lecą
 Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
 Bliżej zaś niedoperzów, siostrzyczki émy, rojem
 Wiją się, przywabione białym kobiet strojem,
 Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice,

I w jasne oczki, które biorą za dwie świece.
 Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
 Kręci się grając jako harmoniki sfera;
 Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
 Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
 Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty,
 Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak
 [łaki,
 Już mu zdala wtorują z bagien basem baki,
 Już bekasy do góry porwawszy się wiją,
 I bekając raz po raz, jak w bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcej wrzawy,
 Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy;
 Jako zaklęte w górach kaukazkich jeziora,
 Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
 Jeden staw co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
 Modrą pierśią jęk wydał cichy, uroczysty;
 Drugi staw z dnem błotnistém i gardzielem mętным,
 Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętным;

W obu stawach piałły żab niezliczone hordy,
 Oba chory zgodzone w dwa wielkie akordy.
 Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nóci s cicha;
 Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha;
 Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
 Jak grające na przemian dwie arfy Eola.

Mrok gęstniał; tylko w gaju i około rzeczki
 W łożach, błyskały wilcze oczy jako świeczki,
 A dalej u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
 Tu i ówdzie ogniska pastuszych noclegów.
 Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
 Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.
 One teraz z pomroku odkryte w połowie,
 Drzémały obok siebie, jako małżonkowie
 Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona
 Ziemi pierś, co księżycem świecci posrebrzona.

Już naprzeciw księżyca, gwiazda jedna, druga
 Błysnęła; już ich tysiąc, już milion mruga.
 Kastor z bratem Poluxem jaśnieli na czele,
 Zwani niegdyś u Sławian Lele i Polele,

Teraz ich w zodiaku gminnym znów przechrzczono,
 Jeden zowie się *Litwą*, a drugi *Koroną*.

Daléj niebieskiéj *Wagi* dwie szale błyskają,
 Na nich Bóg w dniu stworzenia (starzy powiadają)
 Ważył s kolei wszystkie planety i ziemię,
 Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię;
 Potem wagi złociste zawiesił na niebie:
 Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

Na północ, świeci okrąg gwiazdzistego *Sita*,
 Przez które Bóg (jak mówią) przesiał ziarnka żyta,
 Kiedy je z nieba zrzucał dla Adama ojca,
 Wygnanego za grzechy z roskoszy ogrójca.

Nieco wyżéj *Dawida* wóz, gotów do jazdy;
 Długi dyszel kieruje do polarnéj gwiazdy.
 Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
 Że nie słusznie pospółstwo zwie go Dawidowym,
 Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy,
 Jechał Lucyper, Boga gdy wyzwał w zapasy,
 Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie
 [progi,

Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrzucił z drogi.
 Teraz popsuty między gwiazdami się wala,
 Naprawiać go Archaniół Michał nie pozwala.

I to wiadomo także u starych Litwinów,
 (A wiadomość tę pono wzięli od rabinów)
 Że ów zodyakowy *Smok*, długi i gruby
 Który gwiazdziste wije po niebie przeguby,
 Którego mylnie wężem chrzcą astronomowie,
 Jest nie wężem lecz rybą, Lewiatan się zowie.
 Przed czasy mieszkał w morzach, ale po potopie
 Zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie
 Tak dla osobliwości, jako dla pamiątki,
 Anieli zawiesili jego martwe szczątki.
 Podobnie pleban Mirski zawiesił w kościele
 Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Takie gwiazd historye, które s książek zbadał,
 Albo słyssał s podania, Wojski opowiadał;
 Chociaż wieczorem słaby miał wzrok Wojski stary,
 I nie mógł w niebie dojrzeć nic przez okulary,

Lecz na pamięć znał imię i kształt każdej gwiazdy,
Wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy.

Dziś mało go słuchano, nie zważano wcale
Na *Sito*, ni na *Smoka*, ani też na *Szale*;
Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie
Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie.
Był to *kometa* pierwszej wielkości i mocy,
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy;
Krwawém okiem z ukosa na rydwan spojiera,
Jakby chciał zająć puste miejsce *Lucypera*,
Warkocz długi w tył rzucił, i część nieba trzecią
Obwinał nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią,
I ciągnie je za sobą, a sam wyżej głową
Mierzy, na północ, prosto w gwiazdę *biegunową*.

Z niewymowném przecuciem cały lud Litewski
Poglądał każdej nocy na ten cud niebieski,
Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków:
Bo zbyt często słyszano krzyk złowieszczych ptaków,
Które na pustych polach gromadząc się w kupy,
Ostrzyły dzioby jakby czekając na trupy.

Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły,
 I jak gdyby śmierć wietrząc przeraźliwie wyły:
 Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru
 Widzieli jak przez smętarz szła dziewczica moru,
 Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,
 A w lewém ręku chustką skrwawioną powiewa.

Różne stąd wnioski tworzył, stojący przy płocie
 Cywón, co przyszedł zdawać sprawę o robocie,
 I pisarz prowentowy w szeptach z ekonomem.

Lecz Podkomorzy siedział na przyźbie przed do-
 [mem.

Przerwał rozmowę gości, znać że głos zabiera;
 Błysnęła przy księżycu wielka tabakiera
 (Cała s szczerego złota, z brylantów oprawa,
 We środku za szkłem portret Króla Stanisława)
 Zadzwoił w nią palcami, zażył i rzekł: „Panie
 Tadeuszu, Waścine o gwiazdach gadanie,
 Jest tylko echem tego co słyszałeś w szkole.
 Ja o cudzie, prostaków poradzić się wolę.
 I ja Astronomii słuchałem dwa lata
 W Wilnie, gdzie Puzynina, mądra i bogata

Pani, oddała dochód z wioski dwiestu chłopów,
 Na zakupienie różnych szkieł i teleskopów.
 Ksiądz Poczobut, człek sławny, był Obserwatorem,
 I całej Akademii naonczas Rektorem,
 Przecież w końcu katedrę i teleskop rzucił,
 Do klasztoru, do cichéj celi swéj powrócił,
 I tam umarł przykładowie. Znam się też s Sniadeckim,
 Który jest mądrym bardzo człkiem, chociaż świe-
 [ckim;
 Owoż astronomowie, planetę, kometę,
 Uważają tak jako mieszczanie karetę;
 Wiedzą czyli zajeżdża przed króla stolicę,
 Czyli z rogatek miejskich rusza za granicę;
 Lecz kto w niéjjechał? po co? co s królem rozmawiał?
 Czy król posła s pokojem czy z wojną wyprawiał?
 O to ani pytają. Pomnę, za mych czasów
 Gdy Brancecki karetą swą ruszył do Jassów,
 I za tą niepoczciwą pociągnął karetą
 Ogon Targowiczaków, jak za tą kometą:
 Lud prosty, choć w publiczne nie mięszał się rady,
 Zgadnął zaraz że ogon ów jest wróżbą zdrady.
 Słysząc, że lud dał imie miotły téj komecie,
 I powiada że ona milion wymiecie.“

A na to rzekł z ukłonem Wojski: „Prawda, Jasnie
 Wielmożny Podkomorzy: przypominam właśnie,
 Co mnie mówiono niegdyś małemu dziecięciu,
 Pamiętam, choć nie miałem wówczas lat dziesięciu,
 Kiedy widziałem w domu naszym nieboszczyka
 Sapiechę, pancernego znaku Porucznika,
 Co potem był nadwornym Marszałkiem Królewskim,
 Nakoniec umarł Wielkim Kanclerzem Litewskim,
 Miawszy lat sto i dziesięć. Ten za Króla Jana
 Trzeciego był pod Wiedniem, w chorągwi Hetmana
 Jabłonowskiego; owóz ów Kanclerz powiadał,
 Że właśnie kiedy na koń Król Jan trzeci siadał,
 Gdy Nuncyusz Papieski żegnał go na drogę,
 A poseł Austryacki całował mu nogę,
 Podając strzemię (Poseł zwał się Wilczek Hrabia)
 Król krzyknął: Patrzenie co się na niebie wyrabia!
 Spójrzają, alić nad głowy suwał się kometa,
 Drogą, jaką ciągnęły wojska Mahometa,
 S wschodu na zachód; potem i ksiądz Bartochowski,
 Składając panegiryk na tryumf krakowski,
 Pod godłem *Orientis Fulmen*, prawił wiele
 O tym komecie; także czytam o nim w dziele
 Pod tytułem *Janina*, gdzie jest opisana

Cała wyprawa Króla nieboszczyka Jana,
I wyryta chorągiew wielka Mahometa,
I ów taki jak dziś go widzimy kometa. «

„Amen—rzekł na to Sędzia, ja wróżbę Waszeci
Przyjmuję; oby z gwiazdą zjawił się Jan trzeci!
Jest na Zachodzie wielki dziś bohater; może
Kometa go przywiedzie do nas; co daj Boże!«

Na to rzekł Wojski, głowę pochyliwszy smutnie:

„Kometa czasem wojny, czasem wróży klótnie!
Nie dobrze iż się zjawił tuż nad Soplicowem,
Może nam grozi jakim nieszczęściem domowém.
Mieliśmy wczoraj dosyć rosterku i zwady,
Tak w czasie polowania, jako i biesiady.
Rejent klócił się z rana s panem Assesorem,
A Pan Tadeusz wyzwał Hrabiego wieczorem.
Pono spór ten ze skóry niedźwiedziej pochodził,
I gdyby mnie Dobrodziej Sędzia nie przeszkodził,
Jabym u stołu obu przeciwników zgodził.
Bo chciałem opowiedzieć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia wczorajszej wyprawy,
Co trafił się najpierwszym strzelcom za mych czasów,

Posłowi Rejtanowi i Księżciu Denassów.

Przypadek był takowy—

Jenerał Podolskich

Ziem przejeżdżał z Wołynia do swoich dóbr Pol-
[skich,
Czy też, gdy dobrze pomnę, na sejm do Warszawy;—
Po drodze zwiedzał szlachtę, już to dla zabawy,
Już dla popularności: wstąpił więc do Pana
Tadeusza, dziś świętej pamięci, Rejtana,
Który był potem naszym Nowogródzkim posłem,
I w którego ja domu od dzieciństwa wzrosłem.
Owoż Rejtan, na przyjazd Księcia Jenerała,
Zaprosił gości—liczna szlachta się zebrała,
Było teatrum; (Książę kochał się w teatrze)
Fajerwerk dawał Kaszyc, który mieszka w Jatrze,
Pan Tyzenhauz tancerzy przysłał, a kapele
Ogiński i Pan Sołtan co mieszka w Zdzieńciele.
Słowem, dawano huczne nad spodziw zabawy,
W domu, a w lasach wielkie robiono oblawy.
Wiadomo zaś Waszmościom jest, że prawie wszyscy,
Ile ich zapamiętać można, Czartoryscy,

Choć idą z Jagiellonów krwi, lecz do myśliwstwa
 Nie są bardzo pochopni, pewno nie z lenistwa,
 Lecz z gustów cudzoziemskich; i Książę Jenerał
 Częściej do książek, niżli do psiarni zazierał,
 I do alkówek damskich, częściej niż do lasów.

W świecie Księcia, był książę niemiecki Denassów,
 O którym powiadano, że w Libijskiej ziemi
 Goszcząc, polował niegdys s królmi murzyńskimi,
 I tam tygrysa śpisą w ręcznym boju zwałił,
 S czego się bardzo książę ów Denassów chwalił.
 U nas zaś polowano na dziki w tę porę;
 Rejtan zabił ze sztućca ogromną macioreę,
 Z wielkiem niebezpieczeństwem, bo zbliska wypalił.
 Każdy z nas trafność strzału wydziwiał i chwalił.
 Tylko niemiec Denassów obojętnie słuchoł
 Pochwał takich, i chodząc pod nos sobie dmuchał:
 Że trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko,
 Biała broń śmiałą rękę; i zaczął szeroko
 Znowu gadać, o swojej Libii i śpisie,
 O swych królach murzyńskich i o swym tygrysie.
 Markotno to się stało panu Rejtanowi,
 Był człek żywy, uderzył po szabli i mówi:

Mości książe! kto patrzy śmieie, walczy śmieie,
 Warte dziki tygrysów, a spis karabele—
 I zaczęli z niemcem dyskurs nazbyt żwawy.
 Szczęściem, Książe Jenerał przerwał te rosprawy,
 Godząc ich po francusku: co tam gadał niewiem,
 Ale ta zgoda był to popiół nad żarzewiem,
 Bo Rejtan wziął do serca, okazyi czekał,
 I dobrą sztukę spletać niemcowi przyrzekał;
 Tój sztuki ledwie własnym nieprzyplacił zdrowiem,
 A spletał ją nazajutrz, jak to wnet opowiem.“

Tu Wojski umilknawszy, prawą rękę wznosił,
 I u Podkomorzego tabakiery prosił;
 Długo zażywa, kończyć powieści nie raczy,
 Jak gdyby chciał zaostrzyć ciekawość słuchaczy.
 Zaczynał wreszcie, kiedy znowu mu przerwano
 Powieść taką ciekawą, tak pilnie słuchaną!
 Bo do Sędziego nagle ktoś przysłał człowieka,
 Donosząc że z zniewłocznym interessem czeka.
 Sędzia dając dobranoc, zegnał całe grono:
 Natychmiast się po różnych stronach rozpierz-
 [chniono,

Ci spać do domu, tamci w stodole na sianie,
Sędzia szedł podróżnemu dawać posłuchanie.

Inni już śpią—Tadeusz po sieniach się zwija,
Chodząc jako wartownik, około drzwi stryja,
Bo musi w ważnych rzeczach rady jego szukać
Dziś jeszcze nim spać pójdzie; nie śmie do drzwi
[stukać,
Sędzia drzwi na klucz zamknął, s kimś tajnie roz-
[mawia;
Tadeusz końca czeka, a ucha nadstawia.

Słyszy wewnątrz szlochanie; nie trącając klamek
Ostrożnie dziurką klucza zagląda przez zamek.
Widzi rzecz dziwną! Sędzia i Robak na ziemi
Kłęczeli objąwszy się, i łzami rzewnymi
Płakali, Robak ręce Sędziego całował,
Sędzia Księdza za szyję, płacząc obejmował,
Wreszcie po ćwierć godzinném przerwaniu ro-
[zmowy,
Robak po cichu temi odezwał się słowy:

„Bracie! Bóg wie żem dotąd tajemnic dochowałam,
Którym z żalu za grzechy w spowiedzi ślubowałam;

Że Bogu i Ojczyźnie poświęcony cały,
 Nie służąc pysze, ziemskiej nie szukając chwały,
 Żyłem dotąd i chciałem umrzeć Bernardynem,
 Nie wydając nazwiska nie tylko przed gminem,
 Ale nawet przed tobą, i przed własnym synem!
 Wszakże Książdz Prowincyał dał mi pozwolenie
 In articulo mortis, zrobić objawienie.
 Kto wie czy wrócę żywy! kto wie co się stanie.
 W Dobrzynie! bracie! wielkie, wielkie zamieszanie!
 Francuz jeszcze daleko, nim przeminie zima
 Trzeba czekać, a szlachta pono nie dotrzyma.
 Ten waryat Hrabia! słyszę, pobiegł do Dobrzyna,
 Nie mogłem go uprzedzić, ważna w tém przyczyna:
 Stary Maciek mnie poznał, a jeśli odkryje
 Potrzeba będzie oddać pod Scyzoryk szyję.

Przecież! dziś tam być muszę! widzieć co się dzieje,
 Choćbym zginał; bezemnie szlachta oszaleje!
 Bądź zdrów najmilszy bracie, bądź zdrów, śpieszyć
 [muszę.

Jeśli zginę, ty jeden westchniesz za mą duszę;
 W przypadku wojny, tobie cała tajemnica
 Wiadoma, kończ com zaczął, pomnij żeś Soplica.

Tu Ksiądz łązy otarł, habit zapiął, kaptur włożył,
 I okienicę tylną pocichu otworzył,
 Widać było że oknem do ogrodu skakał:
 Sędzia zostawszy jeden, siadł w krześle i płakał.

Chwilę czekał Tadeusz, nim w kłamkę zadzwonił;
 Otworzono mu, cicho wszedł, nisko się skłonił.
 „Stryjaszku Dobrodzieju, rzekł, ledwie dni kilka
 Przebawiłem tu; dni te minęły jak chwilka;
 Nie miałem czasu s twoim domem się nacieszyć
 I s tobą, a odjeżdżać muszę, muszę śpieszyć
 Zaraz, dzisiaj Stryjaszku, a jutro najdalej:
 Wszak pamiętacie, żeśmy Hrabiego wyzwali.
 Bić się z nim to rzecz moja, posłałem wyzwanie;
 W Litwie jest zakazane pojedynkowanie,
 Jadę więc na granicę Warszawskiego Księstwa;
 Hrabia prawda fanfaron, lecz mu nie brak męstwa,
 Na miejsce naznaczone zapewne się stawi,
 Rosprawim się; a jeśli Bóg pobłogosławi,
 Ukarzę go, a potem za Łososny brzegi
 Przeplnę, gdzie mnie bratnie czekają szeregi.
 Słyszałem, że mi ojciec testamentem kazał
 Służyć w wojsku, a niewiem kto testament zmaszał.“

„Mój Tadeuszk, rzekł Stryj, czy Waszeć kąpany
W gorącej wodzie, czy też kręcisz jak lis szczwany,
Co indziej kitą wije, a sam indziej bieży?

Wyzwaliliśmy, zapewne, i bić się należy. „

Ale jechać dziś, skądżeś Waszeć tak się zaciął?

Przed pojedyńkiem zwyczaj jest posłać przyjaciół,
Układać się, wszak Hrabia może nas przeprosić,
Deprekować; czekaj Waść, czasu jeszcze dosyć.

Chyba inny bies jaki Waści stąd wygania,

To gadaj szczerze, po co takie omawiania.

Jestem twój stryj, choć stary, znam co serce młode,

Byłem ci ojcem, (mówiąc gładził go pod brodę)

Już w ucho szepnął o tém mnie mój palec mały,

Że Waszeć masz tu jakieś z damami kabały.

Za katy prędko teraz młódź do dam się bierze.

No Tadeuszk, przyznaj mi się Waść a szczerze. „

„Jużci, bąknął Tadeusz, prawda, są przyczyny

Inne, kochany Stryju! może z mojej winy!

Omyłka! cóż? nieszczęście! już trudno naprawić!

Nie, drogi Stryju, dłużej nie mogę tu bawić.

Błąd młodości! Stryjaszku, nie pytaj o więcej,

Ja muszę s Soplicowa wyjeżdżać co prędej. „

„Ho! rzekł Stryj, pewnie jakieś miłosne zatargi!
 Uważałem że Waszeć wczoraj gryzłeś wargi,
 Poglądając spode łba na pewną dziewczynkę,
 Widziałem że i ona miała kwaśną minkę.
 Znam ja te wszystkie głupstwa; kiedy dzieci para
 Kocha się, to tam u nich nieszczęść co niemiara!
 To cieszą się, to znowu trapią się i smucą;
 To znowu Bóg wie o co do zębów się skłóca;
 To stojąc w kątkach jakby mruki, nie gadają
 Do siebie, czasem nawet w pole uciekają.
 Jeżeli na was raptus podobny napada,
 Bądźcie tylko cierpliwi, już jest na to rada;
 Biorę na siebie wkrótce przywieść was do zgody.
 Znam ja te wszystkie głupstwa, wszakże byłem
 [młody.
 Powiedz mi Wasze wszystko; ja może nawzajem
 Coś odkryję, i tak się oba przyznamem.“

„Stryjaszku, rzekł Tadeusz (całując mu rękę
 I rumieniąc się) powiem prawdę; tę panienkę,
 Zosię, wychowanicę stryja, podobałem
 Bardzo, choć tylko parę razy ją widziałem;

A mówią, że stryj dla mnie za żonę przeznaczą
Podkomorzanę, piękną, i córkę bogacza.

Teraz nie mógłbym s Panną Różą się ożenić,
Kiedy kocham tę Zosię; trudno serce zmienić!
Nieuczciwie, żeniąc się z jedną kochać drugą,
Czas może mnie uleczy; wyjadę—na długo.“

„Tadeuszk! Stryj przerwał; to mi dziwny sposób
Kochania się—uciekać od kochanych osób;
Dobrze żeś szczerzy; widzisz, głupstwo byś wypłatał
Odjeżdżając: a co Waść powiesz, gdybym swatał
Sam Waści Zosię? He? cóż nie skoczysz z radości?“

Tadeusz rzekł po chwili: „Dobroć Jegomości
Dziwi mnie! lecz cóż? łaska Stryja Dobrodzieja
Nie przyda się już na nic! Ach! próżna nadzieja!
Bo Pani Telimena nie odda mi Zosi!“

„Będziem prosić“ rzekł Sędzia—

„Nikt jój nie uprosi.

Przerwał prędko Tadeusz—nie, czekać nie mogę,
Stryjaszku, muszę prędko, jutro jechać w drogę,

Daj mi Stryjaszku tylko tve błogosławieństwo,
Wszystko przygotowałem, jadę zaraz w Księstwo.^c

Sędzia was kręcąc, z gniewem na chłopca spojierał;

„To Waść tak szczery? takies mi serce otwierał?

Naprzód ów pojedynek! potém znowu miłość

I ten wyjazd, oj jest tu w tém jakaś zawiłość.

Już mnie gadano, jużem kroki Waści badał!

Asan bałamut i trzpiot, Asan kłamstwa gadał.

A gdzież to Asan chodził onegdaj wieczorem,

Czego Asan jak wyżeł tropił pode dworem?

O Tadeuszk! jeśli może Asan Zosię

Zbałamucił i teraz uciekasz? młokosie,

To się Waści nie uda; lubisz czy nie lubisz,

Zapowiadam Asanu że Zosię poślubisz.

A nie, to bizun—jutro staniesz na kobiercu.

I gada mnie o czuciach! o niezmienném sercu!

Łgarz jesteś! pfe! ja z Waści, Panie Tadeuszu,

Zrobię śledztwo, ja Waści jeszcze natrę uszu!

Dziś dość miałem kłopotów! aż mi głowa boli!

Ten mi jeszcze spokojnie zasnąć nie dozwoli!

Idź mi Waść spać.^c To mówiąc, drzwi na wściąż

[otwierał

I zawołał Woźnego żeby go rozbierał.
 Tadeusz cicho wyszedł opuściwszy głowę,
 Rozbierał w myśli przykrą ze Stryjem rozmowę,
 Pierwszy raz połajany tak ostro!.... ocenił
 Słuszność wyrzutów, sam się przed sobą rumienił.
 Co począć? jeśli Zosia o wszystkiém się dowie?
 Prosić o rękę? a cóż Telimena powie?
 Nie—czuł że nie mógł dłużej zostać w Soplicowie.

Tak zadumany ledwie zrobił kroków parę,
 Gdy mu coś drogę zaszło; spójrzal, widzi marę
 Całą w bieliznie, długą, wysmukłą, i cienką,
 Suwała się ku niemu z wyciągniętą ręką,
 Od której odbijał się drżący blask miesięczny,
 I przystąpiwszy cicho jęknęła: „Niewdzięczny,
 Szukałeś wzroku mego, teraz go unikasz,
 Szukałeś rozmów zemną, dziś uszy zamykasz,
 Jakby w słowach, we wzroku mym była trucizna!
 Dobrze mi tak, wiedziałam kto jesteś!—męczyzna!
 Nie znając kokieteryi, niechciałam cię dręczyć,
 Uszcześliwiłam; takżeś umiał mnie zawdzięczyć!
 Tryumf nad miękkim sercem, serce tve zatwardził,
 Żeś je zdobył zbyt łaćno, zbyt prędkoś nióm wzgar-
 [dził!

Dobrze mi tak! lecz straszną nauczona próbą,
Wierz mi, iż więcej niż ty gardzę sama sobą!«

„Telimeno, Tadeusz rzekł, dalbóg nietwarde
Mam serce, ani ciebie unikam przez wzgardę,
Ale uważno sama, wszak nas widzą, śledzą,
Czyż można tak otwarcie? cóż ludzie powiedzą.

Wszak to nieprzyzwoicie, to dalbóg jest grzechem.„

„Grzechem! odpowiedziała mu z gorzkim uśmiechem
Niewiniątko! baranek! Ja, będąc kobieta,

Jeśli z miłości niedbam choćby mnie odkryto,

Choćby mnie osławiono; a ty! ty mężczyzna?

Cóż szkodzi z was któremu, chociaż się i przyzna

Że ma romans z dziesięciu razem kochankami?

Mów prawdę, chcesz mnie rzucić.„—Zalala się łzami.

„Telimeno, cóżby świat mówił o człowieku,

Rzekł Tadeusz, któryby teraz, w moim wieku,

Zdrów, żył na wsi, kochał się—kiedy tyle młodzi,

Tylu żonatych od żon, od dzieci uchodzi

Za granicę, pod znaki narodowe bieży?

Choćbym chciał zostać, czy to odemnie zależy?

Ojciec mnie testamentem kazał, abym służył

W wojsku Polskiém, teraz Stryj ten rozkaz powtó-
[rzył:

Jutro jadę, zrobiłem już postanowienie,
I dalbóg Telimeno, już go nie odmienię. «

„Ja, rzekła Telimena, nie chcę ci zagradzać
Drogi do sławy, szczęściu twojemu przeszkadzać!
Jesteś męszczyzną, znajdziesz kochankę godniejszą
Serca twojego, znajdziesz bogatszą, piękniejszą!
Tylko dla méj pociechy, niech wiem przed rossta-
[niem,

Że twoja skłonność była prawdziwém kochaniem,
Że to niebył żart tylko, nie rozpusta płocha,
Lecz miłość; niech wiem, że mnie mój Tadeusz
[kocha!

Niech słowo „kocham“ jeszcze raz z ust twych
[usłyszę,

Niech je w sercu wyryję, i w myśli zapiszę;
Przebaczę łącniej, chociaż przestaniesz mnie kochać,
Pomnąć jakieś mnie kochał! «—I zaczęła szlochać.—

Tadeusz, widząc że tak płacze i tak błaga

Czule, i tylko takięj drobnostki wymaga,

Wzruszył się, przejęły go szczery żal i litość,
 I jeżeliby badał serca swego skrytość,
 Możeby się w téj chwili i sam nie dowiedział
 Czyli ją kochał, czy nie. — Więc żywo powiedział:
 »Telimeno, bogdaj mnie jasny piorun ubił,
 Jeśli nieprawda żem cię dalbóg bardzo lubił,
 Czy kochał; krótkie s sobą spędziliśmy chwile,
 Ale one mnie przeszły tak słodko, tak mile,
 Że będą długo, zawsze myśli méj przytomne,
 I dalibóg że nigdy ciebie nie zapomnę.«

Telimena skoczywszy padła mu na szyję;

»Tegom się spodziewała, kochasz mnie, więc żyję!
 Bo dzisiaj miałam dni me własną ręką skrócić;
 Gdy mnie kochasz, mój drogi, czyż możesz mnie
 [rzucić?

Tobie oddałam serce, oddam ci majątek,
 Pójdę za tobą wszędzie; każdy świata kątek
 Będzie mi s tobą miły! z najdzikszéj pustyni
 Miłość, wierzaj mi, ogród roskoszy uczyni.«

Tadeusz wydarłszy się z objęcia przemocą,

»Jako? rzekł, czyś z rozumu obrana? gdzie? pogo?

Jechać za mną? Ja będąc sam prostym żołnierzem,
Włóczyć, czy markietankę? — „To my się pobie-
[rzem“

Rzekła mu Telimena. — „Nie, nigdy, zawoła
Tadeusz, ja żenić się nie mam teraz zgoła
Zamiaru, ni kochać się—fraszki! dajmy pokój!
Proszę cię moja droga, rozmyśl się! uspokój!
Ja jestem tobie wdzięczna, ale nie podobna
Żenić się, kochajmy się, ale tak—z osobna.
Zostać dłużej nie mogę, nie, nie, jechać muszę.
Bądź zdrowa Telimeno moja, jutro ruszę.“

Rzekł, nasuwał kapelusz, odwracał się bokiem
Chcąc iść; lecz go wstrzymała Telimena okiem
I twarzą, jak Meduzy głową; musiał zostać
Mimowolnie; poglądał s trwogą na jęj postać,
Stała blada, bez ruchu, bez tchu i bez życia!
Aż wyciągając rękę jak miecz do przebiccia,
S palcem zmierzonym prosto w Tadeusza oczy;
„Tego chciałam, krzyknęła, ha języku smoczy!
Serce jaszczurcze! to nic, żem tobą zajęta
Wzgardziła Assesora, Hrabie i Rejenta,

Żeś mnie uwiódl i teraz porzucił sierotę,
 To nic! jesteś mężczyzną, znam waszą niecnotę,
 Wiém, że jak inni tak ty mógłbyś wiarę złamać,
 Lecz nie wiedziałam, że tak podle umiesz kłamać!
 Słuchałam podedrzwiami Stryja! więc to dziecko?
 Zosia? wpadła ci w oko? i na nią zdradziecko
 Dybiesz! Zaledwieś jedną nieszczęsną oszukał,
 A już pod jej okiem nowych ofiar szukał!
 Uciekaj, lecz cię moje dosięgną przeklęctwa—
 Lub zostań, wydam światu twoje bezeceństwa;
 Twe sztuki! już nie zwiodą innych jak mnie zwiodły!
 Precz! gardzę tobą! jesteś kłamca, człowiek podły!“

Na obelgę śmiertelną dla uszu szlachcica,
 I której żaden nigdy nie słyszał Soplica,
 Zadrzał Tadeusz, twarz mu pobladła jak trupia,
 Tupnąwszy nogą, usta przyciąwszy, rzekł: „glu-
 [pia!“

Odszedł; lecz wyraz „podłość“ echem się powtórzył
 W sercu, wzdrygnął się młodzian, czuł że nań za-
 [służył,

Czuł że wyrządził wielką krzywdę Telimenie,
 Że go słusznie skarżyła, mówiło sumienie;
 Lecz czuł, że po tych skargach tém mocniej ją
 [zbrzydził;

O Zosi, ach! pomyśleć nie ważył się, wstydzził.

Przecież ta Zosia, taka piękna, taka miła!

Stryj swatał ją! możeby jego żoną była!

Gdyby nie szatan co go płacząc w grzech za grze-
 [chem,

W kłamstwo za kłamstwem, wreszcie odstąpił
 [z uśmiechem.

Złajany, pogardzony od wszystkich! w dni parę

Zmarnował przyszłość! uczuł słuszną zbrodni karę.

W téj burzy uczuć jakby kotwica spoczynku

Zabłysnęła mu nagle myśl o pojedynku;

Zamordować Hrabiego! lotra! krzyknął w gniewie,

Zginać, albo zemścić się! a za co? sam nie wie.

I ten gniew wielki, jak się zajął w mgnieniu oka,

Tak wywietrzał; znów zdjęła go żalność głęboka.

Myślił: jeśli prawdziwe było postrzeżenie,

Że Hrabia z Zosią jakieś miał porozumienie,

I cóż stąd? może Hrabia kocha Zosię szczerze,
 Może go ona kocha? za męża wybierze!
 Jakiémże prawem chciałbym zerwać to zamięście,
 I sam nieszczęśnik, wszystkich mam zaburzać
 [szczęście?

Wpadł w rozpacz i nie widział innego sposobu
 Chyba ucieczkę prędką; gdzie? chyba do grobu!

Więc kułak przycisnąwszy na schyloném czole,
 Biegł ku łąkom gdzie stawy błyszczwały się w dole,
 I stanął nad błotnistym; w zielonawe tonie
 Łakomy wzrok utopił, i błotniste wonie
 Z roskoszą ciągnął piersią, i otworzył usta
 Ku nim; bo samobójstwo, jak każda rozpusta
 Jest wymyślną; on w głowy szalonym zawrocie,
 Czuł niewymowny pociąg utopić się w błocie.

Lecz Telimena, z dzikiéj młodzieńca postawy
 Zgadując rozpacz, widząc że pobiegł nad stawy,
 Chociaż ku niemu takim słusznym gniewem pała,
 Przelekkła się; w istocie dobre serce miała.

Żal jej było że inną śmiał Tadeusz lubić,
 Chciała go skarać, ale nie myślała zgubić;
 Więc puściła się za nim, wznosząc ręce obie,
 Krzycząc: „stój! głupstwo! kochaj czy nie! żeń się
 [sobie!
 Czy jedź! tylko stój!“—Ale on już szybkim biegiem
 Wyprzedził ją daleko; już—stał nad brzegiem!

Dziwném zrządzeniem losów, po tym samym
 [brzegu
 Jechał Hrabia, na czele dzokiejów szeregu,
 A zachwycony wdziękiem nocy tak pogodnej
 I harmonią cudną orkiestry podwodnej,
 Owych chorów co brzmiały jak arfy Eolskie,
 (Żadne żaby nie grają tak pięknie jak Polskie)
 Wstrzymał konia i o swój zapomniał wyprawie,
 Zwrócił ucho do stawu i słuchał ciekawie.
 Oczy wodził po polach, po niebios obszarze:
 Pewnie układał w myśli nocne pejzaże.
 Zaiste, okolica była malownicza!
 Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza
 Jako para kochanków; prawy staw miał wody
 Gładkie i czyste jako dziewicze jagody.

Lewy ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana
 Smagława, i już męskim puchem osypana.
 Prawy złocistym piaskiem połyskał się w koło
 Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło
 Najeżone łozami, wierzbami czubate;
 Oba stawy ubrane w zieloności szatę.

Z nich dwa strugi, jak ręce związane pospołu
 Ściskają się; strug dalej upada do dołu;
 Upada lecz nie ginie, bo w rowu ciemnotę
 Unosi na swych falach księżycą pozłotę;
 Woda warstwami spada, a na każdej warście
 Połyskają się blasku miesięcznego garście,
 Światło w rowie na drobne drzazgi się rostrąca,
 Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,
 A z góry znów garściami spada blask miesiąca.
 Myślałbyś że u stawu siedzi Świtezianka.
 Jedną ręką zdroj leje z bezdennego dzbanka,
 A drugą ręką w wodę dla zabawki miota
 Brane s fartuszka garście zakłętego złota.

Dalej, z rowu wybiegłszy strumień, na równinie
 Roskręca się, ucisza, lecz widać że płynie,

Bo na jego ruchomój drgającej powłoce
 Wzdłuż miesięczne światelko drgające migoce.
 Jako piękny wąż żmudzki, zwany *givojtosem*,
 Chociaż zdaje się drzémac, leżąc między wrzosem,
 Pełźnie, bo na przemiany srebrzy się i złoci,
 Aż nagle zniknie z oczu we mchu lub paproci:
 Tak strumień kręcący się chował się w olszynach,
 Które na widnokręgu czerniały kończynach,
 Wznosząc swe kształty lekkie niewyraźne oku,
 Jak duchy nawpół widne, napoły w obłoku.

Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi.
 Jako stary opiekun co kochanków śledzi,
 Podśluchał ich rozmowę, gniewa się, szamoce,
 Trzęsie głową, rękami, i groźby bełkoce;
 Tak ów młyn nagle zatrząsł mchem obrosłe czoło,
 I palczastą swą pięścią wykręcając w koło,
 Ledwo kleknął i szczęki zębówate ruszył,
 Zaraz miłośną stawów rozmowę zagłuszył,
 I zbudził Hrabie.

Hrabia, widząc że tak blisko

Tadeusz naszedł jego zbrojne stanowisko,
 Krzyczy: „do broni! łapaj!“ skoczyli dzokieje;
 Nim Tadeusz rozeznac mógł co się z nim dzieje,
 Już go chwycili; biegą do dworu, w podwórze
 Wpadają; dwór budzi się, psy w hałas, w krzyk
 [stróże,
 Wyskoczył wpół ubrany Sędzia; widzi zgraję
 Zbrojną, myśli że zbójcy, aż Hrabieę poznaje.
 „Co to jest?“ pyta. Hrabia szpadą nad nim mignął,
 Lecz widząc bezbronnego w zapale ostygnął;
 „Soplico, rzekł, odwieczny wrogu méj rodziny,
 Dziś skarzę cię za dawne i za świeże winy,
 Dziś zdasz mi sprawę z mojej fortuny zaboru,
 Nim pomszczę się obelgi mojego honoru!“
 Lecz Sędzia żegnając się krzyknął: „w Imie Ojca
 I Syna! tfu! Mospanie Hrabia czy Waśc zbójca?
 Przebóg! czy się to zgadza z Pana urodzeniem,
 Wychowaniem i s Pana na świecie znaczeniem?
 Nie pozwolę skrzywdzić się!“ — Wtém Sędzięgo
 [słudzy
 Biegli, jedni s kijami, ze strzelbami drudzy,

Wojski, stojąc zdaleka, poglądał ciekawie
 W oczy Panu Hrabiemu, a nóż miał w rękawie.
 Już mieli zacząć bitwę, lecz Sędzia przeszkodził;
 Próżno było bronić się, nowy wróg nadchodził;
 Postrzeżono w olszynie blask, wystrzał rusznicy!
 Most na rzece zahuczał tententem konnicy,
 I „hajże na Soplicę!“ tysiąc głosów wrzasło:
 Wzdrygnął się Sędzia, poznał Gerwazego hasło;
 „Nic to, zawołał Hrabia, będzie tu nas więcej,
 Poddaj się Sędzio, to są moi sprzymierzeńcy.“

Wtém Assesor nadbiegał krzycząc: „areszt kładę
 W imię Imperatorskiej Mości; oddaj szpadę
 Panie Hrabio, bo wezwę wojskowej pomocy,
 A wiesz Pan, że kto zbrojnie śmie napadać w nocy,
 Zastrzeżono tysięcznym dwóchsetnym ukazem,
 Że jak zło.... „Wtém go Hrabia w twarz uderzył
 [płazem.

Padł zgłuszony Assesor i skrył się w pokrzywy,
 Wszyscy myśleli że był ranny lub nieżywy.

„Widzę, rzekł Sędzia, że się na rozbój zanosi.“

Jęknęli wszyscy; wszystkich zagłuszył wrzask Zosi,
Która krzyczała Sędzie objawszy rękami,
Jako dziecko od żydów klóte igielkami.

Tymczasem Telimena wpadła między konie,
Wyciągnęła ku Hrabi załamane dłonie,
„Na twój honor!“ krzyknęła przeraźliwym głosem,
Z głową w tył wychyloną, z rozpuszczonym włosom,
„Przez wszystko co jest świętém, na klęczkach bła-
[gamy!

Hrabisz, śmiesz odmówić? proszą ciebie damy,
Okrutniku, nas pierwój musisz zamordować!“

—Padła zemdlona.—Hrabia skoczył ją ratować,
Zadziwiony i nieco zmięszany tą sceną.

„Panno Zofio, rzecze, Pani Telimeno!

Nigdy się krwią bezbronnych ta szpada nie splami;
Soplicowie! jesteście mojami więźniami.

Tak zrobiłem we Włoszech, kiedy pod opoką
Którą Sycylianie zwą Birbante-rokka,
Zdobyłem tabor zbójców; zbrojnych mordowałem,
Rozbrojonych zabrałem i związać kazałem:
Szli za końmi i tryumf mój zdobyli świetny,
Potém ich powieszono u podnóża Etny.“—

Było to osobliwsze szczęście dla Sopliców
 Że Hrabia, mając lepsze konie od szlachciców,
 I chcąc spotkać się pierwszy, zostawił ich w tyle,
 I biegł przed resztą jazdy, przynajmniej o milę,
 Ze swem dzokiejstwem, które posłuszne i karne
 Stanowiło niejako wojsko regularne;
 Gdy inna szlachta była, zwyczajem powstania,
 Burzliwa i niezmiernie skora do wieszania.

Hrabia miał czas ostygnąć z zapału i gniewu,
 Przemyślał jakby skończyć bój bez krwi rozlewu;
 Więc rodzinę Sopliców w domu zamknąć każe,
 Jako więźniów wojennych; u drzwi stawi strażę.

Wtém „hajże na Sopliców!“ wpada szlachta hurmem,
 Obstępuje dwór w koło, i bierze go szturmem,
 Tém łacniej, że wódz wzięty i pierzełła załoga;
 Lecz zdobywcy chcą bić się, wyszukują wroga.
 Do domu niewpuszczeni, biegną do folwarków,
 Do kuchni—gdy do kuchni weszli, widok garków,
 Ogień ledwie zagasły, potraw zapach świeży,
 Chrupanie psów gryzących ostatki wieczerzy,

Chwyta wszystkich za serca, myśl wszystkich od-
 [mienia,
 Studzi gniewy, zapala potrzebę jedzenia.
 Marszem i całodziennym znużeni sejmikiem,
 „Jeść! jeść!“ — potrzykroć zgodnym wezwali okrzy-
 [kiem,
 Odpowiedziano „pić! pić!“ między szlachty zgrają
 Stają dwa chóry, ci pić, a ci jeść wołają;
 Odgłos leci echami; gdzie tylko dochodzi,
 Wzbudza oskomeę w ustach, głód w żołądkach rodzi.
 I tak na dane s kuchni hasło, niespodzianie
 Rozeszła się armija na furazowanie.

Gerwazy od pokojów Sędziego odparty,
 Ustąpić musiał przez wzgląd dla Hrabiowskiéj
 [warty.

Więc nie mogąc zemścić się na nieprzyjacielu,
 Myślił o drugim wielkim téj wyprawy celu.
 Jako człek doświadczony i biegły w prawnictwie,
 Chce Hrabięgo osadzić na nowém dziedzictwie
 Legalnie i formalnie; więc za Woźnym biega,
 Aż go po długich śledztwach za piecem dostrzega,

Wnet porywa za kołnierz, na dziedziniec wlecze,
 I zmierzwszy mu w piersi scyzoryk, tak rzecze:
 „Panie Woźny, Pan Hrabia śmie Waćpana prosić,
 Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić
 Intromissyą Hrabi do zamku, do dworu
 Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,
 Słowem cum gais, boris et graniciebus,
 Cmetonibus, scultetis, et omnibus rebus
 Et quibusdam aliis. Jak tam wiesz tak szczerkaj,
 Nie nie opuszczaj.“ — „Panie Kluczniku, zaczekaj,“
 Rzekł śmiało, ręce za pas włożywszy Protazy,
 „Gotów jestem wypełniać wszelkie stron roskazy,
 Ale ostrzegam że akt nie będzie miał mocy,
 Wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy.“
 „Co za gwałty, rzekł Klucznik, tu nie ma napaści,
 Wszak proszę Pana grzecznie; jeśli ciemno Waści,
 To scyzorykiem skrzesam ognia, że Waszeci
 Zaraz w ślepiach, jak w siedmiu kościołach za-
 [świeci.“

„Gerwazeńku, rzekł Woźny, po co się tak dąsać?
 Jestem Woźny, nie moja rzecz sprawę rostrząsać,

Wszak wiadomo, że strona Woźnego zaprasza
I dyktuje mu co chce, a Woźny ogłasza.

Woźny jest posłem prawa, a posłów niekarzą,
Nie wiem tedy za co mnie trzymacie pod strażą;
Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie,
A tym czasem ogłaszam: Bracia uciszcie się![«]

I by donośniej mówić, wstąpił na stos wielki
Belek, (pod płotem sadu suszyły się belki)
Wlazł na nie, i zarazem jakby go wiatr zdmuchnął,
Zniknął z oczu; słyszano jak w kapustę buchnął;
Widziano, po konopiach ciemnych jego biała
Konfederatka, niby gołąb przeleciała.
Konewka strzelił w czapkę, ale chybił celu,
Wtém zatrzeszczały tyki, już Protazy w chmielu,
„Protestuję!“ zawołał; pewny był ucieczki,
Bo za sobą miał łoże i bagniska rzeczki.

Po téj protestacyi, która się ozwała
Jak na zdobytych wałach ostatni strzał działa,
Ustał już wszelki opór w Soplicowskim dworze;
Szlachta głodna plądruje, zabiera co może.

Krópiciel stanowisko zajmawszy w oborze,
 Jednego wołu i dwa cielce w łby zakropił,
 A Brzytewka im szable w gardzielach utopił,
 Szydelko równie czynnie używał swój szpadki,
 Kabany i prosięta koląc pod łopatki.

Już rzeź zagraża ptastwu,—czujne gęsi stado
 Co niegdyś ocaliło Rzym przed Gallów zdradą,
 Darmo gęga o pomoc; zamiast Manliusza,
 Wpada w kotuch Konewka, jedne ptaki zdusza,
 A drugie żywcem wiąże do pasa kontusza.
 Próżno gęsi szyjami wywijając chrypią,
 Próżno gęsiory sycząc napastnika szczypią.
 On bieży; osypany iskrzącym się puchem,
 Unoszony jak kółmi gęstych skrzydeł ruchem,
 Zdaje się być Chochlikiem, skrzydlatym złym du-
 [chem.

Ale rzeź najstraszniejsza, chociaż najmniej krzyku,
 Między kurami. Młody Sak wpadł do kurniku,

* I z długiego biczyska porobiwszy petle,
 Drzemiące ptastwo śledzi przy latarni świetle; *
 I z drabinek, stryczkami łowiąc, ciągnie z góry
 Koguty i szurpate i czubate kury,

Jedne po drugich dusi i składa do kupy,
 Ptastwo piękne, karmione perłowemi krupy.
 Niebaczny Saku, jakież zapał cię unosi!
 Nigdy już odtąd gniewnej nie przebłagasz Zosi.

Gerwazy przypomina starodawne czasy,
 Każe sobie podawać od kontuszów pasy,
 I niemi s Soplicowskiej piwnicy dobywa
 Beczki starej siwuchy, dębniaku i piwa.
 Jedne wnet odgwożdżono, a drugie ochoczo
 Szlachta gęsta jak mrówie, porywają, toczą
 Do zamku; tam na nocleg cały tłum się zbiera,
 Tam założona główna Hrabiego kwatery.

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzają, pieką,
 Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;
 Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpie-
 [wać.—

Lecz powoli zaczęli drzemać i poziewać,
 Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
 Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada,
 Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci.
 Tak zwycięzców, zwyciężył w końcu sen, brat
 [śmierci.

BITWA

KSIĘGA DZIEWIĄTA.

BITWA.

TREŚĆ.

O niebezpieczeństwach wynikających z nieporządnego obozowania.—Odsiecz niespodziana.—Smutne położenie Szlachty.—Odwiedziny Kwestarskie są wróżbą ratunku.—Major Płut zbytnią zalotnością ściąga na siebie burzę.—Wystrzał s króciocy, hasło boju.—Czyny Kropiciela, czyny i niebezpieczeństwa Maćka.—Konewka zasadzką ocala Soplicowo.—Posiłki jezdne, atak na piechotę.—Czyny Tadeusza.—Pojedynek dowódców przerwany zdradą.—Wojski stanowczym manewrem przechyli szalę boju.—Czyny krwawe Gerwazego.—Podkomorzy zwycięzca wspaniałomyślny.

A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi
Blask latarek i wniście kilkudziesiąt ludzi,
Którzy wpadli na szlachtę, jak pająki ścienne,
Nazwane *kosarzami*, na muchy wpółsenne;

Zaledwie która bzyknie, już długimi nogi
 Obejmuje ją w koło i dusi mistrz srogi.
 Sen szlachecki był jeszcze twardszy niż sen muszy,
 Żaden nie bzyka, leżą wszyscy jak bez duszy;
 Chociaż byli chwytni silnemi rękoma
 I przewracani jako na przewiasłach słoma.

Tylko jeden Konewka, któremu w powiecie
 Nie znajdziesz równie mocnej głowy przy bankiecie,
 Konewka co mógł wypić lipcu dwa antały,
 Nim mu splątał się język i nogi zachwiały,
 Ten choć długo ucztował i usnął głęboko,
 Dawał przecie znak życia; przemknął jedne oko,
 I widzi! istne zmory! dwie okropne twarze,
 Tuż nad sobą, a każda ma wąsów po parze,
 Dyszą nad nim, ust jego tykają wąsami,
 I czworgiem rąk w około wiją jak skrzydłami;
 Zląkł się, chciał przeżegnać się, darmo rękę chwyta,
 Ręka prawa jak gdyby do boku przybita;
 Ruszył lewą, niestety! czuje że go duchy
 Spowiły ciasno jako niemowlę w pieluchy;
 Zląkł się jeszcze okropnieć; wnet oko zawiera,
 Leży nie dysząc, stygnie, ledwie nie umiera!

Lecz Kropiciel zerwał się bronić się, po czasie!
Bo już był skępowany we swym własnym pasie;
Przecież zwinął się i tak sprężyste podskoczył,
Że padł na piersi sennych, po głowach się toczył,
Miotał się jako szczupak gdy się w piasku rzuca,
A ryczał jako niedźwiedź, bo miał silne płuca.
Ryczał:—zdrada!—Wnet cała zbudzona gromada
Chorem odpowiedziała: zdrada! gwałtu! zdrada!

Krzyk dochodzi echemi zwierciadlanej sali,
Kędy Hrabia, Gerwazy i dzokieje spali;
Przebudza się Gerwazy, darmo się wydziera
Związany w kij do swego własnego rapiera:
Patrzy, widzi przy oknie ludzi uzbrojonych,
W czarnych krótkich kaszkietach, w mundurach
[zielonych,
Jeden z nich opasany szarfą trzymał szpadę
I ostrzem jój kierował swych drabów gromadę
Szepcąc: wiąż! wiąż! Do koła leżą jak barany
Dzokieje w pętach, Hrabia siedzi nie związany
Lecz bezbronny, przy nim dwaj z gołemi bagnety
Stoją drabi—poznał ich Gerwazy, niestety!

Nie raz Klucznik był w podobnych trwogach,
 Nie raz miewał powrozy na ręku i nogach,
 A przecież się uwalniał, wiedział o sposobie
 Rwania więzów, był silny bardzo, ufał sobie.
 Przemysłał ratować się milczkiem; oczy zmrużył,
 Niby spi, zwolna ręce i nogi przedłużył,
 Dech wciągnął, brzuch i piersi ścisnął co najwężej;
 Aż jednym razem kurczy, wydyma się, pręży,
 Jak wąż głowę i ogon gdy chowa w przeguby,
 Tak Gerwazy z długiego stał się krótki, gruby;
 Rosciągnęły się, nawet skrzypnęły powrozy,
 Ale nie pękły! Klucznik ze wstydu i zgrozy
 Przewrócił się i w ziemię schowawszy twarz gnie-
 [wną,
 Zamknawszy oczy, leżał nieczuły jak drewno.

Wtém ozwały się bębny, naprzód zrzadka, potem
 Coraz gęstszym i coraz głośniejszym łoskotem;
 Na ten apel, rozkazał officer Moskali,
 Dżokiejów z Hrabią zamknąć pod strażą na sali,
 Szlachtę wieść na dwór, kędy stała druga rota.
 Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Sztab stał we dworze, a z nim zbrojnej szlachty
 [wiele,
 Podhajscy, Birbaszowie, Hreczechy, Biergiele,
 Wszyscy Sędziego krewni, albo przyjaciele.
 Na odsiecz mu przybiegli słysząc o napadzie,
 Zwłaszcza że z Dobrzyńskimi byli zdawna wzawa-
 [dzie.

Kto z wiosek batalion Moskalów sprowadził?
 Ktotałk prędko sąsiedztwo z zaścianków zgromadził?
 Assesor-li, czy Jankiel? różnie słyhać o tém,
 Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potém.

Już też i słońce wschodzi, krwawo się czerwieni,
 Brzegiem tęnym jak gdyby odartym s promieni
 Na wpół widne, na poły w czerni chmur się chowa,
 Jak rozżarzona w węglach kowalskich podkowa.
 Wiatr wzmagął się i pędził obłoki ze wschodu
 Gęste i poszarpane jako bryły lodu;
 Każdy obłok w przelocie deszczem zimnym pruszy,
 S tyłu za nim wiatr leci i deszcz znowu suszy,
 Za wiatrem znowu obłok nadbiega wilgotny:
 I tak dzień na przemiany był chłodny i słotny.

Tymczasem Major belki schnące pode dworem
 Każe wlec, w każdej belce wysiekać toporem
 Półokrągłe otwory, w te otwory wtyka
 Nogi więźniów i drugą belką je zamyka.
 Oba drewna goździami przebite po rogach
 Ścisnęły się, jako psie paszczęki, na nogach.
 Zaś powrozami mocniej sznurowano ręce
 Na plecach szlachty; Major, ku większej ich męce,
 Kazał pierwój poździerać z głów konfederatki,
 S pleców płaszcze, kontusze, nawet taratunki,
 Nawet żupany. I tak szlachta skuta w kłodzie
 Siedziała rzędem; dzwoniąc zębami na chłodzie
 I na deszczu, bo coraz wzmagała się ślota.
 Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Darmo Sędzia za szlachtą instancję wnosi,
 I Telimena łączy proźby do łez Zosi,
 Ażebymiano większy wzgląd na niewolników.
 Wprawdzie officer rotny, Pan Nikita Rykow,
 Moskał, lecz dobry człowiek, dał się udobruchać,
 Cóż kiedy sam Majora Płuta musiał słuchać.

Ten Major, Polak, rodem z miasteczka Dzierowicz,

Nazywał się (jak słyhać) po polsku Płutowicz.
 Płut stał s fajką przed frontem, w boki się podpierał,
 I gdy mu kłaniano się, nos w górę zadzierał,
 A za odpowiedź na znak gniewnego humoru,
 Wypuścił z ust kłęb dymu i poszedł do dworu.

A tymczasem Rykowa Sędzia ułagadza,
 I Assesora także na bok odprowadza;
 Przemyślają jakby rzecz zakończyć bez sądu,
 A co jeszcze ważniejsza bez mieszań się rządu.
 Więc do Majora Płuta rzekł kapitan Rykow:

„Panie Major! co nam s tych wszystkich niewolników?
 Oddamy pod sąd! będzie szlachcie wielka bieda,
 A Panu Majorowi nikt za to nie nieda.
 Wiesz co Major? ot lepiej tę sprawę zagodzić,
 Pan Sędzia Majorowi musi trud nagrodzić;
 My powiemy, że my tu przyszli dla wizyty,
 A tak i kozy całe i wilk będzie syty.
 Przysłowie ruskie: wszystko można lecz ostrożnie,
 I to przysłowie: sobie piecz na Carskim roźnie,
 I to przysłowie: lepsza zgoda od niezgody;

Zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody.
 Raportu nie podamy, tak się nikt nie dowie.
 Bóg dał ręce żeby brać, to ruskie przysłowie. «

Słyszając to Major wstaje i od gniewu parska.
 „Czy ty oszalał Rykow? to służba Cesarska,
 A służba nie jest drużba, stary głupi Ryków!
 Czy ty oszalał? ja mam puszczać buntowników!
 W takim wojennym czasie! Ha Pany Polaki!
 Ja was nauczę buntu! Ha szlachta łajdaki
 Dobrzyńscy; oj ja znam was, niech łajdaki mokną!
 (I zaśmiał się na całe gardło, patrząc w okno)
 Wszakże ten sam Dobrzyński co siedzi w surducie,
 Hej zdjąć mu surdut! w roku przeszłym na reducie,
 Zaczął ze mną tę kłótnię; kto zaczął? on, nie ja.
 Mówiłem: ej Dobrzyński! ej przyjdzie do woza
 Koza—a co? Dobrzyński widzisz! będzie łoża. «

Potém Sędziemu szepnął schyliwszy się w ucho:
 „Jeśli chcesz Sędzio żeby to uszło na sucho,
 Za każdą głowę tysiąc rubelków gotówką.
 Tysiąc rubelków Sędzio, to ostatnie słówko. «

Sędzia chciał targować się; lecz Major nie słuchał,
Znowu biegał po izbie, dymem gęsto buchał,
Podobny do szmermelu albo do rakiety.

Chodziły za nim prosząc i płacząc kobiety.

„Majorze, mówił Sędzia, choć pozwiesz do prawa,
Cóż wygrasz? tu nie zaszła żadna bitwa krwawa,
Nie było ran, że zjedli kury i półgąski,
Za to wedle statutu zapłacą nawiąski;
Ja na Pana Hrabiego nie zanoszę skargi,
To tylko były zwykłe sąsiedzkie zatargi.“

„A czy Sędzia, rzekł Major, żółtą księgę czytał?“

„Co to za żółta księga?“ Pan Sędzia zapytał?

„Appeluję, rzekł Sędzia, do Gubernatora,“

„Appeluj, rzekł Płut, choćby do Imperatora.

Appelujcie, ja może wynajdę w potrzebie,

Mospanie Sędzio, dobry kruczek i na ciebie.

Wszak Jankiel szpieg, którego już rząd dawno śledzi,

Jest twoim domownikiem, w karczmie twojej siedzi.

Mogę teraz was wszystkich wziąć w areszt od razu.“

„Mnie, rzekł Sędzia, brać w areszt? jak śmiesz bez

[roskazu?“

I przychodziło coraz do żywszego sporu,
Gdy nowy gość zajechał na dziedziniec dworu.

Wjazd tłumny, dziwny. Przodem, niby laufer bieży
Ogromny czarny baran, a łeb mu się jeży
Czterma rogami, s których dwa jako kabłaki
Kręcą się koło uszu, ubrane we dzwonki;
A dwa od czoła na bok wysuwając końce
Wstrząsają kulki krągłe, mosiężne, brzęczące.
Za baranem szły woły, trzoda owiec, kozy,
Za bydłem cztery ciężko pakowane wozy.

Wszyscy odgadli że to wjazd księdza Kwestarza.
Więc Pan Sędzia powinność znając gospodarza,
Stał w progu, witać gościa. Ksiądz na pierwszej
[bryce
Jechał, kapturem na wpół zasłoniwszy lice;
Ale go wnet poznano, bo gdy więźniów minął,
Zwrócił się ku nim twarzą, palcem na znak skinął.
I drugiej bryki furman, równie był poznany,
Stary Maciek-Rózczecka, za chłopą przebrany;
Szlachta zaczęła krzyzczeć, skoro się pokazał,

On rzekł: „głupi!“—i ręką milczenie nakazał.
Na trzecim wozie Prusak w kubraku wytartym,
A Pan Zan z Mickiewiczem jechali na czwartym.

A tymczasem Podhajscy i Isajewicze,
Birbasze, Wilbikowie, Biergele, Kotwicze,
Widząc szlachtę Dobrzyńskich w tój ciężkiej niewoli,
Zaczęli z dawnych gniewów ostygac powoli.
Bo szlachta Polska, chociaż niezmiernie kłótniwa
I porywca do bitew, przecież nie jest mściwa.
Biegą więc do Macieja starego po radę.
On koło wozów całą ustawia gromadę,
Każe czekać.

Bernardyn wstąpił do pokoju,
Zaledwie go poznano choć nie zmienił stroju,
Tak przybrał inną postać; zwyczajnie ponury,
Zamysłony, a teraz głowę wzniosł do góry,
I z miną rozjaśnioną jak kwestarz rubacha,
Nim zaczął gadać, długo śmiał się:

„Cha, cha, cha, cha!

Kłaniam, kłaniam! cha, cha, cha, wyśmienicie,
[przednie!

Panowie officery, kto poluje we dnie,
Wy w nocy! dobry polów, widziałem zwierzynę;
Oj skubać, skubać szlachtę, oj drzeć z nich łupinę,
Oj weźcież ich na munsztuk, bo też szlachta bryka!
Winszuję ci Majorze, żeś złowił Hrabika,
To tłuscioszek, to bogacz, panicz z antenatów;
Nie wypuszczaj go z klatki bez trzystu dukatów;
A jak weźmiesz, na klasztor daj jakie trzy grosze,
I dla mnie, bo ja zawsze za twą duszę proszę.
Jakiem Bernardyn, bardzo myślę o twój duszy!
Śmierć i sztabs-officerów porywa za uszy!
Dobrze napisał Baka, że śmierć dźga za katy
W szkarłaty, i po suknie nieraz dobrze stuknie,
I po płótnie tak utnie jak i po kapturze,
I po fryzurze równie jak i po mundurze.
Śmierć matula, powiada Baka, jak cybula,
Łzy wyciska, gdy ściska, a równie przytula,
I dziecko co się lula, i zucha co hula!
Ah! ah! Majorze, dzisiaj żyjem, jutro gnijem,
To tylko nasze, co dziś zjemy i wypijem!
Panie Sędzio, wszakże to czas podobno śniadać?

Siadam za stół, i proszę wszystkich za mną siadać;
Majorze, gdyby zrazów? Panie Poruczniku,
Co myślisz? gdyby wazę dobrego ponczyku?«

„To prawda Ojczy, rzekli dwaj officerowie,
Czasby już zjeść i wypić Pana Sędzi zdrowie!«

Zdziwili się domowi patrząc na Robaka,
Skąd mu się wzięła mina i wesołość taka.
Sędzia wnet kucharzowi powtórzył roskazy,
Wniesiono wazę, cukier, butelki i zrazy.
Płut i Rykow tak czynnie zaczęli się zwijać,
Tak łakomie połykać i gęsto zapijać,
Ze w pół godziny zjedli dwadzieścia trzy zrazy
I wychylili ponczu ogromne pół wazy.

Więc Major syt i wesół w krzesle się rozwalił,
Dobyl fajkę, biletem bankowym zapalił,
I otarłszy śniadanie z ust końcem serwety,
Obrócił śmiejące się oczy na kobiety
I rzekł: „ja piękne panie, lubię was jak wety!
Na me szlify majorskie, gdy człek zjadł śniadanie,

Najlepszą jest po zrazach zakąską, gadanie
 S paniami tak pięknemi jak wy piękne panie!
 Wiecie co? grajmy w karty? w welba cwelba? w wista?
 Albo pójdźmy mazurka? he! do diabłów trzysta!
 Wszakja w jegierskim pułku pierwszy mazurzysta!
 Zaczém ku damom bliżej chylił się wygięty,
 I puszczał na przemiany dym i komplementy!

„Tańczyć! zawołał Robak, gdy wychylę flaszę,
 To i ja choć ksiądz, habit czasami podkaszę
 I potańczę mazurka! Ale wiesz, Majorze,
 My tu pijem, a jegry tam zmarzną na dworze?
 Hulać to hulać! Sędzio, daj beczkę siwuchy,
 Major pozwoli, niechaj piją jegry zuchy!“

„Prosiłbym, rzecze Major, lecz w tém niema musu.“

„Daj Sędzio, szepnął Robak, beczkę spirytusu.“

I tak kiedy we dworze sztab wesoly łyka,
 Za domem zaczęła się w wojsku pijatyka.

Rykw kapitan milezkiem kielichy wychylał,
 Lecz Major pił i razem damom się przymilał,
 A wzmagał się w nim coraz tańcowania zapał,

Rzucił fajkę i rękę Telimeny złapał,
 Chciał tańczyć, lecz uciekła; więc podszedł do Zosi,
 Klaniając się słaniając do mazurka prosi.

„Héj ty Rykow, przestańże tam trąbić na fajce!
 Precz fajka, wszak ty dobrze grasz na bałabajce,
 Widziszno tam gitarę, pódźno, weź gitarę
 I mazurka! ja Major idę w pierwszą parę.“ —
 Kapitan wziął gitarę i stróny przykręcał,
 Płut znowu Telimenę do tańca zachęcał.

„Słowo majorskie panno, nie rossyaninem
 Jestem, jeżeli kłamię! chcę być sukinsynem,
 Jeżeli kłamię, spytaj, a officerowie
 Wszyscy poświadczą, cała armija to powie,
 Że w téj drugiej armii, w korpusie dziewiątym,
 W drugiej pieszej dywizyi, w pulku piędziesiątym
 Jegierskim, Major Płut jest pierwszy mazurzysta.
 Pódźże panienko! nie bądź taka narowista!
 Bo ja po officersku ukarzę panienkę.“ —

To mówiąc, skoczył, chwycił Telimeny rękę,
 I szerokim całusem w białe ramie klasnął;

Gdy Tadeusz przypadłszy z boku, w twarz mu trza-
[snął.

I całus i policzek ozwały się razem

Jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem.

Major osłupiał, oczy przetaił, z gniewu blady
Zawołał: „bunt! buntownik!“ i dobywszy szpady
Biegł przebić; w tém Ksiądz dostał z rękawakrócieę,
„Pal Tadeuszk! krzyknął, pal jak w jasną świecę!“
Tadeusz wnet pochwycił, wymierzył, wypalił,
Chybił, ale Majora zgłuszył i osmalił.

Porywa się z gitarą Rykow: „bunt! bunt!“ woła,
Wpada na Tadeusza; lecz Wojski z za stoła
Machnął ręką na odlew, nóż w powietrzu świsnął
Między głowy i pierwój uderzył niż błysnął.
Uderza w dno gitary, na wylot ją wierci,
Schylił się na bok Rykow i tak uszedł śmierci,
Lecz strwożył się; krzyknąwszy: „Jegry! bunt! Jej-
[bog!“

Dobył szpady, broniąc się zbliżał się do progu.

Wtém z drugiej strony izby wpada szlachty wiele
Przez okna, z rapierami, Rózciczka na czele.

Płut w sieni, Rykow za nim, wołają żołnierzy,
 Już trzech najbliższych domu na pomoc im bieży;
 Już przeze drzwi włożą trzy błyszczące bagnety,
 A za niemi trzy czarne schylone kaszkiety.
 Maciek stał u drzwi z różgą wzniesioną do góry,
 Lgnąc do ściany, czatował jako kot na szczury,
 Aż ciał okropnie; może głowyby trzy zwałił,
 Lecz stary czy nie dojrzał, czy zbyt się zapalił,
 Bo nim szyję wytknęli, rąbnął po kaszkietach,
 Zdarł je; różga spadając brzękła po bagnetach—
 Moskale cofają się, Maciek ich wygania
 Na dziedziniec.—

Tam jeszcze więcej zamieszania.

Tam stronnicy Sopliców pracują w zawody
 Nad roskuciem Dobrzyńskich, rozrywają kłody;
 Widząc to jegry, za broń porywają, biega;
 Sierżant wpadłszy bagnetem przebił Podhajskiego,
 Dwóch drugich szlachty zranił, do trzeciego strzela,
 Uciekają; było to przy kłodzie Chrzyciela.
 Ten już miał ręce wolne, gotowe ku walce;
 Wstał, podniósł dłoń i zwinął w kłębek długie palce,

I z góry tak uderzył w grzbiet Rossyanina,
 Że twarz jego i skroń wbił w zamek karabina.
 Trzasł zamek, lecz zalany krwią proch już nie spalił;
 Sierzant u nóg Chrzciciela na swą broń się zwałił.
 Chrzciciel schyla się, chwyta karabin za rurę
 I wijąc jak kropidłem podnosi go w górę,
 Robi młynka, dwóch zaraz szeregowych zwała
 Po ramionach, i w głowę ugadza kaprała,
 Reszta zlekła od kłody cofa się s przestraczem:
 Tak Kropiciel ruchomym nakrył szlachtę dachem.

Zaczém rozbito kłodę, rozcięto powrozy,
 Szlachta już wolna wpada na kwestarskie wozy,
 Z nich dobywa rapiery, pałasze, tasaki,
 Kosy, strzelby; Konewka znalazł dwa szturmaki
 I worek kul; wsypał je do swojego szturmaka,
 Drugi równie nabiwszy ustąpił dla Saka.

Jegrów więcej przybywa, mięszają się, tłuką,
 Szlachta w zgiełku nie może ciąć krzyżową sztuką,
 Jegry nie mogą strzelać, już walczą wręcz zbliska—
 Już stal ząb za ząb o stal porwawszy się pryska,

Bagnet o szablę, kosa o gifes się łamie,
Pięść spotyka się s pięścią i z ramieniem ramie.

Lecz Rykow s częścią Jegrów, pobiegł gdzie stodoła
Tyka plotów; tam staje, na żołnierzy woła
Ażeby zaprzestali bitwę tak bezładną,
Gdzie nie używszy broni pod pięściami padną.
Gniewny, że sam nie może dać ognia, bo w tłumie
Moskalów od Polaków rozróżnić nie umie,
Woła: „stroj się!“ (co znaczy: formuj się do szyku)
Ale komendy jego nie słyhać śród krzyku.

Stary Maciek do ręcznych zapasów nie zdolny,
Rejterował się czyniąc przed sobą plac wolny
Na prawo i na lewo; tu końcem szablidy
Ociera bagnet z rury, jako knot ze świecy;
Tam machnąwszy na odlew ścina albo kole.
I tak ostróżny Maciek ustępuje w pole.

Lecz z największym na niego naciera uporem
Stary Gifrejter, co był pulku instruktorem,
Wielki mistrz na bagnety; zebrał się sam w sobie,

Skurczył się, a karabin porwał w ręce obie,
 Prawą u zamka, lewą w pół rury porywa,
 Kręci się, podskakuje, czasem przysiadywa,
 Lewą rękę opuszcza, a broń s prawej ręki
 Suwa naprzód, jak żądło z węzowej paszczęki,
 I znowu ją w tył cofa, na kolanie wspiera,
 I tak kręcąc się, skacząc, na Maćka naciera.

Ocecił przeciwnika zręczność Maciek stary,
 I lewą ręką włożył na nos okulary,
 Prawą, rękojeść różgi tuż przy piersiach trzyma,
 Cofa się, Gifrejtera ruch śledząc oczyma,
 Sam słania się na nogach, jakoby był pjany;
 Gifrejter bieży prędzój i pewny wygranej,
 Żeby uchodzącego tém łacniej dosięgnął,
 Powstał i całą prawą rękę wzdłuż wyciągnął
 Popychając karabin, a tak się wysilił
 Pchnięciem i wagą broni, że się aż pochylił;
 Maciek tam kędy bagnet wkłada się na rurę,
 Podstawia swą rękojeść, podbija broń w górę,
 I wnet spuszczaając różgę, tnie Moskala w rękę
 Raz, i znowu na odlew przecina mu szczękę.—

Tymczasem koło kłodek, lewe szlachty skrzydło
 Już jest bliskie zwycięstwa; tam walczył Kropidło
 Widny zdala, tam Brzytwa wił się wśród Moskali,
 Ten ich w pół ciała rzeza, tamten w głowy wali;
 Jako machina, którą niemieccy majstrowie
 Wymyślili i która młóckarnią się zowie,
 A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże,
 Razem i słomę kraje i wybija zboże,
 Tak pracują Kropiciel i Brzytwa pospołu,
 Mordując nieprzyjaciół, ten z góry, ten z dołu.

Lecz Kropiciel już pewne porzuca zwycięstwo,
 Bieży, na prawe skrzydło gdzie niebezpieczeństwo
 Nowe grozi Maćkowi; śmierci Gifrejtera
 Mszcząc się Proporszczyk, z długim szpontonem
[nacierą,

(Szponton, jest to zarazem dzida i siekiera,
 Teraz już zaniedbany i tylko na flocie
 Używają go — wówczas służył i piechocie.)
 Proporszczyk, człowiek młody, zręcznie się uwijał:
 Ilekroć mu przeciwnik broń na bok odbijał,
 On cofał się, młodego nie mógł Maciek zgonić,

I tak nieraniać musiał tylko siebie bronić.

Już mu Proporszczyk dzidą lekką ranę zadał,

Już wznosząc w górę berdysz do cięcia się składał;

Chrzyciel nie zdoła dobiec, lecz staje w pół drogi,

Okreca broń i ciska wrogowi pod nogi,

Skruszył kość, już Proporszczyk szponton z rąk

[upuszcza,

Słania się, wpada Chrzyciel, za nim szlachty tłu-

[szcza,

A za szlachtą Moskale od lewego skrzydła

Biegą zmieszani, wszczął się bój koło Kropidła.

Chrzyciel, który w obronie Maćka oręż stracił,

Ledwie że téj przysługi życiem nie przypłacił;

Bo przypadło nań s tyłu dwóch silnych Moskali,

I czworo rąk zarazem we włos mu wplątali,

Upiąwszy się nogami ciągną jako liny

Sprężyste, uwiązane do masztu wiciny;

Daremnie w tył Kropiciel ciska ślepe razy,

Chwieje się—a wtém postrzegł że blisko Gerwazy

Walczy; zawołał: „Jezus Marya! Scyzoryku!“

Klucznik trwozę Chrzyciela poznawszy po krzyku,

Odwrócił się, i spuścił ostrze płytkiej stali
 Między głowę Chrzyciela i ręce Moskali;
 Cofnęli się wydawszy przeraźliwe głosy,
 Lecz jedna ręka, mocniej wplątana we włosy,
 Została się, wisząca i krwią buchająca.
 Tak orlik jedną szponę gdy wbije w zająca,
 Drugą, by wstrzymać zwierza, o drzewo uczepi,
 A zając targnąwszy się orła w pół roszczepi,
 Prawa szpona u drzewa zostaje się w lesie,
 A lewą zakrwawioną zwierz na pola niesie.

Kropiciel wolny, oczy obraca do koła,
 Ręce wyciąga, broni szuka, broni woła,
 Tymczasem grzmi pięściami, stojąc mocno w kroku,
 I pilnując się zbliżka Gerwazego boku,
 Aż Saka syna swego postrzega w natłoku.
 Sak prawą ręką szturmak wymierza, a lewą
 Ciągnie za sobą długie sążniowate drzewo,
 Uzbrojone w krzemienie i guzy i sęki.
 (Niktby go nie podźwignął prócz Chrzyciela ręki.)
 Chrzyciel gdy miłą broń swą, swe kropidło zoczył,
 Chwycił je, ucałował, z radości podskoczył,
 Zakręcił je nad głową i zaraz ubroczył.

Co potém dokazywał, jakie klęski szerzył,
Daremnie śpiewać, niktby muzie niewierzył.

Dosyć że się tak stało, jak przewidział Ryków;
Jegry w tłumie, ulegli mocy przeciwników.
Dwudziestu trzech na ziemi wala się zabitych,
Trzydziestu kilku jęczy ranami okrytych,
Wielu pierzchło, skryło się w sad, w chmiele, nad
[rzekę,
Kilku wpadło do domu pod kobiet opiekę.

Zwycięska szlachta biega z okrzykiem wesela,
Ci do beczek, ci łupy rwą z nieprzyjaciela;
Jeden Robak tryumfów szlachty nie podziela.
On dotąd sam nie walczył (bo bronią kanony
Księdzu bić się), lecz jako człowiek doświadczony
Dawał rady, plac boju z różnych stron obchodził,
Wzrokiem, ręką, walczących zachęcał, przywodził.
I teraz woła, aby do niego się łączyć,
Uderzyć na Rykowa, zwycięstwo dokończyć.
Tymczasem przez posłańca wskazał do Rykowa,
Że jeżeli broń złoży, życie swe zachowa;

Jeżeli zaś oddanie broni będzie zwlekać,
Robak każe otoczyć resztę i wysiekać.

Kapitan Rykow wcale nie prosił pardonu:
Zebrawszy koło siebie pół batalionu,
Krzyknął: „za broń!“ wnet szereg karabiny chwyta,
Chrzęsnęła broń, a była już dawno nabita,
Krzyknął: „cel!“ rury rzędem zabłysnęły długim,
Krzyknął: „ognia kolejaj!“ grzmia jeden po drugim,
Ten strzela, ten nabija, ten chwyta do ręki,
Słychać świsty kul, zamków chrzęsty, stęflów
[dźwięki.

Cały szereg zdaje się być ruchomym płazem,
Który tysiąc błyszczących nóg wywija razem.

Prawda że Jegry byli mocnym trunkiem pijani,
Źle mierzą i chybiają, rzadko który rani,
Ledwie który zabije; przecież dwóch Maciejów
Już zraniono, i poległ jeden z Bartłomiejów.
Szlachta z niewiele rusznic z rzadka się odstrzela,
Chce szablami uderzyć na nieprzyjaciela,
Ale starsi wstrzymują; kule gęsto świszczą,

Rażą, spędzają, wkrótce dziedziniec oczyszczą,
Już aż po szybach dworu zaczynają dzwonić.

Tadeusz, który został w domu, kobiet bronić
Z rozkazu Stryja, słysząc że coraz to gorzej
Wre bitwa, wybiegł, za nim wybiegł Podkomorzy,
Któremu Tomasz wreszcie przyniósł karabelę,
Spiesz, łączy się s szlachtą i staje na czele.
Bieży broń wznioślszy, szlachta rusza jego śladem,
Jegry przypuściwszy ich, sypnęli kul gradem.
Legł Isajewicz, Wilbig, Brzytewka raniony;
Zaczém, wstrzymują szlachtę Robak z jednej strony
A z drugiej Maciej; szlachta ostyga w zapale,
Ogląda się, cofa się; widzą to Moskale,
Kapitan Rykow myśli ostatni cios zadać,
Spędzić szlachtę z dziedzińca i dworem owładać.

„Formuj się do ataku! zawołał, na sztyki!
Naprzód!“ Wnet szereg rury wytknąwszy jak tyki,
Schyla głowy, zrusza się i przyspiesza kroku;
Darmo szlachta wstrzymuje s przodu, strzela z boku,
Szereg już pół dziedzińca przeszedł bez oporu;

Kapitan pokazując szpadą na drzwi dworu,
 Krzyczy: „Sędzio poddaj się, bo dwór spalić każę!“
 „Pal, woła Sędzia, ja cię w tym ogniu usmażę.“

O dworze Soplicowski! jeśli dotąd całe
 Świecą się pod lipami twoje ściany białe,
 Jeśli tam dotąd szlachty sąsiedzkiej gromada
 Za gościnnemi stoły Sędziego zasiada,
 Pewnie tam piją często za Konewki zdrowie,
 Bez niego jużby było dziś po Soplicowie!

Konewka dotąd małe dał męstwa dowody;
 Choć najpierwszy ze szlachty uwolniony s kłody,
 Choć zaraz znalazł w wozie swą miłą konewkę,
 Swoj szturmak faworytny, i z nim kul sakiewkę,
 Nie chciał bić się; powiadał, że sobie nieufa
 Na czczo; szedł więc gdzie stała spirytusu kufa,
 Ręką jak łyżką strumień do ust sobie chylił;
 Dopiero gdy się dobrze rozgrzał i posilił,
 Poprawił czapkę, s kolan wziął do rąk konewkę,
 Zmacał stęplem naboju, podsypał panewkę,
 I spójrzał na plac boju; widzi że błyszcząca
 Fala bagnatów szlachtę bije i rostrąca,

Przeciw téj fali płynie; schyla się do ziemi
 I nurkuje pomiędzy trawami gęstemi,
 Środkiem dziedzińca, aż tam gdzie rosła pokrzywa
 Zasadza się, a Saka gestami przyzywa.

Sak broniąc dworu stanął s szturmakiem u proga,
 Bo w tym dworze mieszkała jego Zosia droga,
 Od której choć w zalotach został pogardzony,
 Kochał ją zawsze, zginąć rad dla jój obrony.

Już szereg Jegrów w marszu na pokrzywę wkracza,
 Gdy Konew ruszył cyngla, i s paszczy garłacza
 Tuzin kul rossiekanych puszcza śród Moskali,
 Sak puszcza drugi tuzin, Jegry się zmięszali.
 Przerażony zasadzką szereg w kłęb się zwija,
 Cofa się, rzuca rannych; Chrzciciel ich dobija.

Stodoła już daleko; bojąc się odwołu
 Długiego, Rykow skoczył pod parkan ogrodu,
 Tam pierzechającą rotę zatrzymuje w biegu,
 Szykuje, lecz szyk zmienia; z jednego szeregu
 Robi trójkąt, klin ostry wystawując s przodu,

A dwa boki opiera o parkan ogrodu.

Dobrze zrobił, bo jazda nań od zamku wali.

Hrabia, który był w zamku pod strażą Moskali,
Gdy pierzchła straż zlékniona, dworzan na koń
[wsadził,

I słysząc strzały, w ogień jazdę swą prowadził,
Sam na czele z żelazem nad głowę wzniesioném.
Wtém Rykow krzyknął: „ognia pół batalionem!”
Przeleciała po zamkach wzdłuż nitka ognista,
I s czarnych rur wytkniętych świsnęło kul trzysta.
Trzech jezdnych padło rannych, jeden trupem leży.
Padł koń Hrabi, spadł Hrabia; Klucznik krzycząc
[bieży

Na ratunek, bo widzi, Jegry na cel wzięli
Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli.
Robak był bliższy, Hrabie ciałem swém zakrywa,
Dostał za niego postrzał, spod konia dobywa,
Uprowadza; a szlachcie każe się rosstąpić,
Lepiej mierzyć, postrzałów nadaremnych skąpić,
Kryć się za płoty, studnię, za ściany obory;
Hrabia z jazdą ma czekać sposobniejszej pory.

Plany Robaka pojął i wykonał cudnie
 Tadeusz, stał ukryty za drewnianą studnię:
 A że trzeźwy i dobrze strzelał z dubeltówki
 (Mógł trafić do rzuconej w powietrze złotówki),
 Okropnie razi Moskwę, starszysznę wybiera,
 Za pierwszym zaraz strzałem ubił Feldfebera.
 Potém z dwóch rur raz po raz dwóch sierżantów
 [sprząta,
 Mierzy to po galonach, to w środek trójkąta
 Gdzie stał sztab; zaczém Rykow gniewa się i dąsa,
 Tupa nogami, szpady swój rękojeść kęsa.
 „Majorze Płucie, woła, co to s tego będzie?
 Wkrótce tu nie zostanie nikt z nas przy komendzie!“

Więc Płut na Tadeusza krzyknął z wielkim gniewem:
 „Panie Polak, wstydz się Pan chować się za drzewem,
 Niebądź tchórz, wyjdź na środek, bij się honorowie
 Po żołniersku.“—A na to Tadeusz odpowie:
 „Majorze! jeśli jesteś tak śmiałym rycerzem,
 A czegoż ty się chowasz za Jegrów kołnierzem?
 Nie tchórzę ja przed tobą, wynidźno z za płotów,
 Dostałeś w twarz, jam przecie, bić się s tobą gotów!
 Po co krwi rozlew: między nami była zwada,

Niechajże ją rosstrzygnie pistolet lub szpada.
 Daję ci broń na wybór, od działa do szpilki;
 A nie, to was wystrzelam jako w jamie wilki.“
 I to mówiąc wystrzelił, a tak dobrze mierzył
 Że Porucznika obok Rykowa uderzył.

„Majorze, szepnął Rykow, wyjdź na pojedynek
 I pomścij się za jego ranniejszy uczynek.
 Jeśli tego szlachcica kto inny zabije,
 To Major widzi, Major hańby swój nie zmyje.
 Trzeba tego szlachcica na pole wywabić,
 Nie można s karabina, to choć szpadą zabić.
Co puka to nie sztuka, to wolę co kole,
 Mówił stary Suworow; wyjdź Majorze w pole,
 Bo on nas powystrzela, patrz, bierze do celu.“
 Na to rzekł Major: „Rykow! miły przyjacielu,
 Ty jesteś zuch na szpady, wyjdź ty bracie Ryków,
 Lub wiesz co, wyslem kogo z naszych poruczników.
 Ja Major, ja nie mogę odstąpić żołnierzy,
 Do mnie batalionu komenda należy.“—
 Słyszając to Rykow, szpadę podniósł, wyszedł śmiało,
 Kazał ognia zaprzestać, machnął chustką białą.
 Pyta się Tadeusza jaką broń podoba;

Po układach, na szpady zgodzili się oba.
Tadeusz broni nie miał; gdy szukano szpady,
Wyskoczył Hrabia zbrojny i zerwał układy.

„Panie Soplico! wołał, s przeproszeniem Pana,
Pan wyzwałś Majora! ja do Kapitana
Mam dawniejszą urazę: on do zamku mego“
(Mów Pan, przerwał Protazy, do zamku naszego)
„On wpadł, rzekł kończąc Hrabia, na czele zło-
[dziejów,
On, poznałem Rykowa, wiązał mych dzokiejów.
Skarzę go, jakom zbójców skarał pod opoką,
Którą Sycylianie zwą Birbante-rokko.“

Uciszyli się wszyscy, ustało strzelanie,
Wojska ciekawe patrzą na wodzów spotkanie:
Hrabia i Rykow idą, obróceni bokiem,
Prawą ręką i prawém grożąc sobie okiem;
Wtém lewemi rękami odkrywają głowy,
I kłaniają się grzecznie (zwyczaj honorowy,
Nim przyjdzie do zabójstwa, naprzód się przywitać).
Już spotkały się szpady i zaczęły zgrzytać;

Rycerze wznosząc nogi, prawemi kolany
Przyklękają, w przód i w tył skacząc na przemiany.

Ale Płut Tadeusza widząc przed swym frontem,
Naradzał się po cichu z Gifrejterem Gontem,
Który w rocie uchodził za pierwszego strzelca.

„Gonto, rzekł Major, widzisz ty tego wisielca,
Jeśli mu wsadzisz kulę, tam pod piątém żebrem,
To dostaniesz odemnie cztery ruble srebrem.“

Gont odwodzi karabin, do zamka się chyli,

Wierni go towarzysze płaszciami okryli,

Mierzy, nie w żebro, ale w głowę Tadeusza,

Strzelił i trafił, blisko, w środek kapelusza.

Okrecił się Tadeusz, aż Kropiciel wpada

Na Rykowa, a za nim szlachta krzycząc: „zdrada!“

Tadeusz go zasłania, ledwie zdołał Ryków

Zrejterować się i wpaść we środek swych szyków.

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody,

I, pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody,

Walczą jak bracia, jeden drugiego zachęca.

Dobrzyńscy, widząc jak się Podhajski wykręca

Tuż przed szeregiem Jegrów i kosą ich kraje,
 Zawołali z radością: „niech żyją Podhaje!
 Naprzód bracia Litwini, górą, górą Litwa!“
 Skołubowie zaś widząc jak waleczny Brzytwa
 Choć ranny, leci z szablą wzniesioną do góry,
 Krzyknęli: „górami Maćki, niech żyją Mazury!“
 Dodawszy wzajem serca biegną na Moskali,
 Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.

Gdy tak na rotę Jegrów uderzano s przodu,
 Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu;
 Przy boku jego stąpał ostróżny Protazy,
 A Wojski mu po cichu wydawał rozkazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
 O który się opierał Rykow swym trójgranem,
 Wielka stara sernica, budowana w kratki
 Z balek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.
 W niej świeciły się białych serów mnogie kopy,
 W koło zaś wahały się suszące się snopy
 Szałwii, benedykty kardy, macierzanki,
 Cała zielna domowa apteka Wojszczanki.

Sernica w górze miała wszecz sązni pół czwarta,
 A u dołu na jednym wielkim słupie wsparta,
 Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy
 Pochylił się, bo już był wygnił do połowy,
 Groził upadkiem. Nieraz Sędziemu radzono
 Aby zrzucił budowę wiekiem nadwątloną;
 Ale Sędzia powiadał, że woli poprawiać
 Anizeli rozrzucać, albo też przestawiać.
 Odkładał budowanie do sposobnej pory,
 Tymczasem pod słup kazał wetknąć dwie podpory.
 Tak pokrzepiona ale nie trwała budowa,
 Wyglądała za parkan nad trójkąt Rykowa.

Ku téj sernicy Wojski z Woźnym milezkiem idą,
 Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby dzidą,
 Za nimi ochmistrzynie dąży przez konopie
 I kuchcik, małe ale bardzo silne chłopie.
 Przyszędłszy drągi wparli w wierzch słupa nadgniły,
 Sami u końców wisząc pchają s całej siły,
 Jako flisy uwieźlę na rapach wicinę
 Długimi drągi z brzegu pędzą na głębinę.

Trzasnął słup, już sernica chwieje się, i wali
 Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali,

Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
 Leżą drwa, trupy, sery białe jako śniegi
 Krwią i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki
 [pryska,
 A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,
 Siecze Różga, od dworu wpada szlachty tłuszczą,
 A Hrabia od bram jazdę na rozpierzchłych puszcza.

Już tylko ośmiu Jegrów z sierżantem na czele
 Bronią się, bieży Klucznik, oni stoją śmieie,
 Dziewięć rur wymierzyli prosto w łeb Klucznika,
 On leci na strzał, kręcąc ostrze scyzoryka.
 Widzi to Ksiądz, zabiega Klucznikowi drogę,
 Sam pada i podbija Gerwazemu nogę,
 Upadli właśnie kiedy pluton ognia dawał;
 Ledwie ołów prześwisnął, już Gerwazy wstawał,
 Już wskoczył w dym; dwóm Jegrom zaraz głowy
 [zmiata,

Uciekają strwożeni, Klucznik goni, płata;
 Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem,
 Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,
 I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,

Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał,
 Bo przezedrzwijęk słyhać, wrzask i gęste razy.
 Wkrótce ucichło wszystko, wyszedł sam Gerwazy
 Z mieczem krwawym.

Już szlachta odzierżyła pole,
 Porospędzanych Jegrów ściga, rąbie, kole;
 Rykow sam został, krzyczy że broni nie złoży,
 Biję się, gdy ku niemu podszedł Podkomorzy,
 I wznosząc karabelę, rzekł poważnym tonem:
 „Kapitanie! nie splamisz czi twojej pardonem,
 Dałeś próby, rycerzu nieszczęsny lecz mężny,
 Twojej odwagi, porzuć opór niedołączny;
 Złóż broń, nim cię naszymi szablami rozbroim,
 Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!“

Rykw Podkomorzego zwalczony powagą,
 Skłonił się i oddał mu swoją szpadę nagą,
 Skrwawioną po rękojeść, i rzekł: „Lachy braty!
 Oj biada mnie żem nie miał choć jednej armaty!
 Dobrze mówił Suworow: pomnij Rykw kamrat,
 Żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat!

Cóż! Jegry byli pijani, Major pić pozwolił!
 Oh! Major Płut, on dzisiaj bardzo poswywolił!
 On odpowie przed Carem, bo on miał komendę.
 Ja, Panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę.
 Ruskie przysłowie mówi: kto się mocno lubi,
 Ten Panie Podkomorzy i mocno się czubi.
 Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki,
 Ale przestańcie robić nad Jegrami zbytki. «

Podkomorzy słysząc to, karabelę wznasza,
 I przez Woźnego pardon powszechny ogłasza,
 Każe rannych opatrzeć, s trupów czyścić pole,
 A Jegrów rozbrojonych prowadzić w niewolę.
 Długo szukano Płuta; on w krzaku pokrzywy
 Zarywszy się głęboko, leżał jak nieżywy;
 Wyszedł wreszcie ujrzawszy, że było po bitwie.
 Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

EMIGRACYA SACEK

KSIĘGA DZIESIĄTA.

101) Жагы кыл-сүйү, Мага сарысуу
 102) Мага сүйү, мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү

Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
АТАИДИО АДЕИЭ
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү
 Мага сүйү, Мага сүйү, Мага сүйү

EMIGRACYA. JACEK.

TREŚĆ.

Narada dotycząca się zabezpieczenia losu zwycięzców. — Układy z Rykowem. — Pożegnanie. — Ważne odkrycie. — Nadzieja.

Owe obłoki ranne, z razu rospierzchnione
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę
Coraz się zgromadzały; ledwie słońce zbiegło
S południa, już ich stado pół niebios obiegło
Ogromną chmurą; wiatr ją pędził coraz chyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,
Aż jedną stronę na wpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszecz rospostarta,

Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy; i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby s trwogi oniemiało.
I łany zbóż co wprzód kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I pogładają w niebo najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwój jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długimi kręciły ramiony,
Rospuszczając na wiatry warkocz posrebrzony;
Teraz jak martwe, z niemój wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów Sypilskiej Nioby.
Jedna osina drżąca, wstrząsa liście siwe.

Bydło zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając stawę do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem.

Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,
 Usta z dziwu otwiera, i wzdycha głęboko;
 A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
 I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.

Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb
 [trawy;
 Tylko wrony stadami obstępowały stawy,
 Przechadzają się sobie poważnymi kroki,
 Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
 Wytknawszy język s suchej szerokiej gardzieli
 I skrzydła rostaczając, czekają kąpieli;
 Lecz i te przewidując nazbyt mooną burzę
 Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
 Ostatnia s ptaków lotem nieścigłym zuchwała
 Jaskółka, czarny obłok przeszywa jak strzała,
 Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owiej chwili

Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli,
 I chroniąc się gromadnie w domy i stodoły,
 Opuszczają plac boju, gdzie wkrótce żywioły
 Stoczą walkę.

Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona,
 Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona;
 Już chmura rostaczając cienie nakształt sieci,
 Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
 Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
 Kilka wichrów raz poraz prześwisnęło spodem,
 Jeden za drugim lecą miecąc krople dżdżyste,
 Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
 Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
 Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
 Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach,
 Pyskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
 Na wiatr, jako garściami wrywane włosy,
 Zmieszane s kędziorami snopów; wiatry wyją,
 Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
 Rwą skiby, robią otwor wichrowi trzeciemu,
 Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemiu,
 Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
 Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom
 [w oczy,

Coraz wszerek wydyma się, roztwiera ku górze,
 I ogromną swą trąbą otrębuje burze.
 Aż s całym tym chaosem wody i kurzawy,
 Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
 Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
 Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy,
 Jak s sita w gęstych kroplach; wtém rykły pioruny,
 Krople zlały się razem; to jak proste struny,
 Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi.
 To jak z wiader buchają warstami całemi,
 Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
 Noc je z burzą od nocy czarniejszą zaciemia.
 Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
 I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,
 Rosświeci twarz, i znowu okryty całunem
 Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
 Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
 I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
 Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę usnie;
 Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie.

Aż się uspokoiło wszystko; tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

W takim dniu, pożądany był czas najburzliwszy;
Bo nawałnica, boju plac mrokiem okrywszy,
Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,
S folwarku niedostępną zrobiła fortecę.
O tém więc co się działo w obozie Soplicy,
Dziś nie mogła rozejść się wieść po okolicy,
A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy.

W izbie Sędziego ważne toczą się narady;
Bernardyn leżał w łóżku, z mordowany, blady
I skrwawiony, lecz całkiem zdrowy na umyśle,
Daje rozkazy, Sędzia wypełnia je ściśle.
Prosi Podkomorzego, przyzywa Klucznika,
Każe przywieść Rykowa, potem drzwi zamyka.
Godzinę całą trwały tajemne rozmowy,
Aż je przerwał kapitan Rykow temi słowy,
Rzucając na stół kiesę ciężką dukatami:
„Państwo Lachy, już jest ta gadka między wami,
Że każdy Moskal złodziej; powiedźcież, kto spyta,

Że znaliście Moskala, który zwan Nikita
 Nikitycz Rykow,rotny Kapitan, miał osim
 Medalów i trzy krzyże, to pamiętać prosim.
 Ten medal za Oczaków, ten za Izmailów,
 Ten za bitwę pod Nowi, ten za Prejsiż-Ilów,
 Tamten za Korsakowa sławną rejteradę
 S pod Zurich; a miał także i za męstwo szpadę,
 Także od Feldmarszałka trzy zadowolenia,
 Dwie pochwały Cesarskie i cztery wspomnienia,
 Wszystko na piśmie—“

—„Ale, ale Kapitanie,
 Przerwał Robak, i cóż się tedy z nami stanie,
 Jeśli nie chcesz zgodzić się; wszakże dałeś słowo
 Załatwić tę rzecz—“

„Prawda, słowo dam na nowo,
 Rzecz Rykow, ot słowo! Co po waszój zgubie?
 Ja człek poczciwy, ja was państwo Lachy lubię,
 Że wy ludzie weseli, dobrzy do wypitki,
 I także ludzie śmiali, dobrzy do wybitki.
 U nas Ruskie przysłowie: kto na wozie jedzie,

Bywa często pod wozem; kto dzisiaj na przedzie,
 Jutro w tyle; dziś bijesz, jutro ciebie biją;
 Czy o to gniew? tak u nas po żołniersku żyją.
 Skądby się człowiekowi tyle złości wzięło
 Gniewać się o przegranę! Oczakowskie dzieło
 Było krwawe, pod Zurich zbili nam piechotę,
 Pod Austerlicem całą utraciłem rotę,
 A pierwój wasz Kościuszko pod Racławicami,
 Byłem sierżantem, wysiekl mój pluton kosami.
 I cóż stąd? to ja znowu u Maciejowiców
 Zabiłem własnym sztykiem dwóch dzielnych szla-
 [chców.
 Jeden był Mokronoski, szedł s kosą przed frontem,
 I kanonierowi uciął rękę z lontem.

Sędzia mu na to rzecze: „Panie Kapitanie
 Żeś człek poczciwy, wiedzą to wszyscy ziemianie,
 U których na kwaterach stałeś od lat wielu;
 Za ten dar nie gniewaj się, dobry przyjacielu,
 Nie chcieliśmy cię skrzywdzić; te oto dukaty,
 Śmieliśmy złożyć wiedząc żeś człek niebogaty.“

„Ach Jegry! wołał Rykow, cała rota skłuta!

Moja rota! a wszystko z winy tego Płuta!
 On komendant, on za to przed Carem odpowie;
 A wy te grosze sobie zabierzcie panowie,
 U mnie jest kapitański mój żołd ladajaki,
 A dosyć mnie na ponczyk i lulkę tabaki.
 A was lubię, że z wami sobie zjem, popiję,
 Pohulam, pogawędzę, i tak sobie żyję;
 Otóż ja was obronię, i jak będzie śledztwo,
 Słowo uczciwe, że dam za wami świadectwo;
 Powiemy, że my przyszli tu z wizytą, pili
 Sobie, tańczyli, trochę sobie podchmielili,
 A Płut przypadkiem ognia zakomenderował,
 Bitwa! i batalion tak jakoś zmarnował.

Wy Pany tylko śledztwo pomazujcie złotem,
 Będzie kręcić się. Ale teraz powiem o tém,
 Co już mówiłem temu szlachcicu, co długi
 Ma rapier, że Płut pierwszy komendant, ja drugi:
 Płut został żywy, może on wam zagiąć kruczka
 Takiego, że zginiecie, bo to chytra sztuczka;
 Trzeba mu gębę zatkać bankowym papierem.
 No i cóż Panie szlachcic, ty z długim rapierem,
 Czy już byłeś u Płuta? czyś się z nim naradził?«

Gerwazy obejrzał się, łysinę pogładził,
 Kiwnął niedbale ręką, jak gdyby znać dawał
 Że już wszystko załatwił.—Lecz Rykow nastawał:
 »Cóż, czy Płut będzie milczeć, czy słowem zaręczył?«
 —Klucznik zły że go Rykow pytaniami dręczył,
 Poważnie palec wielki ku ziemi nagiął,
 A potem, machnął ręką jak gdyby przecinał
 Dalszą rozmowę, i rzekł: »klnę się Scyzorykiem
 Że Płut nie wyda! gadać już nie będzie z nikiem!«
 * Potem dłonie powoli podniósł i otworzył,
 Skrzywił się, kiwnął głową i znowu powtórzył:
 »Płut już nie będzie gadać—potrzeba tak było
 »Koniecznie: co zrobiło, to się już zrobiło.« *

Ten ciemny giest pojęli słuchacze, i stali
 Patrząc z dziwem na siebie, wzajem się badali,
 I posępne milczenie trwało minut kilka.
 Aż Rykow rzekł: »nosił wilk, ponieśli i wilka!
 »Requiescat in pace,» dodał Podkomorzy!
 „Jużci, zakończył Sędzia, był w tém palec Boży!
 Lecz ja téj krwi nie winien, jam o tém nie wiedział.”
 Ksiądz porwał się s poduszek i posępny siedział.

Nakoniec rzekł, spojrzawszy bystro na Klucznika:
 „Wielki grzech bezbronno go zabić niewolnika!
 Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem!
 Oj Kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed Bogiem.“

Więcej nie było mowy o Płucie Majorze;
 Nazajutrz daremnie go szukano we dworze,
 Daremnie wyznaczano za trupa nagrodę,
 Major zginął bez śladu jak gdyby wpadł w wodę;
 Co się z nim stało różnie powiadano o tém,
 Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potem.
 Daremnie pytaniami Klucznika dręczono;
 Nic nie wyrzekł, prócz tych słów: pro publico bono.
 Wojski był w tajemnicy, lecz słowem ujęty
 Honorowém, staruszek milczał jak zakłęty.

Po zawarciu układów, wyszedł z izby Ryków,
 A Robak kazał wezwać szlachtę wojowników,
 Do których Podkomorzy s powagą tak mówi:
 „Bracia! Bóg dziś naszemu szczęścił orężowi,
 Ale muszę Wać Państwu wyznać bez ogródki,
 Że s tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki;

Zbłądziliśmy, i nikt tu z nas nie jest bez winy;
 Ksiądz Robak, że zbyt czynnie rosszerzał nowiny.
 Tymczasem kto miał udział najczynniejszy w bitwie,
 Ten nie może bezpieczny zostać się na Litwie;
 Musicie więc do Księstwa uciekać Panowie,
 A mianowicie Maciej co się Chrzciiciel zowie,
 Tadeusz, Konew, Brzytew, niech unoszą głowy
 Za Niemen, gdzie ich czeka zastęp narodowy;
 My na was nieobecnych całą winę zwalim,
 I na Płuta, tak resztę rodzeństwa ocalim.
 Sędzia wszystko co trzeba zgotuje na drogę.
 I ja pieniędzmi, ile zdołam, dopomogę.”

Oświadczyli że zaraz wyjeżdżać gotowi.

Tylko to się nie zdało Panu Buchmanowi:

Buchman, człowiek rozsądny, w bitwę się nie wmie-
 [szał,

Ale słysząc że radzą, głosować pośpieszał;

Znajdował projekt dobrym, lecz chciał przeinaczyć,
 Dokładniej go rozwinać, jaśniej wytłumaczyć,

A naprzód komisyją legalnie wyznaczyć,

Któraby rozważyła emigracyi cele,

Środki, sposoby, tudzież innych względów wiele;
 Nieszczęściem, krótkość czasu była na zawadzie,
 Że się nie stało zadość Buchmanowej radzie.
 Szlachta żegna się śpiesznie i już w drogę rusza.

Ale Sędzia zatrzymał w izbie Tadeusza,
 I rzekł do Księdza: „Czas już żebym ci powiedział
 To o czémem s pewnością wczoraj się dowiedział,
 Że nasz Tadeusz szczerze zakochany w Zosi,
 Niechajże przed odjazdem o rękę jej prosi;
 Mówilem s Telimeną, już nam nie przeszkadza,
 Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.
 Jeśli dziś ślubem pary nie mozem uwieńczyć,
 Toćby ich panie bracie, przynajmniej zaręczyć
 Przed odjazdem; bo serce młode i podróżne,
 Wiesz dobrze jako miewa tentacye różne.
 A wszakże, kiedy okiem rzuci na pierścionek
 I przypomni młodzieniec, że już jest małżonek,
 Zaraz w nim obcych pokus ostyga gorączka.
 Wierzaj mi, wielką siłę ma ślubna obrączka.

Ja sam przed lat trzydziestu, wielki affekt miałem
 Ku Pannie Marcie, której serce pozyskałem;

Byliśmy zaręczeni, Bóg nie błogosławił
 Związkowi temu, i mnie sierotą zostawił,
 Wziąwszy do chwały swojej nadobną Wojszczankę,
 Przyjaciela mojego córę, Hreczeszankę.
 Pozostała mi tylko pamiątka jój cnoty,
 Jój wdzięków, i ten oto ślubny pierścień złoty.
 Ilekroć nań spojrzełam, zawsze ma nieboga
 Stawała przed oczyma; i tak z łaski Boga,
 Dotąd méj narzeczonej dochowałem wiary,
 I niebywszy małżonkiem, jestem wdowiec stary,
 Chociaż Wojski ma drugą córę dość nadobną,
 I do mojej kochanej Marty dość podobną!"

To mówiąc na pierścionek s czułością spozierał,
 I odwróconą ręką łzy z oczu ocierał.
 „Bracie, kończył, co myślisz? zrobim zaręczyny?
 On kocha, a mam słowo ciotki i dziewczyny.”

Lecz Tadeusz podbiega i z żywością mówi:
 „Czémże zdołam odwdzięczyć dobremu stryjowi,
 Który tak o me szczęście ustawnie się trudzi!
 Ach dobry stryju! byłbym najszczęśliwszy z ludzi,

Gdyby mi Zosia była dzisiaj zaręczona,
 Gdybym wiedział że to jest moja przyszła żona;
 Przecież powiem otwarcie, dziś te zaręczyny
 Do skutku przyjść nie mogą, są różne przyczyny...
 Nie pytaj więcej, jeśli Zosia czekać raczy,
 Może mnie wkrótce lepszym, godniejszym obaczy,
 Może stałością na jej wzajemność zarobię,
 Może troszeczką sławy me imie ozdobię,
 Może wkrótce w ojczyste wrócim okolice;
 Wtenczas stryju wspomnę ci twoje obietnice,
 Wtenczas na klęczkach drogą powitam Zosieńkę,
 I jeśli będzie wolna, poproszę o rękę;
 Teraz porzucam Litwę, może na czas długi,
 Może Zosi tymczasem podobać się drugi;
 Więzić jej woli nie chcę, prosić o wzajemność
 Na którąm nie zasłużył, byłaby nizezemność.

Gdy te słowa z uczuciem mówił chłopiec młody,
 Zaświeciły mu, jako dwie wielkie jagody
 Perłę, dwie łzy na wielkich błękitnych źrenicach,
 I stoczyły się szybko po rumianych licach.

Ale Zosia ciekawa z głębin alkowy
 Sledziła przez szczelinę tajemne rozmowy,
 Słyszała jak Tadeusz po prostu i śmiało
 Opowiedział swą miłość, serce w niej zadrzało,
 I widziała tych wielkich dwoje łez w źrenicach.
 Choć dojść nie mogła wątku w jego tajemnicach,
 Dla czego ją pokochał? dla czego porzuca?
 Gdzie odjeżdża? przecież ją ten odjazd zasmuca.
 Pierwszy raz posłyszała w życiu z ust młodziana,
 Dziwną i wielką nowość, że była kochana.
 Biegła więc gdzie stał mały domowy ołtarzyk,
 Wyjęła zeń obrazek i relikwiarzyk,
 Na obrazku tym była święta Genowefa,
 A w relikwii, suknia Świętego Józefa
 Oblubieńca, patrona zaręczonéj młodzi,
 I s temi świętościami do pokoju wchodzi.

„Pan odjeżdżasz tak prędko? ja Panu na drogę
 Dam podarunek mały i także przestroge:
 Niechaj Pan zawsze s sobą relikwie nosi
 I ten obrazek, a niech pamięta o Zosi.
 Niech Pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi

I niech prędko szczęśliwie do nas odprowadzi.
 Umilkła, i spuściła głowę; oczki modre
 Ledwie stuliła, z rzęsów pobiegły łzy szczodre,
 A Zosia z zamkniętymi stojąc powiekami,
 Milczała, sypiąc łzami jako brylantami.

Tadeusz biorąc dary i całując rękę
 Rzekł: „Pani! już ja muszę pożegnać panienkę,
 Bądź zdrowa, wspomnij o mnie, i racz czasem zmó-
 [wić
 Pacierz za mnie! Zofio!...“ więcej nie mógł mówić.

Lecz Hrabia, s Telimeną wszedłszy niespodzianie,
 Uważał młodej pary czułe pożegnanie,
 Wzruszył się, i rzuciwszy wzrok ku Telimenie,
 „Ileż! rzekł, jest piękności choć w tej prostej scenie!
 Kiedy dusza pasterki z wojownika duszą,
 Jak łódź z okrętem w burzy rozłączyć się muszą!
 Zaiste! nie tak uczuć w sercu nie rozpala,
 Jako kiedy się serce od serca oddala.
 Czas jest to wiatr, on tylko małą świecę z dmuchnie,
 Wielki pożar od wiatru tém mocniej wybuchnie.

I moje serce zdolne mocniej kochać zdala.
 Panie Soplico! miałem ciebie za rywala;
 Ten błąd był jedną s przyczyn naszej smutnej zwady,
 Która mię przymusiła dostać na was szpady.
 Postrzegam błąd mój; boś ty wzdychał ku pasterce,
 Ja zaś téj pięknej Nimfie oddałem me serce.
 Niech we krwi wrogów nasze utoną urazy,
 Nie będziem się zbójezemi rozpierać żelazy.
 Niech się inaczéj spór nasz zalotny rostrzygnie,
 Walczmy! kto kogo czuciem miłości wyścignie!
 Zostawim oba drogie serc naszych przedmioty,
 Pośpieszymy obadwa na miecze, na groty;
 Walczmy s sobą stałością, żalem i cierpieniem,
 A wrogów naszych mężném ścigajmy ramieniem.“
 —Rzekł, i na Telimenę spójrzał, ale ona
 Nic nie odpowiadała strasznie zadziwiona.

„Mój Hrabio, przerwał Sędzia, poco chcesz konie-
 [cznie
 Wyjeżdżać, wierz mi, w twoich dobrach siedz bes-
 [piecznie.
 Szlachtę biedną rząd mógłby odrzeć i przechłostać,
 Ale ty Hrabio pewien jesteś cały zostać.

„To nie zgodna, rzekł Hrabia, z moim charakterem,
 Nie mogę być kochankiem, będę bohaterem;
 W miłości troskach, sławy zwę pocieszycielki,
 Gdy jestem nędzarz sercem, będę ręką wielki.“

Telimena pytała: „któż Panu przeszkadza
 Kochać i być szczęśliwym!“ — „Mych przeznaczeń
 [władza,“

Rzekł Hrabia; „ciemność przeczuć, które ruchem
 [tajnym

Rwą się ku stronom obcym, dziełom nadzwyczaj-
 [nym.

Wyznaję, że dziś chciałem na cześć Telimenie
 U ołtarzów Hymena zapalić płomienie,
 Ale mi dał zbyt piękny przykład ten młodzieniec,
 Sam dobrowolnie ślubny swój zrywając wieniec,
 I biegnąc serca swego doświadczać w przeszkodach
 Zmiennych losów, i w krwawych wojennych przy-
 [godach.

Dziś otwiera się nowa i dla mnie epoka!

Brzmiała odgłosem broni mój Birbante-roka,

Oby ten odgłos równie w Polszcze się rosszerzył!“

—Skończył, i dumnie szpady rękojeść uderzył.“

Telimena smutnemi rzuciwszy oczyma,
 „Niestety, rzekła, widzę że cię nic nie wstrzyma!
 Rycerzu mój, w wojenne kiedy wstąpisz szranki,
 Obróć czułe spójrzenie na kolor kochanki.
 (Tu wstążkę oderwawszy od sukni, zrobiła
 Kokardę i na piersiach Hrabi przyszpiliła)
 Niech cię ten kolor wiedzie na działa ogniste,
 Na kopije błyszczące i deszcze siarczyste,
 A kiedy się rossławisz walecznemi czyny,
 I gdy nieśmiertelnemi przesłonisz wawrzyny
 Skrwawiony szyszak i hełm twój z wycięstwem hardy,
 I wtenczas jeszcze oko zwróć do téj kokardy.
 Wspomnij czyja ten kolor przyszpiliła ręka!
 Tu mu podała rękę—Pan Hrabia przyklęka,
 Całuje, Telimena zbliżyła do oka
 Chustkę, a drugiem okiem pogląda z wysoka
 Na Hrabie, który żegnał ją mocno wzruszony.
 Ona wzdychała, ale ruszyła ramiony.

Lecz Sędzia rzekł: „mój Hrabio, spiesz się, bo już
 [późno.“

A ksiądz Robak „dość tego“ wołał z miną groźną,

„Spiesz się Wasze.“ Tak rozkaz Sędziego i Księdza
Rozdziela czułą parę i z izby wypędza.

Tymczasem Pan Tadeusz stryja obejmował
Ze łzami, i Robaka w rękę pocałował;
Robak ku piersiom chłopca przycisnąwszy skronie
I na głowie mu na krzyż położywszy dłonie,
Spójrzał ku niebu i rzekł: „Synu! s Panem Bogiem.“
I zapłakał..... A już był Tadeusz za progiem.
„Jakto? zapytał Sędzia, nic mu brat nie powie?
I teraz? biedny chłopiec, jeszcze się nie dowie
O niczém! przed odjazdem?“— „Nie, rzekł Ksiądz,
[o niczém.

(Płacząc długo z zakrytém rękami obliczem)
I pocóż by miał wiedzieć biedny, że ma ojca,
Który się skrył przed światem, jak łotr, jak zabójca?
Bóg widzi jak pragnąłbym, ale s tój pociechy
Zrobię Bogu ofiarę, za me dawne grzechy.

„Więc, rzecze Sędzia, teraz czas myśleć o sobie,
Uważ że człowiek w twoim wieku i chorobie
Nie zdołałby z innymi razem emigrować;

Mówiłeś że wiesz domek, gdzie się masz przechować,
 Powiedz gdzie? spieszmy, czeka zaprzężona bryka:
 Czy nie najlepiej w puszcę do chaty leśnika. «

Robak kiwając głową rzekł: „do jutra rana
 Mam czas, teraz mój bracie pošlij do Plebana
 Aby tu jak najrychlej przybył z wijatykiem,
 Oddał stąd wszystkich, zostań tylko sam s Klu-
 [cznikiem,
 Zamknij drzwi. «

Sędzia spełnił Robaka roskazy
 I usiada na łóżko przy nim; a Gerwazy
 Stoi, łokieć przytwierdza na główi rapiera,
 A czoło pochylone na dłoniach opiera.

Robak nim zaczął mówić, w Kluczniaka oblicze
 Wzrok utkwił, i milczenie chował tajemnicze.
 A jako chirurg naprzód miękką rękę składa
 Na ciele chorującym, nim ostrzem raz zada;
 Tak Robak wyraz bystrych oczu swych złagodził,
 Długo niemi po oczach Gerwazego wodził,
 Nakoniec, jakby ślepym chciał uderzyć ciosem,
 Zasłonił oczy ręką, i rzekł mocnym głosem:

„Jam jest Jacek Soplica“....

Klucznik na to słowo,
Pobladnął, pochylił się, i ciała połową

Wygięty naprzód, stanął, zwiśł na jednej nodze,

Jak głaz lecący z góry zatrzymany w drodze.

Oczy roztwierał, usta szeroko rosszerzał

Grożąc białemi zębami, a wąsy najeżał,

Rapier z rąk upuszczony, przy ziemi zatrzymał

Kolanami, i głównie prawą ręką imał

Cisnąc ją, rapier s tyłu za nim wyciągniony,

Długim czarnym swym końcem chwiał się w różne

[strony,

I Klucznik był podobny rysiowi rannemu,

Który z drzewa ma skoczyć w oczy myśliwemu.

Wydyma się kłębuszkiem, mruczy, krwawe ślepie

Wyiskrza, wąsy rusza, i ogonem trzepie.

„Panie Rębajło, rzekł Ksiądz, już mię nie zatrwożą

Gniewy ludzkie, bo jestem już pod ręką Bożą;

Zaklinam cię na imię Tego co świat zbawił

I na krzyżu zabójcom swoim błogosławił,

I przyjął prośbę łotra; byś się udobruchał,
 I to co mam powiedzieć, cierpliwie wysłuchał.
 Sam przyznałem się, muszę dla ulgi sumienia
 Pozyskać, a przynajmniej prosić przebaczenia,
 Posłuchaj mój spowiedzi; potem zrobisz sobie
 Ze mną, co zechcesz. — I tu złożył ręce obie
 Jak do pacierza; Klucznik cofnął się zdumiony,
 Uderzał ręką w czoło i ruszał ramiony.

A Ksiądz zaczął swą dawną z Horeszką zażyłość
 Opowiadać i swoją z jego córką miłość,
 I swe s tego powodu s Stolnikiem zatargi.
 Lecz mówił nieporządnie, często mieszał skargi
 I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał
 Jak gdyby już ją kończył, i znowu zaczynał.
 Klucznik dzieje Horeszków znający dokładnie,
 Całą tę powieść, chociaż splątana bezładnie,
 Porządkował w pamięci i dopełniać umiał;
 Lecz Sędzia wielu rzeczy zgoła nie rozumiał.
 Oba pilnie słuchali pochyliwszy głowy,
 A Jacek mówił coraz wolniejszemi słowy
 I często zarywał się.

* * *

»Wszak sam wiesz Gerwazeńku, jak Stolnik za-
[praszał

Często mnie na biesiady; zdrowie moje wnaszał,
Krzyczał nieraz do góry podniósłszy szklenicę,
Że nie miał przyjaciela nad Jacka Soplicę;
Jak on mnie ściszał! Wszyscy którzy to widzieli
Myślili, że on ze mną duszą się podzieli.
On przyjaciel? on wiedział, co się wtenczas działo
W duszy mojej!

* * *

»Tymczasem już szeptała o tém okolica,
Jaki taki gadał mi: »Ej Panie Soplica
Daremnie konkurujesz, dygnitarskie progi
Za wysokie na Jacka Podczaszyca nogi.«
Ja śmiałem się, udając że drwiłem z magnatów
I s córek ich, i nie dbam o arystokratów,
Że jeśli bywam u nich, s przyjaźni to robię,
A za żonę nie pojmem tylko równą sobie.

Przecież bodły mi duszę do żywca te żarty;
 Byłem młody, odważny, świat był mnie otwarty
 W kraju, gdzie jako wiecie szlachcic urodzony
 Jest za równo s panami kandydat korony!
 Wszakże Tęczyński niegdyś s królewskiego domu
 Żądał córy, a Król mu oddał ją bez sromu.
 Sopliców czyż nierówne Tęczyńskim zaszczyty
 Krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitėj!

* * *

„Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim
 W jednej chwili; a życiem nie naprawi długiem!
 Jedno słowo Stolnika, jakżebyśmy byli
 Szczęśliwi! kto wie, może dotąd byśmy żyli,
 Może i on, przy swoim kochaném dziecięciu,
 Przy swojej pięknej Ewie, przy swym wdzięcznym
 [zięciu
 Zestarzałby spokojny! może wnuki swoje
 Kołysałby! teraz co? nas zgubił oboje,
 I sam—i to zabójstwo—i wszystkie następstwa
 Tėj zbrodni, wszystkie moje biedy i przestępstwa!...

Ja skarżyć nie mam prawa, ja jego morderca,
 Ja skarżyć nie mam prawa, przebaczam mu s serca,
 Ale i on....

* * *

„Żeby już raz otwarcie był mnie zrekużował,
 Bo znał nasze uczucia; gdyby nie przyjmował
 Mych odwiedzin; to kto wie? możebym odjechał,
 Pogniewał się, połajał, w końcu go zaniechał;
 Ale on chytrze dumny, wpadł na koncept nowy:
 Udawał że mu nawet nie przyszło do głowy
 Żebym ja mógł się starać o związek takowy.
 A byłem mu potrzebnym, miałem zachowanie
 U szlachty, i lubili mnie wszyscy ziemianie.
 Więc on niby miłości mojej nie dostrzegał,
 Przyjmował mnie jak dawniej, a nawet nalegał
 Abym częściej przyjeżdżał; a ilekroć sami
 Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami
 I pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,
 Chytry starzec, wnet wrzucił obojętne słowo:
 *O mych dawnych miłostkach, bo prawda niestety,
 Że już bałamuciłem i dawniej kobiety,

Zwyczajnie młody głupiec:—on gadając o tém
 Przy swojej córce, serce me przeszywał grotem.
 I po takich wspomnieniach, w rospaczy i gniewie
 Czułem, że już nie mogłem mówić mu o Ewie.
 Ach! gdyby on przyzwolił, byłbym się poprawił,
 Ustatkował i z żoną wiek szczęśliwy strawił!
 A wszakże wielka moja wina! Panie Boże
 Otoż pycha!—Stało się—odstać się nie może!
 Panie świeć jego duszy!*

* * *

„Ach nieraz przy kieliszkach, gdy się tak rozrze-
 [wniał,
 Gdy mię tak ścisnął i o przyjaźni zapewniał,
 Potrzebując méj szabli lub kreski na sejmie,
 Gdy musiałem nawzajem ścisnąć go uprzejmie,
 To tak we mnie złość wrzała, że ja obracałem
 Ślinę w gębie, a dłonią rękojeść ścisnąłem,
 Chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać;
 Ale Ewa, zważając mój wzrok i mą postać,
 Zgadywała, nie wiem jak, co się we mnie działo,

Patrzyła błagająca, lice jój bledniało,
 A był to taki piękny gołąbek, łagodny!
 I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny!
 Taki anielski, że już nie wiem, już nie miałem
 Odwagi zagniewać ją, zatrwożyć—milczałem.
 I ja, zawadijaka sławny w Litwie całej,
 Co przedemną największe pany niegdyś drżały,
 Com nie żył dnia bez bitki, co nie Stolnikowi
 Ale bym się pokrzywdzić nie dał i królowi;
 Co we wściekłość najmniejsza wprawiała mnie
 [sprzeczką,
 Ja wtenczas zły i pijany, milczał jak owieczka!
 Jak gdybym sanctissimum ujrzał!

* * *

„Ileż to razy chciałem serce me otworzyć,
 I już się nawet przed nim do prośb upokorzyć,
 Lecz spojrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenia
 Zimne jak lód, wstyd mi był mojego wzruszenia;
 Spieszyłem się znowu jak najzimniej dyskutować
 O sprawach, o sejmikach, a nawet żartować.

Wszystko to prawda s pychy, żeby nie ubliżyć
 Imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć
 Przed panem prozbą prózną, nie dostać odmowy;
 Bo jakieżby to były między szlachtą mowy,
 Gdyby wiadano, że ja Jacek....

* * *

„Soplicy Horeszkowie odmówili dziewkę!
 Że mnie Jackowi czarną podano polewkę!

W końcu sam już nie wiedząc jak sobie poradzić,
 Umyśliłem ze szlachty mały pułk zgromadzić
 I opuścić na zawsze powiat i Ojczyznę,
 Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę
 I zacząć wojnę. Jadę pożegnać Stolnika,
 W nadziei że gdy ujrzy wiernego stronnika,
 Dawnego przyjaciela, prawie domownika,
 S którym pił i wojował przez tak długie lata,
 Teraz żegnającego i kędyś w kraj świata
 Jadącego—że może starzec się poruszy
 I pokaże mi przecież trochę ludzkiej duszy,
 Jak ślimak rogów!

Ach! kto choć na dnie serca ma dla przyjaciela
 Choćby iskierkę czucia, gdy się z nim rozdziela,
 Dobędzie się iskierka ta przy pożegnaniu
 Jako ostatni płomyk życia przy skonaniu!
 Raz ostatni dotknąwszy przyjaciela skroni,
 Częstokroć najzimniejsze oko łzę uroni!

* * *

„Biedna, słysząc o moim odjeździe, pobladła
 Bez przytomności ledwie że trupem nie padła.
 Nie mogła nic przemówić, aż się jój rzuciły
 Strumieniem łzy—poznałem jak byłem jój miły!

* * *

„Pomnę, pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał
 Z radości i z rozpacz, zapomniał się, szalał;
 Już chciałem znowu upaść ojeu jój pod nogi,
 Wić się jak wąż u kolan, wołać: ojczy drogi,
 Weź za syna lub zabij! Wtém Stolnik posepny

Zimny jako słupek soli, grzeczny, obojętny,
 Wszczął dyskurs, o czém? o czém? o córki weselu!
 W téj chwili? o Gerwazy! uważ przyjacielu,
 Masz ludzkie serce!

. Stolnik rzekł: „Panie Soplica,
 Właśnie przyjechał do mnie swat Kasztelanica,
 Ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to?
 Wiesz Wasze, że mam córkę piękną i bogatą,
 A Kasztelan Witebski! wszakże to w Senacie
 Niskie, drążkowe krzesło; cóż mi radzisz bracie?«
 Nie pamiętam już zgoła co mu na to rzekłem,
 Podobno nic—na konia wsiadłem i uciekłem!

* * *

„Jacku! zawołał Klucznik, mądre ty przyczyny
 Wynajdujesz, cóż? one nie zmniejszą twój winy!
 Bo wszakże zdarzało się już nieraz na świecie,
 Że kto pokochał pańskie lub królewskie dziecko,
 Starał się gwałtem zdobyć, przemyślał wykraść,
 Mścić się otwarcie—ale tak chytrze śmierć zadać!«

„Gwałtem porwać? wszak mógłbym, z za krat i za
[klamek

Wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek!
Miałem za sobą Dobrzyń i cztery Zaścianki.

Ach gdyby ona była jak nasze szlachcianki!

Silna i zdrowa! gdyby ucieczki, pogoni

Nie zlekła się, i mogła słuchać szczęku broni!

Lecz ona biedna! tak ją rodzice pieścili,

Słaba, lękliwa! był to robaczek motyli,

* Wiosenna gąsienica! z rodzinnego drzewa

Zerwać ją, byłoby ją zabić—czułem, Ewa

Nie przeżyłaby nigdy mojego zwycięstwa,

Nie przeżyłaby nigdy rodziców przekłętwa.... *

Mścić się otwarcie, szturmem zamek zwalić w gruzy,

Wstyd, boby powiedziano że mścił się rekuzy!

* Soplica mścił się, że mu odmówiono dziewczkę,

Jacek Soplica mścił się za czarną polewkę, *

Kluczniku, twoje serce poczciwe nie umie

Uczuć, ile jest piekła w obrażonej dumie.

„Szatan dumy zaczął mi lepsze plany rać,

Zemścić się krwawo, ale powód zemsty taić,
 Nie bywać w zamku, miłość s serca wykorzenić,
 Puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenić,
 A potém, potém jaką wynaleść zaczepkę,
 Pomścić się.

„I zdało mi się zrazu żem już serce zmienił,
 I rad byłem z wymysłu i—jam się ożenił,
 S pierwszą którą napotkał dziewczyną ubogą!
 Żłem zrobił—jakże byłem ukarany srogo!
 Nie kochałem jój; biedna matka Tadeusza,
 Najprzywiązańsza do mnie, najpoczeiwsza dusza—
 Ale jam dawną miłość i złość w sercu dusił,
 Byłem jako szalony, darmom siebie musil
 Zając się gospodarstwem albo interesem,
 Wszystko na próżno; zemsty opętany biesem,
 Zły, opryskliwy, znaleźć nie mogłem pociechy
 W niczém na świecie — i tak z grzechów w nowe
 Zacząłem pić. [grzechy,

„I tak niedługo żona ma z żalu umarła,
 Zostawiwszy to dziecko, a mnie rozpacz żarła!

* * *

„Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę,
 Tyle lat! gdzie ja nie był, a dotąd nie mogę
 Jój zapomnieć, i zawždy jój postać kochana
 Stoi mi przed oczyma, jakby malowana!
 Piłem, nie mogłem zapić pamięci na chwilę,
 Ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle!
 Teraz oto w habicie jestem Bożym sługą,
 Na łożu, we krwi.—O niej mówiłem tak długo—
 * Jeszczem nie skończył—prawda że pierwszy raz
 [w życiu

I ostatni wyjawiam, co było w ukryciu
 Na dnie sumienia.* Niech mi to Pan Bóg wybaczy!
 Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rozpaczcy
 Popelnilem.....

„Było to właśnie wkrótce po jój zaręczynach;
 Wszędzie gadano tylko o jój zaręczynach,
 Powiadano, że Ewa, gdy brała obrączkę
 Z rąk Wojewody, mdlała, że wpadła w gorączkę,

Że ma początki suchot, że ustawnie szłocha;
 Zgadywano że kogoś potajemnie kocha—
 Ale Stolnik, jak zawsze, spokojny, wesoly,
 Dawał na zamku bale, zbierał przyjacioly;
 Mnie już nie prosił—na cóż byłem mu potrzebny?
 Mój bezład w domu, bieda, mój nałóg haniebny,
 Podaly mnie na wzgardę i na śmiech przed światem!
 Mnie, com niegdyś, rzec mogę, trząśł całym powia-
 [tem!

Mnie, którego Radziwiłł, nazywał kochanku!
 Mnie, com kiedy wyjeżdżał z mojego zaścianku,
 To liczniejszy dwór miałem niżeli książęcy!
 Kiedym szablę dostawał, to kilka tysięcy
 Szabel błyszczało w koło, strasząc zamki pańskie!
 A potem ze mnie śmiały się dzieci włościańskie!
 Tak zrobiłem się nagle w oczach ludzkich lichy!
 Jacek Soplica!—kto zna co jest czucie pychy....“

Tu Bernardyn osłabiał i upadł na łoże,
 A Klucznik rzekł wzruszony: „Wielkie sądy Boże!
 Prawda! prawda! więc to ty? i tyżeś to Jacku!
 Soplico? pod kapturem? żyłeś po żebracku!

Ty, którego pamiętam, gdy zdrowy, rumiany,
 Piękny szlachcic, gdy tobie pochlebiały pany,
 Gdy za tobą kobiety szalały! Wąsalu!
 Nie tak to dawno! takieś zestarzał się z żalu!
 Jakżem ciebie nie poznał po owym wystrzale,
 Kiedyś tak do niedźwiedzia trafił doskonale?
 Bo nad ciebie nie miała strzelca Litwa nasza,
 Byłeś także po Maćku pierwszy do pałasza!
 Prawda! o tobie niegdyś śpiewały szlachcianki:
Oto Jacek wąs kręci, trzęsą się Zaścianki,
A komu na swym wąsie węzełek zawiąże,
Ten zadrży, choćby to był sam Radziwiłł książę.
 Zawiązałeś ty węzeł i mojemu Panu!
 Nieszczęśniku! i tyżes? do takiego stanu?
 Jacek Wąsal kwestarzem! wielkie sądy Boże!
 I teraz! ha! beskarnie ująć tobie nie może,
 Przysięgłem, kto Horeszków krwi kroplę wysą-
 czył....^c

Tymczasem Ksiądz na łożu usiadł i tak kończył:
 „Jeździłem koło zamku; ile bisów w głowie
 I w sercu miałem, kto ich imiona wypowie!
 Stolnik? zabija dziecię własne, mnie już zabił,

Zniszczył?—jadę pod bramę, szatan mnie tam wab ił.
 Patrz jak on hula! codzień w zamku pijatyka,
 Ile świec w oknach, jaka brzmi w salach muzyka!
 I ten zamek na łysą głowę mu nie runie!—
 Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie.

* * *

„Patrzyłem; różne myśli snuły się po głowie.
 Zrazu z uśmiechem głupim, jak na pożar dziecko,
 Patrzyłem, potem radość uczułem zbójecką,
 Czekając rychło zacznie palić się i walić,
 Czasem myśl przychodziła skoczyć, ją ocalić,
 Nawet Stolnika—

* * *

Broniliście się; ty wiesz, dzielnie i przytomnie,
 Zdziwiłem się; Moskale padali w koło mnie,
 Złość mię znowu porwała.—Ten Stolnik zwycięski!
 I także mu na świecie wszystko się powodzi?
 I s tój strasznój napaści s tryumfem wychodzi?

Odjeżdżałem ze wstydem—właśnie był poranek,
 Wtém ujrzałem, poznałem, wystąpił na ganek,
 I brylantową szpinką ku słońcu migotał,
 I wąs pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał,
 I zdało mi się że mnie szczególnieś urągał,
 Że mnie poznał, i ku mnie rękę *tak* wyciągał,
 Szydząc i grożąc—Chwytam karabin Moskala,
 Ledwie przyłożył, prawie nie mierzył—wypala!
 Wiesz!

„Przeklęta broń ognista! kto mieczem zabija,
 Musi składać się, natrzeć, odbija, wywija,
 Może rozbroić wroga, miecz w pół drogi wstrzymać;
 Ale ta broń ognista, dosyć zamek imać,
 Chwila, jedna iskierka...

* * *

„Czyż uciekałem, kiedyś mierzył do mnie z góry?
 Utkwiłem oczy we dwie twojej broni rury,
 Rospacz jakaś! żal dziwny do ziemi mnie przybił!
 Czemuż? ach mój Gerwazy, czemuś wtenczas chybił?

Łaskę byś zrobił! widać za pokutę grzechu
Trzeba było...—“

Tu znowu brakło mu oddechu.

„Bóg widzi, rzecze Klucznik, szczerze trafić chcia-
[łem!

Ileż ty krwi wylałeś twoim jednym strzałem,
Ileż klęsk spadło na nas i na twą rodzinę,
A wszystko to przez Waszą Panie Jacku winę.
A wszakże gdy dziś Jegry Hrabie na cel wzięli,
Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli,
Tyś go zasłonił, i gdy Moskal do mnie palił,
Tyś mnie rzucił o ziemię, tak nas dwóch ocalił.
Jeśli prawda że jesteś księdzem zakonnikiem,
Jużci sukienka broni cię przed Scyzorykiem.
Bądź zdrów, więcej na waszym nie postanę progu,
Z nami kwita,—zostawmy resztę Panu Bogu.“

Jacek rękę wyciągnął,—cofnął się Gerwazy:
Nie mogę, rzekł, bez mego szlachectwa obraży
Dotykać rękę, takim morderstwem skrwawioną,
S prywatnej zemsty, nie zaś pro publico bono.“

Ale Jacek s poduszek na ziemię upadłszy,
 Zwrócił się ku Sędziemu, a był coraz bladziej,
 I niespokojnie pytał o Księdza Plebana,
 I wołał na Klucznika: „zaklinam Waćpana
 Abyś został, wnet skończę, ledwie mam dość mocy
 Zakończyć—Panie Klucznik—ja umrę téj nocy!“

„Co bracie? krzyknął Sędzia, widziałem, wszak rana
 Nie wielka, co ty mówisz? po Księdza Plebana!
 Może źle opatrzone—zaraz po doktora,
 W apteczce jest...“ Ksiądz przerwał: „Bracie już
 [nie pora,
 Miałem tam strzał dawniejszy, dostałem pod Jena,
 Źle zgojony, a teraz draśniono—gangrena
 Już tu—znam się na ranach, patrz jaka krew czarna
 Jak sadza, co tu doktór; ale to rzecz marna,
 Raz umieramy, jutro czy dziś oddać duszę—
 Panie Klucznik, przebaczysz mnie, ja skończyć
 [muszę!

* * *

„Jest w tém zasługa niechcieć zostać winowajcą

Narodowym, choć naród okrzyczy cię zdrajcą!
Zwłaszcza w kim taka jaka była we mnie duma!

* * *

„Imię zdrajcy przylgnęło do mnie jako dżuma.
Odwracali odemnie twarz obywatele,
Uciekali odemnie dawni przyjaciele,
Kto był lękliwy, zdala witał się i stronił;
Nawet lada chłop, lada żyd, choć się pokłonił,
To mię z boku szyderskim przebijał uśmiechem;
Wyraz zdrajca brzmiał w uszach, odbijał się echem
W domie, w polu, ten wyraz od rana do zmroku
Wił się przedemną, jako plama w chorém oku.

* * *

„Uciekłem s kraju!
Gdziem niebył, com nie cierpiał.

* * *

„Aż Bóg raczył lekarstwo jedyne objawić.

Poprawić się potrzeba było i naprawić

Ile możności to....

* * *

„Córka Stolnika, ze swym mężem Wojewodą,

Gdzieś w Sybir wywieziona, tam umarła młodo,

Zostawiła tę w kraju córkę, małą Zosię;

Kazałem ją hodować.

* * *

„Bardziej niżli z miłości, może z głupiej pychy

Zabiłem; więc pokora, wszedłem między mnichy:

Ja niegdyś dumny z rodu, ja com był junakiem,

Spuściłem głowę, kwestarz, zwałem się Robakiem,

Że jako Robak w prochu....

Biłem się za kraj; gdzie? jak? zmilczę; nie dla

[chwały

Ziemińskiej biegłem tylekroć na miecze, na strzały.

* Przybrawszy obce imię; któżby się chciał wślawić,
 Gdy sławy krewnym, dzieciom, nie może zostawić.
 Tyle mi wolno wyznać, że m żył dla Ojczyzny,
 Żem najmiléj te spełniał roskazy starszyny,
 Gdzie wiele niebezpieczeństw, mało było sławy;
 Przemilczę różne moje za krajem wyprawy... *
 Miléj sobie wspominam, nie dzieła waleczne
 I głośne, ale czyny ciche, użyteczne.
 I cierpienia których nikt....

Chciałeś zemsty? masz! boś ty był narzędziem kary
 Bożéj! twoim Bóg mieczem rościął me zamiary.
 Ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie,
 Którém tulił, hodował jak najmilsze dziecko,
 Tyś zabił w oczach ojca, a jam ci przebaczył!
 Ty!....“

„—Oby tylko równie Bóg przebaczyć raczył,
 Przerwał Klucznik

Kto umierającego smuci, wiem że grzeszy.
 Powiem tobie coś, pewnie to ciebie pocieszy.
 Kiedy nieboszczyk Pan mój upadał zraniony,
 A ja klęcząc nad jego piersią pochylony,
 I miecz maczając w ranę, zemstę zaprzysięgnął,

Pan głowę wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął
 W stronę gdzie stałeś, i krzyż w powietrzu nazna-
 [czył;
 Mówić nie mógł, lecz dał znak, że zbrojcy przebaczył.
 Ja też pojąłem, ale tak się z gniewu wściekłem,
 Że o tym krzyżu nigdy i słowa nie rzekłem.“

Tu rozmowę przerwały chorego cierpienia,
 I nastąpiła długa godzina milczenia.
 Oczekują Plebana.—Podkowy zagrzmiały.
 Zastukał do komnaty Arędarz zdyszały,
 List ma ważny, samemu Jackowi pokaże;
 Jacek bratu oddaje, głośno czytać każe.

Jacek słuchając, cicho odmówił modlitwy,
 Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę,
 Podniósł w niebo zatlone nadzieją źrenice,
 I zalał się ostatnich łez rokosznych zdrojem.
 „Teraz, rzekł, Panie, sługę twego puść spokojem!“
 Wszyscy uklękli; a w tém ozwał się pod progiem
 Dzwonek, znak że przyjechał Pleban s Panem Bo-
 [giem.

Właśnie już noc schodziła, i przez niebo mleczne,
Różowe, biegą pierwsze promyki słoneczne,
Wpadły przez szyby jako strzały brylantowe,
Odbiły się na łożu o chorego głowę,
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
Że błyszczał jako święty w ognistój koronie.

PRZYPISY DO KSIĘGI DZIESIĄTEJ.

WARJANTY.

Sędzia, Klucznik i Ksiądz Robak zamykają się w izbie. Mnich czuje że mu kilka chwil zostaje do życia, więc w obec Sędziego brata swego, wyznaje przed Klucznikiem że jest Jackiem Soplicą, ojcem Tadeusza; na te słowa Klucznik:

Jak ryś nim z drzewa spadnie myśliwcowi w oczy
Sierć nadyma, wąs wznosi i ogonem toczy.

ROK 1812.

KSIĘGA JEDENASTA.

O mój Boże! jak wiele widział w młodości swojej
Ciebie i jak wiele doświadczył w życiu
A jednak nigdy nie widział Ciebie w sercu
O mój Boże! jak wiele widział w młodości swojej
Ciebie i jak wiele doświadczył w życiu
A jednak nigdy nie widział Ciebie w sercu
O mój Boże! jak wiele widział w młodości swojej
Ciebie i jak wiele doświadczył w życiu
A jednak nigdy nie widział Ciebie w sercu

ATZANEDEL ADFISE

ROK 1812.

TREŚĆ.

Wróżby wiosenne.—Wkroczenie wojsk.—Nabożeństwo.—Rehabilitacya urzędowa ś. p. Jacka Soplicy.—Z rozmów Gerwazego i Protazego wnosić można bliski koniec processu.—Umizgi ułana z dziewczyną.—Rostrzyga się spór o Kusego i Sokoła.—Zaczém goście zgromadzają się na biesiadę. — Przedstawienie wodzom par narzeczonych.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny: dotąd lubią starzy
O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy.
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;

Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
 Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
 Jakieś oczekiwanie, tęskne i radosne.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
 Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
 Nie biegło na ruń co już umaiła grudę,
 Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy,
 Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
 Nie cieszą się jak zwykle s końca zimy długiej,
 Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,
 Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
 Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
 I pogładają s trwogą ku zachodniej stronie,
 Jakby s tej strony miał się objawić cud jaki.
 I uważają s trwogą wracające ptaki.
 Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny
 I rospiał skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
 A za nim krzykliwemi nadciągnąwszy pulki,
 Gromadziły się po nad wodami jaskółki,

I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
 W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej
 [słomki,
 I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
 I znużone na popas spadają z hałasem,
 A w głębi ciemnej nieba, wciąż jęczą żurawie.
 Słyszac to, nocni stróże pytają w obawie,
 Skąd w królestwie skrzydlatém tyle zamieszania,
 Jaka burza te ptaki tak wczesnie wygania?

Aż oto nowe stada, jakby gilów, siewek,
 I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
 Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie.
 Konnica! dziwne stroje, niewidziane bronie,
 Pułk za pułkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
 Płyną drogami kute żelazem szeregi;
 Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,
 Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

*

Wszyscy napółnoc: rzekłbyś że w on czas z *wyraju*
 Za pastwem i lud ruszył do naszego kraju,
 Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą,
 Płyną; na niebie górą tu i ówdzie łuny,
 Ziemia drży, słychać biją stronami pioruny—

Wojna! wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi,
 Gdzieby jój huk nie doszedł; pomiędzy ciemnymi
 Puszciami, chłop którego dziady i rodzice
 Pomarli nie wyjrzawszy za lasu granice,
 Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
 Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
 Gości innych nie widział oprócz spółleśników;
 Teraz widzi na niebie, dziwna łuna pała,
 W puszczy łoskot, to kula od jakiegoś działa,
 Zbłądziwszy s pola bitwy, drog w lesie szukała,
 Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
 Zadrzał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
 Wstaje na wpół, na przednich nogach się opiera;
 I potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
 Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
 Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
 Pękł z hukiem jakby piorun; żubr pierwszy raz
 [w życiu
 Zląkł się i uciekł w głębszém schować się ukryciu.

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
 Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju,
 O wiosno, kto cię widział jak byłaś kwitnąca
 Zbożami i trawami a ludźmi błyszcząca,
 Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
 Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!
 Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
 Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Soplicowo leżało tuż przy wielkiej drodze,
 Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:
 Nasz Książę Józef i Król Westfalski Hieronim;
 Już zajęli część Litwy od Grodna po Słonim,
 Gdy Król rozkazał wojsku dać trzy dni wytchnienia.

W mieście pobliskim stanął główny sztab książęcy,
 A w Soplicowie obóz czterdziestu tysięcy,
 I ze sztabami swemi Jenerał Dąbrowski,
 Kniaziewicz, Małachowski, Giedrojć i Grabowski.

Późno było gdy weszli; więc każdy gdzie może,
 Zabierając kwatery w zamczysku, we dworze;

Skoro dano rozkazy, rosstawiono czaty,
 Każdy strudzony poszedł spać do swój komnaty.
 Z nocą wszystko ucichło: obóz, dwór i pole;
 Widać tylko jak cienie, błędzące patrole,
 I gdzie niegdzie błyskania ognisk obozowych,
 Słychać kolejne hasła stanowisk wojskowych.

Spali, gospodarz domu, wodze i żołnierze;
 Oczu tylko Wojskiego sen słodki nie bierze;
 Bo Wojski ma na jutro biesiadę wyprawić,
 Którą chce dom Sopliców na wiek wieków wsławić:
 Biesiadę godną miłych sercom polskim gości,
 I odpowiednią wielkiej dnia uroczystości,
 Co jest świętem kościelném i świętem rodziny;
 Jutro odbyć się mają trzech par zaręczyny.
 Zaś Jenerał Dąbrowski oświadczył z wieczora,
 Że chce mieć obiad polski.

Choć spóźniona pora,
 Wojski zebrał co prędziej s sąsiedztwa kucharzy;
 Pięciu ich było, służą, on sam gospodarzy.
 Jako kuchmistrz białym się fartuchem opasał,

Wdział szlafmycę, a ręce do łokciów zakasał;
 W rękę ma placzkę muszą, owad ladajaki
 Opędza, wpadający cheiwie na przysmaki;
 Drugą ręką przetarte okulary włożył,
 Dobył z zanadru księgę, odwinął, otworzył.

Księga ta miała tytuł: *Kucharz doskonały*.

W niej spisane dokładnie wszystkie specyały
 Stołów polskich; podług niej Hrabia na Tęczynie
 Dawał owe biesiady we Włoskiej krainie,
 Którym się Ojciec święty Urban ósmy dziwił;
 Podług niej później Karol-Kochanku-Radziwił,
 Gdy przyjmował w Nieświeżu Króla Stanisława,
 Sprawił pamiętną ową ucztę, której sława
 Dotąd żyje na Litwie we gminnej powieści.

Co Wojski wyczytawszy pojmie i obwieści,
 To natychmiast kucharze robią umiejętni.
 Wre robota, pięćdziesiąt nożów w stoły tętni,
 Zwijają się kuchciki, czarne jak szatany:
 Ci niosą drwa, ci z mlekiem i z winem sagany,
 Leją w kotły, skowrody, w rądle, dym wybuchą;

Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszk
 [dmucha;
 Wojski ażeby ogień tém łacniej rozpalać,
 Roskazał stopionego masła na drwa nalać.
 (Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu)
 Kuchciki sypią w ogień suche pęki łomu.
 Inni na rożny sadzą ogromne pieczenie
 Wołowe, sarnie, cąbry dzicze i jelenie;
 Ci skubią stopy ptastwa, lecą puchów chmury,
 Obnażają się głuszcze, cietrzewie i kury.
 Lecz kur nie wiele było od owój wyprawy
 Którą w czasie zajazdu, Dobrzyński Sak krwawy
 Zrobił na kurnik, kędy Zosi gospodarstwo
 Zniszczył, nie zostawiwszy sztuki na lekarstwo.
 Jeszcze nie mogło ptastwem zakwitnąć na nowo,
 Sławne niegdyś ze drobiu swego Soplicowo.
 Zresztą zaś mięs wszelakich był wielki dostatek,
 Co się zgromadzić dało i z domu i z jatek,
 I z lasów i s sąsiedztwa, zbliska i zdaleka:
 Rzekłbys, ptasiego tylko niedostaje mleka.
 Dwie rzeczy, których hojny Pan do uczy szuka,
 Łączą się w Soplicowie: dostatek i sztuka.

Już wschodził uroczysty dzień *Najświętszej Panny*
Kwietniej; pogoda była przesliczna, czas ranny,
 Niebo czyste w około ziemi obciągnięte,
 Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
 Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
 Przez fale; z boku chmura biała, sama jedna,
 Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
 Podobne do niktających piór Anioła stróża,
 Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
 Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły, i na dnie
 Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie,
 Prawą skronią złożone na wezglówiu cieni,
 Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
 A dalej okrąg jakby powieka szeroka
 Rossuwa się, i w środku widać białek oka,
 Widać tęczę, źrenicę—już promień wytrysnął,
 Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
 I w białej chmurce jako złoty grot zawisnął.
 Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
 Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,

A oko słońca weszło—jeszcze nieco senne
 Przymruża się, drząc wstrząsa swe rzęsy promienne,
 Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
 Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,
 Aż rozślniło się jako kryształ przezroczyste,
 Potém jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
 Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
 Tak po niezmierném niebie szło samotne słońce.

Dziś pospólstwo Litewskie s całej okolicy
 Zebrało się przed wschodem w około kaplicy,
 Jak gdyby na nowego ogłoszenie cudu.
 Zbiór ten pochodził w części s pobożności ludu,
 A w części s ciekawości: bo dziś w Soplicowie
 Na nabożeństwie mają być Jenerałowie.

Już przyszło officerów kilku, tłum żołnierzy;
 Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy,
 Oglądając rodaków mundury noszących,
 Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Wyszła msza—nieobejmie świątynia maleńka
 Całego zgromadzenia; lud na trawie klęka,

Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy:
 Włos Litewskiego ludu biały albo płowy,
 Pozłacał się jako łań dojrzałego żyta;
 Gdzie niegdzie kraśna główka dziewicza wykwita,
 Ubrana w świeże kwiaty, albo w pawie oczy,
 I wstęgi rosplecione, ozdoby warkoczy,
 Śród głów męskich, jak w zbożu bławat i kąkole.
 Klęczący różnobarwy tłum okrywa pole,
 A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
 Chyłą się wszystkie głowy jak kłosa na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela,
 Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;
 Wszystko w koło ubrane w bukiety i w wianki,
 Ołtarz, obraz, a nawet dzwonica i ganki.
 Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
 Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,
 I rozlewa jak z mszalnej kadzielnicy wonie.

A gdy w kościele było po mszy i kazaniu,
 Wyszedł przewodniczący całemu zebraniu
 Podkomorzy, niedawno przez Powiatu Stany

Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.
 Miał mundur Województwa, żupan złotem szyty,
 Kontusz gredyturowy s frendzlą i pas lity,
 Przy którym karabella z głównią jaszczurową,
 Na szyi świecił wielką szpilką brylantową,
 Konfederatka biała, a na niej pęk gruby
 Drogich piórek, były to białych czapel czuby.
 (Na fest kładnie się tylko kitka tak bogata,
 Której każde pióreczko kosztuje dukata.)
 Tak ubrany, na wzgórek wstąpił przed kościołem,
 Wieśniacy i żołnierstwo ścisnęło się kołem;
 On rzekł:

»Cała pomni okolica,
 Co tu zrobił nieboszczyk—Pan Jacek Soplica;
 Ale kiedy o grzechach jego wszyscy wiecie,
 Czas i zasługi jego ogłosić na świecie.
 Obecni tu są naszych wojsk Jenerałowie,
 Od których usłyszałem wszystko co wam mówię.
 Ten Jacek nie był umarł (jak głoszono) w Rzymie,
 Tylko odmienił życie dawne, stan i imię;
 A wszystkie przeciw Bogu i Ojczyźnie winy
 Zgładził, przez żywot święty i przez wielkie czyny.

„On to pod Hohenlinden, gdy Ryszpans Jenerał
 Na pół pobity, już się do odwrotu zbierał,
 Nie wiedząc że Kniaziewicz ciągnie ku odsieczy,
 On to, Jacek, zwan Robak, wśród grotów i mieczy
 Przeniósł od Kniaziewicza listy Ryszpansowi,
 Donoszące że nasi biorą tył wrogowi.
 On potem w Hiszpanii, gdy nasze ułany
 Zdobyły Samosyery grzbiet oszańcowany,
 Obok Kozietulskiego był ranny dwa razy!
 Właśnie o jego śmierci nadeszła wiadomość
 Do Warszawy, w tę chwilę, gdy Cesarz Jegomość
 Raczył mu dać, za dawne czyny bohaterskie,
 Legii honorowej znaki kawalerskie.

„Owoż, te wszystkie rzeczy mając na uwadze,
 Ja, Reprezentujący Województwa władzę,
 Moją Konfederacką ogłaszam wam łaską:
 Że Jacek, wierną służbą i Cesarską łaską
 Zniósł infamii plamę, powraca do cześci,
 I znowu się w rząd prawych patryotów mieści;
 Więc kto będzie śmiał Jacka zmarłego rodzinie
 Wspomnieć kiedy o dawniej zagładzonej winie,

Ten podpadnie za karę takiego wyrzutu,
Gravis notæ maculæ; wedle słów Statutu
 Karzących tak militem jak i skartabella,
 Coby siał infamiją na obywatela;
 A że teraz jest równość, więc artykuł trzeci
 Obowiązuje równie i mieszczan i kmieci.
 Ten wyrok Marszałkowski, pan Pisarz umieści
 W aktach Jeneralności, a Woźny obwieści.

„Co się tycze legii honorowój krzyża,
 Że późno przyszedł, nie to sławie nie ubliża;
 Jeśli Jackowi nie mógł służyć ku ozdobie,
 Niech służy ku pamiętce, wieszam go na grobie.
 Trzy dni tu będzie wisiał, potém do kaplicy
 Złoży się, jako wotum dla Boga-Rodzicy.“

To powiedziawszy, order wydobył s pokrowca,
 I zawiesił na skromnym krzyżyku grobowca
 Uwiązaną w kokardę wstążeczkę czerwoną,
 I krzyż biały gwiaździsty, ze złotą koroną;
 Przeciw słońcu promienie gwiazdy zajaśniały,
 Jako ostatni odbłysek ziemskiej Jacka chwały.

Tymczasem lud na klęczkach Anioł Pański mówi,
 Upraszając o wieczny pokój grzesznikowi,
 Sędzia obchodzi gości i wiejską gromadę,
 Wszystkich do Soplicowa wzywa na biesiadę.

Ale na przyźbie domu usiedli dwaj starce,
 Mając u kolan pełne miodu dwa półgarce;
 Patrzą w sad, gdzie wśród pączków barwistego maku,
 Stał ułan, jak słonecznik w błyszczącym kołpaku
 Strojnym blachą złocistą i piórem koguta,
 Przy nim dziewczę, w zielonej sukience jak ruta
 Pozioma, wznosi oczy błękitne jak bratki
 Ku oczom chłopca; dalej Panny rwały kwiatki
 Po ogrodzie, umyślnie odwracając głowy
 Od kochanków, żeby im nie mieszać rozmowy.

Ale starce miód piją, tabakierką s kory
 Częstując się nawzajem, toczą rozhowory.

„Tak, tak, mój Protazeńku,“ rzekł Klucznik Ger-
 [wazy,
 „Tak, tak, mój Gerwazeńku,“ rzekł Woźny Protazy,

„Tak, to, tak!“ powtórzyli zgodnie kilka razy
 Kiwając w takt głowami; wreszcie Woźny rzecze:
 „Iż proces nasz skończy się dziwnie, ja nie przeczę;
 Wszakże były przykłady; pamiętam processy,
 W których się działy gorsze niż u nas excessy,
 A intercyza cały zakończyła kłopot:
 Tak z Borzdobohatymi pogodził się Łopot,
 Krepsztulowie s Kupściami, Putrament s Pikturną,
 Z Odyńcami Mackiewicz, s Kwileckimi Turno.
 Co mówię! wszak Polacy miewali zamieszki
 Z Litwą, gorsze niżeli s Soplicą Horeszki,
 A gdy na rozum wzięła królowa Jadwiga,
 To się bez sądów owa skończyła intryga.
 Dobrze gdy strony mają panny, albo wdowy
 Na wydaniu, to zawsze kompromis gotowy.
 Najdłuższy process zwykle bywa z duchowieństwem,
 Katolickiem, albo też z bliskiem pokrewieństwem;
 Bo wtenczas sprawy skończyć nie można małżeń-
 [stwem,
 Stąd to Lachy z Rusami w sporach nieskończonych,
 Idąc z Lecha i Russa, dwu braci rodzonych,
 Stąd się tyle processów Litewskich ciągnęło
 Długo s księżmi Krzyżaki, aż wygrał Jagieło.

Stąd nakoniec pendebat długo przed aktami
Sławny ów process Rymszów z Dominikanami.
Aż wygrał wreszcie Syndyk klasztorny ksiądz
[Dymsza,
Skąd jest przysłowie: większy Pan Bóg niż Pan
[Rymsza;
Ja zaś dołożę, lepszy miód od scyzoryka—
To mówiąc półgarcówką przepił do Klucznika.

„Prawda! prawda! rzekł na to Gerwazy wzruszony!
Dziwnec to były losy téj naszéj Korony
I naszéj Litwy! wszakto jak małżonków dwoje!
Bóg złączył, a czart dzieli, Bóg swoje, czart swoje!
Ach bracie Protazeńku! że to oczy nasze
Widzą! że znowu do nas ci Koronijasze
Zawitali! służyłem ja z nimi przed laty,
Pamiętam, dzielne były z nich konfederaty!
Gdyby nieboszczyk Pan mój Stolnik dożył chwili!
O Jacku! Jacku! lecz cóż będziemy kwilili?
Skoro dziś znowu Litwa łączy się s Koroną,
Toć tém samém już wszystko zgodzono, zgładzono.“

„I to dziw, rzekł Protazy, że o téj to Zosi,
O której rękę teraz nasz Tadeusz prosi,

Było przed rokiem, omen, jakoby znak z nieba!«
 — „Panną Zofią, przerwał Klucznik, zwać ją trzeba,
 Bo już dorosła, nie jest dziewczyną maluczką,
 Przytém s krwi dygnitarskiej, jest Stolnika wnu-
 [czką.«

— „Owoż, kończył Protazy, był to znak proroczy
 O jój losie, widziałem znak na własne oczy.
 Przed rokiem tu siedziała w święto czeladź nasza
 Pijąc miód, alic patrzym: pęc, pada s poddasza
 Dwóch wróblów bijących się, oba samcy stare,
 Jeden młodszy cokolwiek miał podgarle szare,
 Drugi czarne; dalejże tłuc się po podwórzu,
 Przewracać kulki, że aż zaryli się w kurzu;
 My patrzym, a tymczasem szepcą sobie sługi
 Że ten czarny niech będzie Horeszko, a drugi
 Soplica, więc ilekroć szary był na górze
 Krzyczą, wiwat Soplica, pfe Horeszki tehórze!
 A gdy spadał wołali, popraw się Soplica,
 Niedaj się magnatowi, to wstyd na szlachcica.
 Tak śmiejąc się czekamy, kto kogo pokona;
 Wtém Zosieńka nad ptastwem litością wzruszona
 Podbiegła i nakryła rączką te rycerze,
 Jeszcze się w ręku bili, aż leciało pierze,

Taka była zawziętość w tém małeńkiem lichu.
 Baby patrząc na Zosię, gadały po cichu,
 Że pewnie przeznaczeniem będzie téj dziewczyny,
 Pogodzić dwie oddawna zwaśnione rodziny.
 A widzę że się dzisiaj ziścił omen babi.
 Prawdać to, że naonczas myślano o Hrabi,
 Nie zaś o Tadeuszu—«

Na to Klucznik rzecze:

„Dziwne są sprawy w świecie, kto wszystko dociecze!
 Ja też powiem Waszeci rzecz choć nie tak cudną
 Jak ów omen, a przecież do pojęcia trudną.
 Wiesz iż dawniej radbym był Sopliców rodzinę
 W łyżce wody utopić; a tego chłopczyne
 Tadeusza, od dziecka niezmiernie polubił.
 Uważałem, że gdy się s chłopiętami czubił,
 Zawsze ich zbił; więc ilekroć do zamku biegał,
 Jam go zawsze do trudnych imprezów podzegał.
 Wszystko mu się udało, czy wydrzeć gołębie
 Na wieży, czy jemiolę oberwać na dębie,
 Czyli z najwyższój sosny złupić wronie gniazdo,
 Wszystko umiał; myślałem: pod szczęśliwą gwiazdą

Urodził się ten chłopiec, szkoda że Soplica!
 Któżby zgadł, że w nim zamku powitam dziedzica!
 Męża Panny Zofii, méj Wielmożnéj Pani.“

Tu skończyli rozmowę, piją zadumani,
 Słysząc tylko niekiedy te krótkie wyrazy:
 Tak, tak, Panie Gerwazy,—tak Panie Protazy.

Przyzba tykała kuchni, której okna stały
 Otworem, i dym jako s pożaru buchały,
 Aż s kłębów dymu niby biała gołębicą,
 Mignęła świecąca się Kuchmistrza szlafmyca...
 Wojski, przez okno kuchni po nad starców głowy,
 Wytknąwszy głowę, milczkiem słuchał ich rozmowy,
 I podał im nareszcie filiżanki spodek,
 Pełen biszkoptów, mówiąc: „Zakaście wasz miodek,
 A ja wam też opowiem historią ciekawą
 Sporu, który miał bitwą zakończyć się krwawą,
 Gdy polujący w głębi Nalibockich lasów
 Rejtan, wypłatał sztukę ksiąźęciu Denassów.
 Téj sztuki omal własném nieprzyplacił zdrowiem;
 Jam kłótnię Panów zgodził, jak, to wam opowiem.“
 —Ale Wojskiego powieść przerwali kucharze,
 Pytając komu serwis ustawić rozkaże.

Wojski odszedł, a starcy zaczerpnąwszy miodu,
 Zadumani zwrócili oczy w głąb ogrodu,
 Gdzie ów dorodny Ułan rozmawiał s Panienką.
 Właśnie Ułan ująwszy jój dłoń lewą ręką,
 (Prawą miał na temlaku, widać że był ranny)
 S takimi odezwał się słowami do Panny:
 „Zofio, musisz to mnie koniecznie powiedzieć,
 Nim zamienim pierścionki, muszę o tém wiedzieć.
 I cóż że przeszłej zimy byłaś już gotowa
 Dać słowo mnie? ja wtenczas nie przyjąłem słowa:
 Bo i cóż mnie po takim wymuszonym słowie.
 Wtenczas bawiłem bardzo krótko w Soplicowie,
 Nie byłem taki próżny ażebym się łudził,
 Żem jedném mém spojrzeniem miłość w tobie wzbu-
 [dził;
 Ja nie fanfaron, chciałem mą własną zasługą
 Zyskać twe względy, choćby przyszło czekać długo.
 Teraz jesteś łaskawa twe słowo powtórzyć:
 Czémże na tyle łaski umiałem zasłużyć?
 Może mnie bierzesz Zosiu nie tak s przywiązania,
 Tylko że stryj i ciotka do tego cię skłania;
 Ale małżeństwo Zosiu jest rzecz wielkiej wagi,
 Radź się serca własnego, niczyjój powagi

Tu niesłuchaj, ni stryja groźb, ni namów cioci,
 Jeśli nie czujesz dla mnie nic oprócz dobroci,
 Możem te zaręczyny czas jakiś odwlekać,
 Więzić twój woli niechęć, będziem Zosiu czekać.
 Nic nas nie nagli, zwłaszcza że wczora wieczorem,
 Dano mi rozkaz zostać w Litwie instruktorem
 W pułku tutejszym, nim się z mych ran nie wyleczę:
 I cóż kochana Zosiu? «

Na to Zosia rzecze,
 Wznosząc głowę i patrząc w oczy mu nieśmiało:
 „Nie pamiętam już dobrze co się dawniej działo;
 Wiem że wszyscy mówili iż za mąż iść trzeba
 Za Pana; ja się zawsze zgadzam z wolą nieba
 I z wolą starszych«—potém spuściwszy oczęta
 Dodała: „przed odjazdem, jeśli Pan pamięta,
 Kiedy umarł Książdz Robak, w ową burzę nocną,
 Widziałam, że Pan jadąc żałował nas mocno,
 Pan łzy miał w oczach; te łzy, powiem Panu szczerze,
 Wpadły mnie aż do serca; odtąd Panu wierzę
 Że mnie lubisz; ilekroć mówiłam pacierze
 Za Pana powodzenie, zawsze przed oczami

Stał Pan s temi dużemi błyszczącemi łzami.
 Potém Podkomorzyna do Wilna jeździła,
 Wzięła mnie tam na zimę, alem ja tęskniła
 Do Soplicowa i do tego pokoiku,
 Gdzie mnie Pan naprzód w wieczór spotkał przy
 [stoliku,
 Potém pożegnał; nie wiem skąd pamiątka Pana,
 Coś niby jak rossada w jesieni zasiana,
 Przez całą zimę w mojem sercu się krzewiła,
 Że jako mówię Panu—ustawniem tęskniła
 Do tego pokoiku, i coś mi szeptało,
 Że tam znów Pana znajdę, i tak się też stało.
 Mając to w głowie, często też miałam na ustach
 Imię Pana—było to w Wilnie na zapustach;
 Panny mówiły że ja jestem zakochana:
 Jużei jeżeli kocham, to już chyba Pana. «
 —Tadeusz rad s takiego miłości dowodu,
 Wziął ją pod rękę, ścisnął, i wyszli z ogrodu
 Do pokoju damskiego, do owój komnaty
 Kędy Tadeusz mieszkał przed dziesięcią laty.

Teraz bawił tam Rejent, cudnie wystrojony,
 I usługiwał damie swojej narzeczonej

Biegając i podając sygnety, łańcuszki,
Słoiki i flaszeczki i proszki i muszki,
Wesoł, na pannę młodą patrzył tryumfalnie.
Panna młoda kończyła robić gotowalnię;
Siedziała przed zwierciadłem radząc się bóstw
[wdzięku;
Pokojowe zaś, jedne z żelaskami w ręku
Odświeżają nadstygłe warkoczów pierścionki,
Drugie klęcząc pracują około falbonki.

Gdy się tak Rejent bawi ze swą narzeczoną,
Kuchcik stuknął doń w okno; kota postrzeżono.
Kot wykradłszy się z łoży prześmignął po łące
I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące,
Tam siedzi, wystraszyć go łącno z rozsadniku
I uszczuć postawiwszy charty na przesmyku.
Bieży Assesor ciągnąc za obróż Sokoła,
Pospiesza za nim Rejent i Kusego woła,
Wojski obu s chartami przy płocie ustawił,
A sam się s placką muszą do sadu wyprawił,
Depcąc, świszcząc i klaszcząc, bardzo zwierza
[trwoży;
Szczwacze, trzymając każdy charta na obroży,

Ukazują palcami skąd zając wyruszy,
 Cmokają scicha; charty nadstawiły uszy,
 Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie
 Jak dwie strzały złożone na jednej cięciwie.
 Wtém Wojski krzyknął: „wycz-ha!” zając smyk
 [z za płotu

Na łąkę, charty za nim, i wnet bez obrotu,
 Sokoł i Kusy razem spadli na szaraka
 Ze dwóch stron w jednej chwili, jak dwa skrzydła
 [ptaka

I zęby mu jak szpony zatopili w grzbiecie.
 Kot jęknął raz, jak nowo narodzone dziecko,
 Żałośnie! biegą szczwacze: już leży bez ducha.
 A charty mu sierść białą targają spod brzucha.

Szczwacze pogłaskali psy, a Wojski tymczasem
 Dobył nożyk strzelecki wiszący za pasem,
 Oderznął skoki i rzekł: „dziś równą odprawę
 Wezmą pieski, bo równą pozyskali sławę,
 Równa ich była rączność, równa była praca,
 Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca,
 Godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów
 [charty;

Otoż skończony spór wasz długi i zażarty;
Ja, któregoście sędzią zakładu obrali,
Wydaję wreszcie wyrok: obaście wygrali,
Wracam fanty, niech każdy przy swoim zostanie,
A wy podpiszcie zgodę. « Na starca wezwanie,
Szczwacze zwrócili na się rozjaśnione lice
I długo rozdzielone złączyli prawice.

Wtém rzekł Rejent: „stawiłem niegdyś konia
[z rzędem,
Opisałem się także przed ziemskim urzędem
Iż pierścień mój sędziemu w salarium złożę;
Fant postawiony w zakład wracać się nie może.
Pierścień niechaj Pan Wojski na pamiątkę przyjmie,
I każe na nim wyryć albo swoje imie,
Lub gdy zechce, herbowne Hreczechów ozdoby;
Krwawnik jest gładki, złoto jedynastej proby.
Koniał teraz Ułani pod jazdę zabrali,
Rzęd został przy mnie, każdy znawca ten rząd chwali
Iż jest wygodny, trwały, a piękny jak cacko:
Kulbaczka wąska modą s turecka kozacką,
Kula na przodzie, w kuli są drogie kamienie,

Poduszczecka z rubrontu wyściela siedzenie.
 A kiedy na łęk wskoczysz, na tym miękkim puszku
 Między kulami siedzisz wygodnie jak w łóżku;
 A gdy w galop puścisz się (tu Rejent Bolesta
 Który jako wiadomo, bardzo lubił gesta,
 Rosstawił nogi jakby na konia wskakiwał,
 Potém galop udając powoli się kiwał)
 A gdy w galop puścisz się, natenczas s czapraka
 Blask bije, jakby złoto kapało z rumaka,
 Bo tabenki są gęsto złotem nakrapiane,
 I szerokie strzemiona srebrne pozłacane;
 Na rzemieniach musztuka i na uździenicy
 Połyskają guziki perłowej macicy,
 U napiersznika wisi księżyc w kształt Leliwy,
 To jest w kształt nowiu. Cały ten sprzęt osobliwy,
 Zdobyty (jak wieść niesie) w boju Podhajeckim
 Na jakimś bardzo znacznym szlachcicu tureckim,
 Przyjm Assesorze w dowód mojego szacunku.“

A na to rzekł Assesor wesoł s podarunku:
 „Ja niegdyś darowane od Księcia Sanguszki
 Stawiłem w zakład moje prześliczne obróżki,

Jaszczurem wykładane s kolcami ze złota,
 I utkaną z jedwabiu smycz, której robota
 Równie droga jak kamień co się na niéj świeci.
 Chciałem sprzęt ten zostawić w dziedzictwie dla
 [dzieci;
 Dzieci pewnie mieć będę, wiesz że się dziś żenię;
 Ale ten sprzęt Rejencie, proszę uniesienie
 Bądź łaskaw przyjąć w zamian za twój rząd bogaty,
 I na pamiątkę sporu, co długimi laty
 Toczył się, i nareszcie zakończył zaszczytnie
 Dla nas obu. Niech zgoda między nami kwitnie. ^c
 Więc wracali do domu oznajmić za stołem,
 Że się skończył spór między Kusym i Sokolem.

Była wieść, że zająca tego Wojski w domu
 Wyhodował i w ogród puścił po kryjomu,
 Ażeby szczwaczów zgodzić zbyt łatwą zdobyczą;
 Staruszek tak swą sztukę zrobił tajemniczo,
 Że oszukał zupełnie całe Soplicowo.
 Kuchcik w lat kilka później szepnął o tém słowo,
 Chcąc Assesora skłócić z Rejentem na nowo;
 Ale próżno krzywdzące chartów wieści szerzył,
 Wojski zaprzeczył, i nikt kuchcie nie uwierzył.

Już goście zgromadzeni w wielkiej zamku sali,
 Czekać uczy w koło stołu rozmawiali,
 Gdy Pan Sędzia w mundurze Wojewódzkim wchodzi,
 I Pana Tadeusza z Zofią przywodzi.
 Tadeusz lewą dłonią dotykając głowy,
 Pozdrowił swych dowódców przez ukłon wojskowy.
 Zofia z opuszczonem ku ziemi wejrzeniem,
 Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem;
 (Od Telimeny pięknie dygać wyuczona.)
 Miała wianek na głowie jako narzeczona,
 Zresztą ubior ten samy w jakim dziś w kaplicy
 Składała snop wiosenny dla Boga Rodzicy.
 Ujęła znów dla gości nowy snopek ziela;
 Jedną ręką zeń kwiaty i trawy rozdziela,
 Drugą swój sierp błyszczący poprawia na głowie.
 Brali ziółka całując jęć ręce wodzowie.
 Zosia znowu dygała w kolój zapłoniona.

Wtém Jenerał Kniaziewicz wziął ją za ramiona,
 I złożywszy ojcowski całus na jęć czole,
 Podniósł w górę dziewczynę, postawił na stole:
 A wszyscy klaszcząc w dłonie zawołali, brawo!

Zachwyceni dziewczyny urodą, postawą,
 A szczególnie jej strojem Litewskim, prostaczym;
 Bo dla tych wodzów, którzy w swém życiu tułaczém
 Tak długo błakali się w obcych stronach świata,
 Dziwne miała powaby narodowa szata,
 Która im wspominała i młode ich lata
 I dawne ich miłostki; więc ze łzami prawie
 Skupili się do stołu, patrzyli ciekawie.
 Ci proszą aby Zosia wzniosła nieco czoło
 I oczy pokazała, ci ażeby w kóło
 Raczyła się obrócić; dziewczyna wstydliva
 Obraca się, lecz oczy rękami zakrywa.
 Tadeusz patrzył wesoł i zacierał ręce.

Czy ktoś Zosi poradził wyjść w takiej sukience,
 Czy instynktem wiedziała, (bo dziewczyna zgadnie
 Zawsze instynktem, co jej do twarzy przypadnie)
 Dosyć, że Zosia pierwszy raz w życiu dziś z rana
 Była od Telimeny za upór łajana,
 Nie chcąc modnego stroju, aż wymogła płaczem
 Że ją tak zostawiono, w ubraniu prostaczym.

Spódniczkę miała długą, białą; suknię krótką

Z zielonego kamlotu, z różową obwódka;
 Gorset także zielony, różowemi wstęgi
 Od łona aż do szyi sznurowany w pręgi;
 Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.
 Od ramion świecą białe rękawy koszuli,
 Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,
 U dłoni skarbowane i wstążką opięte;
 Szyja także koszulką obciśniona wąską,
 Kołnierzyk zadzierzgniony różową zawiąską;
 Zauszniczki wyrzniete sztucznie s pestek wiszni:
 Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni,
 (Były tam dwa serduszka z grotem i płomykiem
 Dane dla Zosi, gdy Sak był jój zalotnikiem);
 Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu,
 Na skroniach zielonego wianek rozmarynu;
 Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,
 A na czoło włożyła, zwyczajem żniwiarki,
 Sierp krzywy, świeżem żęciem traw oszlifowany,
 Jasny, jak nów miesięczny nad czołem Dyany.

• Wszyscy chwalą, klaskają. Jeden z oficerów
 Dobył s kieszeni *portefeuille* s plikami papierów,

Rozłożył je, ołówek przyciął, w ustach zmoczył,
 Patrzy w Zosię, rysuje. Ledwie Sędzia zoczył
 Papiery i ołówki, poznał rysownika,
 Choć go bardzo odmienił mundur pułkownika,
 Bogate szlify, mina prawdziwie ułańska,
 I wąsik poczerniony i bródka hiszpańska.
 Sędzia poznał: „Jak się masz, mój Jaśnie Wielmożny
 Hrabio, i w ładownicy masz twój sprzęt podróżny
 Do malarstwa!“ — W istocie był to Hrabia młody,
 Nie dawny żołnierz, lecz że wielkie miał dochody
 I swoim kosztem cały pułk jazdy wystawił,
 I w pierwszej zaraz bitwie wybornie się sprawił,
 Cesarz go pułkownikiem dziś właśnie mianował:
 Więc Sędzia witał Hrabie i rangi wieszował,
 Ale Hrabia nie słuchał, a pilnie rysował.

Tymczasem weszła druga para narzeczona:
 Assesor niegdyś Cara, dziś Napoleona
 Wierny sługa; żandarmów oddział miał w komendzie,
 A choć ledwie dwadzieścia godzin był w urzędzie.
 Już włożył mundur siny s Polskimi wyłogi
 I ciągnął krzywą szablę i dzwonił w ostrogi.

Obok poważnym krokiem szła jego kochanka
Ubrana bardzo strojnie, Tekla Hreczeszanka;
Bo Assesor już dawno Telimenę rzucił,
I aby tę kokietkę tém mocniój zasmucił,
Ku Wojszczance affekty serdeczne obrócił.
Panna nie nadto młoda, już pono pół-wieczna,
Lecz gospodyni dobra, osoba stateczna
I posażna, bo oprócz swój dziedzicznój wioski
Sumką z daru Sędziego powiększała wnioski.

Trzeciój pary daremnie czekają czas długi.
Sędzia niecierpliwi się, i wysyła sługi;
Wracają: powiadają że trzeci małżonek,
Pan Rejent, szcując kota, zgubił swój pierścionek
Ślubny, szuka na łące; a Rejenta dama
Jeszcze u gotowalni, choć spieszy się sama
I choć jój pomagają służebne kobiety,
Nie mogła w żaden sposób skończyć toalety:
Ledwie będzie gotowa na godzinę czwartą.

Obojętnym krokiem zła jest kochanka
 Trzema barzdo siołkami. Tola. Hrozszanki
 Bo Asesor już dawno Tolimang tuż
 I aby to kokieta tam mooniej kszuń
 Ka. Wejrzano ality garbca obdol. W
 Panna nie racho młoda, już gone got-wieczna
 I coz gospodni. Obojętne
 I poszła, porożek zwij danielce wieszki od
 Szuka z dan Szabego powięzła wiońkie
 I wstawy wódz kład mianek mowa

Trzeci parę darzenie czekać czas drugi
 Szukaj niecierpliwie się i wstawy służy
 Wszakże: powiadają że trój wazon
 Pan Rejent archyjsko kota, wstępnie niestojonek
 Słaby, szaka na łos; a Rejent duma
 Jazze a gotowal, choć spiesz się sama
 I choć ję pomajaj słuźne kobicy
 Nie mogła w żaden sposób znieżyć (osalej)
 I chwile będzie gotowa na godanie czwarta

KOCHAJMY SIĘ

KSIĘGA DWUNASTA.

KOCHAJMY SIĘ.

TREŚĆ.

Ostatnia Uczta staropolska. — Arcy-serwis. — objaśnienie jego figur.—Jego ruchy.—Dąbrowski udarowany.—Jeszcze o Scyzoryku. — Kniaziewicz udarowany. — Pierwszy akt urzędowy Tadeusza przy objęciu dziedzictwa. — Uwagi Gerwazego.—Koncert nad koncertami.—Polonez.—Kochajmy się!

Nakoniec s trzaskiem, sali drzwi na wściąg otwarto.
Wchodzi Pan Wojski w czapce i z głową zadartą,
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze,
Bo Wojski występuje w nowym charakterze
Marszałka dworu; laskę ma na znak urzędu,
I tą laską s kolei, jako mistrz obrzędu,

Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.
 Naprzód, jako najpierwsza Województwa władza,
 Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne,
 Ze słoniowym poręczem krzesło aksamitne;
 Obok na prawej stronie Jenerał Dąbrowski,
 Na lewej siadł Kniaziewicz, Pac i Małachowski.
 Śród nich Podkomorzyna, dalej inne panie,
 Officerowie, Pany, szlachta i ziemianie,
 Mężczyzni i kobiety, na przemian po parze,
 Usiadają porządkiem gdzie Wojski ukaże.

Pan Sędzia skłoniwszy się opuścił biesiadę;
 On na dziedzińcu włościan traktował gromadę,
 Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim,
 Sam siadł na jednym końcu, a Pleban na drugim.
 Tadeusz i Zofia do stołu nie siedli,
 Zajęci częstowaniem włościan, chodząc jedli.
 Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi
 Na pierwszój uczcie sami służyli ludowi.

Tymczasem goście potraw czekający w sali,
 Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali,

Którego równie drogi kruszec jak robota.
 Jest podanie, że Książę Radziwił-Sierota
 Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić,
 I wedle własnych planów po polsku ozdobić.
 Serwis potem zabrany czasu wojny szwedzkiej,
 Przeszedł, niewiedziąc jaką drogą, w dom szlachecki,
 Dziś ze skarbca dobyte, zajął środek stoła,
 Ogromnym kręgiem, nakształt karetnego koła.

Serwis ten był nalany odedna po brzegi
 Piankami i cukrami białemi jak śniegi,
 Udawał przewybornie krajobraz zimowy;
 W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,
 Stronami domy, niby wioski i zaścianki,
 Okryte zamiast sronu, cukrowemi pianki;
 Na krawędziach naczynia, stoją dla ozdoby,
 Niewielkie s porcelany wydęte osoby
 W Polskich strojach; jakoby aktory na scenie,
 Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
 Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,
 Tylko głosu im braknie, zresztą gdyby żywe.

Cóż przedstawiają? goście pytali ciekawi,

Zaczém Wojski podnosi laskę i tak prawi:
 (Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem)
 „Za mych Wielce Mościwych Panów pozwoleniem
 Te persony których tu widzicie bez liku,
 Przedstawiają Polskiego historyą sejmiku,
 Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie,
 Sam tę scenę odgadłem i Państwu objaśnię.

Oto na prawo widać liczne szlachty grono:
 Pewnie ich przed sejmikiem na ucztę sproszono,
 Czeka nakryty stolik; nikt gości nie sadza,
 Stoją kupkami, każda kupka się naradza.
 Patrzcie! iż w każdej kupce stoi w środku czło-
 [wiek
 Z którego ust otwartych, s podniesionych powiek,
 Rąk niespokojnych, widać—mówca coś tłumaczy,
 I palcem explikuje i na dłoni znaczy.
 Ci mówcy zalecają swoich kandydatów,
 Z różnym skutkiem, jak widać z miny szlachty
 [bratów.

Wprawdzie tam w drugiej kupie szlachta pilnie
 [słucha,

Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,
 Ów dłoń przy uchu trzyma i milczkiem wąs kręci,
 Zapewnie słowa zbiera i niże w pamięci.

Cieszy się mówca widząc, że są nawróceni,
 Gładzi kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni.

Lecz za to w trzecim gronie dzieje się inaczej:

Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy;

Patrzcie, wrywają się i cofają uszy,

Patrzcie jako ten słuchacz od gniewu się puszy,

Wzniósł ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka,

Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika;

Ten drugi pochyliwszy czoło nakształt byka,

Powiedziałbyś że mówcę pochwyci na rogi,

Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.

Jeden między kupkami szlachcie cichy stoi,

Widać że człek bezstronny, waha się i boi,

Za kim dać kreskę! nie wie i sam s sobą w walce,

Pyta losu, wznosił ręce, wytknął wielkie palce,

Zmrużył oczy, paznokciem do paznokcia mierzy,

Widać że kreskę swoją kabale powierzy;
 Jeśli palce trafią się, da afirmatiwę,
 A jeżeli się chybią, rzuci negatywę.

Na lewój druga scena; refektarz klasztoru
 Obrócony na salę szlacheckiego zboru.
 Starsi rzędem na ławach siedzą, młodzi stają
 I ciekawi przez głowy w środek zagląдают;
 W środku Marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,
 Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma,
 Właśnie wytrząśł ostatnią; Woźni ręce wznoszą
 I imie obranego urzędnika głoszą.

Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa,
 Patrz, wytknął głowę oknem s kuchni refektarza,
 Patrz jak oczy wytrząszczył, jak pogląda śmiało,
 Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;
 Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: veto!—
 Patrzcie jak za tą nagłą do kłótni podnieta,
 Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnię,
 Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie.

Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie
 Tego starego księdza co idzie w ornacie,
 To Przeor, Sanctissimum z ołtarza wynosi,
 A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi;
 Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,
 A ksiądz tam się obraca gdzie jeszcze broń szczęka,
 Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.

„Ach! wy nie pamiętacie tego Państwo młodzi!
 Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,
 Zbrojnej, nie trzeba było policyi żadnej;
 Dopóki wiara kwitła, szanowane prawa,
 Była wolność s porządkiem i z dostatkiem sława!
 W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,
 Policyantów różnych, żandarmów, konstabów.
 Ale jeśli miecz tylko bezpieczeństwa strzeże,
 Żeby w tych krajach była wolność—nie uwierzę.“

Wtém dzwoniąc w tabakierę, rzekł Pan Podko-
 [morzy:

„Panie Wojski, niech Wasze na potém odłoży

Te historye; prawda że sejmik ciekawy,
Ale my głodni, każ Wać przynosić potrawy.“

Na to Wojski, skłaniając aż do ziemi laskę:
„Jaśnie Wielmożny Panie, zróbże mi tę laskę:
Zaraz dokończę scenę ostatnią sejmików;
Oto nowy Marszałek na rękę stronników
Wyniesion z refektarza, patrz, jak szlachta braty,
Rzucają czapki, usta otwarli,—wiwaty!
A tam po drugiej stronie Pan przekręskowany
Sam jeden, czapkę wcisnął na łeb zadumany,
Żona przed domem czeka, zgadła co się dzieje,
Biedna! oto na rękę pokojowej mdleje,
Biedna! Jaśnie Wielmożnej tytuł przybrać miała!
A znów tylko Wielmożną na lat trzy została!“

Tu Wojski skończył opis, i laską znak daje,
I wnet zaczęli wchodzić parami lokaje
Roznoszący potrawy; barszcz, królewskim zwany,
I rosół staro-polski sztucznie gotowany,
Do którego Pan Wojski z dziwnymi sekrety
Wrzucił kilka perełek i sztukę monety,

Taki rosół krew czyści i pokrzepia zdrowie—
 Dalej inne potrawy, a któż je wypowie!
 Kto zrozumie nieznane już za naszych czasów,
 Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,
 Z ingrediencyami pomuchl, figatelów,
 Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunelów;
 Owe ryby! łososie suche, dunajeckie,
 Wyżyny i kawiary weneckie, tureckie,
 Szczuki główne i szczuki podgłówne, łokietne,
 Flądry i karpie ćwiki i karpie szlachetne!
 W końcu sekret kucharski: ryba nie krojona,
 U głowy przyśmażona, we środku pieczona,
 A mająca potrawkę s sosem u ogona.

Goście ani pytali nazwiska potrawy,
 Ani ich zastanowił ów sekret ciekawy,
 Wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem,
 Kieliszki napełniając węgrzynem obfitem.

* Tymczasem serwis dalej zmieniał pory roku,
 Powierzchnia jego oschła s konfitur potoku,
 Zieloną różnobarwną zabłysnęła wiosną,

Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosną,
 Pszenica s cukru żółtym malowna szafraném
 Na kłosach przysypana liściem pozłacaném;
 Groch z świętojańskim strąkiem, z masła owies błady
 I gryka wyrobiona sztucznie s czekolady.
 Z drzew powoli białawe otopniało kwiecie
 Wydając na jaw owoc dojrzały jak w lecie.
 Sapieżanki i dule i jabłka i bery,
 Zielone, malinami skrapiane szpalery. *

Ledwie mają czas goście darów lata użyć
 Darmo proszą Wojskiego żeby je przedłużyć.

* Bo serwis jako świat nasz koniecznym obrotem
 Zmienia kształt; już owoce malowane złotem,
 Nabrawszy ciepła w izbie, powoli topnieją,
 Upadają z gałązek, liście czerwienieją. *

Sypią się, rzekłbyś iż wiatr jesienny powiewa,
 Nakoniec owe chwilą przedtém strojne drzewa,
 Teraz jakby odarte od wichrów i śronu
 Stoją nagie; były to laski cynamonu,
 Lub udające sosnę gałąski wawrzynu,
 Odziane zamiast koleców ziarenkami kminu.—

Goście pijący, wino, zaczęli gałąski
Pnie i korzenie zrywać i gryść dla zakąski.

* Lecz na końcu serwisu, stał porcelanowy,
Dom, jakoby dwór pański przeslicznej budowy
Gustem włoskim, podobny do onych pałaców,
Które w Litwie stawiała familija Paców.

W tym domu otwarły się na sprężynach bramy
I wyjeżdżają tłumnie panowie i damy
Na koniach piernikowych, a wiodą na smyczy
Charty s ciasta: za niemi orszak obławniczy,
S flintami, z oszczepami, prowadzący sfory
I ogarów, dalej sieci ciągną się tabory. *
Wojski obchodził serwis i pełen radości,
Tryumfujące oczy obracał na gości.

Henryk Dąbrowski udał wielkie zadziwienie
I rzekł: „Mój Panie Wojski, czy to chińskie cienie?
Czy to Pinety Panu dał w służbę swe bisy?
Czy dotąd u was w Litwie są takie serwisy
I wszyscy takim starym ucztują zwyczajem?
Powiedz mi, bo ja życie strawiłem za krajem.“

Wojski rzekł kłaniając się: „Nie, Jaśnie Wielmożny

Jenerale, nie jest to żaden kunszt bezbożny!
Jest to pamiątka tylko owych biesiad sławnych,
Które dawano w domach panów starodawnych,
Gdy Polska używała szczęścia i potęgi!
Com zrobił, tom wyczytał s tój tu oto księgi.
Pytasz, czy wszędzie w Litwie ten się zwyczaj chowa;
Niestety! już i do nas włązi moda nowa.
Nie jeden panicz krzyczy że nie cierpi zbyt ków,
Jé jak Żyd, skąpi gościom potraw i napitków,
Potém w wieczór na karty tyle złota straci,
Że za nie dałbyś ucztę na stu szlachty braci.
Nawet (bo co na sercu mam, dziś powiem szczerze,
Niech tego Podkomorzy za złe mi nie bierze)
Kiedym ten serwis cudny ze skarbcza dobywał,
To nawet Podkomorzy i on mnie przedrwiwał!
Mówiąc, że to machina zrudna, staroświecka,
Że to ma pozór niby zabawki dla dziecka
Nieprzyzwoitój dla tak znakomitych ludzi!
Sędzio! i Sędzia mówił że to gości znudzi!
A przecież ile wnoszę s Panów zadziwienia,
Widzę iż ten kunszt piękny godzien był widzenia!
Nie wiem czy się podobna okazyja zdarzy
Częstować w Soplicowie takich dygnitarzy.

Widzę że Pan Jenerał na biesiadach zna się,
 Niechaj przyjmie tę książkę, ona Panu zda się
 Gdy będziesz dla monarchów zagranicznych grona
 Dawał ucztę, ba nawet dla Napoleona.
 Ale pozwól nim księgę tę Panu poświęcę,
 Niech powiem jakim trafem wpadła w moje ręce.“

* Tę książkę, jako mówił mnie Bartosz Dobrzyński
 Posiadał w Wielkopolsce naprzód pan Poniński.
 Nie ów Poniński Łodzian, człowiek z brzydką sławą,
 Co to skrewiwszy, umarł u żyda pod ławą;
 Lecz Poniński Starosta. Ten żyjąc wspaniale,
 Podług téj książki dawał obiady i bale.
 Przed śmiercią zapisał ją sąsiadowi swemu,
 Co mieszkał w Kopaszewie, panu Skórzewskiemu;
 Wreszcie książkę od pana Skórzewskiego żony
 Dostał Bartek Dobrzyński, Prusakiem rzeczony,
 Gdy gościł w Wielkopolsce. Jak zabytek drogi
 Prawych zwyczajów, przywiózł ją w ojczyście progi;
 Lecz małą mając kuchnię, człek miernego stanu,
 Oddał ją mnie. Niechaj służy Wielmożnemu Panu.*

Wtém szmer powstał za drzwiami, razem głosów
 [wiele

Zawołało: «Niech żyje Kurek na kościele!»
 Ciżba tłoczy się w salę, a Maciej na czele.
 Sędzia gościa za rękę do stołu prowadził,
 I wysoko pomiędzy wodzami posadził,
 Mówiąc: »Panie Macieju, niedobry sąsiedzie,
 Przyjeżdżasz bardzo późno, prawie po obiedzie.«
 »Jém wczesnie, rzekł Dobrzyński, ja tu nie dlajadła
 Przybyłem, tylko że mnie ciekawość napadła,
 Obejrzeć z bliska naszą armiję narodową,
 Wieleby gadać—jest to ani to ni owo!
 Szlachta mnie obaczyła i gwałtem tu wiedzie,
 A Waszec za stół sadzasz—dziękuję sąsiedzie.«
 To wyrzekłszy, przewrócił talerz dnem do góry,
 Na znak że jeść nie będzie, i milczał ponury.

»Panie Dobrzyński, rzekł mu Jenerał Dąbrowski,
 Tyż to jesteś ów sławny rębacz Kościuszkowski,
 Ów Maciej, zwany Różga! znam ciebie ze sławy.
 I proszę, takiś dotąd czerstwy, taki żwawy!
 Ileż to lat minęło! Patrz jam się podstarzał,
 Patrz i Kniaziewiczowi już się włos poszarzał,
 A ty jeszcze z młodymi mógłbyś pójść w zapasy,

I różga twoja kwitnie pono jak przed czasy.
Lecz gdzie są bracia twoi? Niezmierniebym życzył
Widzieć te scyzoryki i te wasze brzytwy,
Ostatnie exemplarze starodawnéj Litwy.“

„Jenerale, rzekł Sędzia, po owém zwycięstwie,
Prawie wszyscy Dobrzyńscy schronili się w Księ-
[stwie,
Zapewne do którego weszli legionu.“

„W istocie, odpowiedział młody Szef szwadronu,
Mam w drugiej kompanii wąsate straszidło,
Wachmistrza Dobrzyńskiego, co się zwie Kropidło,
A mazury zowią go Litewskim niedźwiedziem.
Jeśli Jenerał każe, to go tu przywiedziem.“

„Jest, rzekł Porucznik, kilku innych rodem z Litwy,
Jeden żołnierz, znajomy pod imieniem Brzytwy,
I drugi co s tromblonem jeździ na flankiery,
Są także w pułku strzelców dwa grenadiery
Dobrzyńscy.“

— „Ale, ale o ich naczelniku,

Rzekł Jenerał, chcę wiedzieć, o tym Scyzoryku,
O którym mnie Pan Wojski tyle prawił cudów,
Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów.“

„Scyzoryk, rzeczce Wojski, choć nie exulował,
 Ale bojąc się śledztwa, przed Moskwą się schował;
 Całą zimę nieborak tułał się po lasach,
 Teraz dopiero wyszedł; w tych wojennych czasach
 Mógłby się na co przydać, jest rycerskim człekiem,
 Szkoda tylko, że trochę przyciśniony wiekiem.
 Lecz owóż on!...“ Tu Wojski palcem wskazał w sieni,
 Gdzie czeladź i wieśniacy stali natłoczeni,
 A nad wszystkich głowami łysina błyszcząca,
 Ukazała się nagle jak pełnia miesiąca,
 Trzykroć weszła i trzykroć znikła w głów obłoku,
 Klucznik idąc kłaniał się, aż dobył się s tłoku,
 I rzekł:

„Jaśnie Wielmożny Koronny Hetmanie,
 Czy Jenerale, mniejsza o tytułowanie,
 Jam jest Rębajło, staję na tve zawołanie
 S tym moim Scyzorykiem, który nie z oprawy
 Ani z napisów, ale z hartu nabył sławy,
 Że nawet o nim Jaśnie Wielmożny Pan wiedział.
 Gdyby on gadać umiał, możeby powiedział
 Cokolwiek na pochwałę i téj staréj ręki,

Która służyła długo, wiernie, Bogu dzięki,
 Ojczyźnie, tudzież Panów Horeszków rodzinie,
 Czego pamięć dotychczas między ludźmi słynie.
 Mopanku! rzadko który pisarz prowentowy
 Tak zręcznie temperuje pióra jak on głowy.
 Długo liczyć! A nosów i uszu bez liku!
 A nie ma żadnej szczyrby na tym scyzoryku
 I żaden go nie splamił zbójecki uczynek,
 Tylko otwarta wojna, albo pojedynek.
 Raz tylko! Panie daj mu wieczny odpoczynek,
 Bezbronnego człowieka, niestety, sprzątniono!
 A i to, Bóg mi świadkiem pro publico bono!

— „Pokażno, rzekł śmiejąc się Jenerał Dąbrowski.
 A to piękny Scyzoryk, istny miecz katowski!“
 I z zadziwieniem wielki rapier opatrywał
 I innym oficerom w kolej pokazywał;
 Probowali go wszyscy, ale ledwie który
 Z oficerów mógł podnieść ten rapier do góry.
 Mówiono że Dembiński, sławny ręki siłą
 Podźwignąłby szablęcę, lecz go tam nie było.
 Z obecnych zaś, tylko Szef szwadronu Dwernicki,
 I dowódzca plutonu, Porucznik Różycki,

Potrafili obracać tym żelaznym drągiem:
I tak rapier na próbę szedł z rąk do rąk ciągiem.

Lecz Jenerał Kniaziewicz, wzrostem najszluszniejszy,
Pokazało się iż był w ręku najsilniejszy,
Ujawszy rapier, lekko jakby szpadę dźwignął
I nad głowami gości błyskawicą mignął,
Przypominając polskie fechtarskie wykręty,
Krzyżową sztukę, młyńca, cios krzywy, raz cięty,
Cios kradziony, i tempy kontrpunktów, tercetów,
Które też umiał, bo był ze szkoły kadetów.

Gdy śmiejąc się fechtował, Rębajło już klęczał,
Objął go za kolana i ze łzami jęczał
Za każdym zwrotem miecza— „pięknie! Jenerale
Czyś był konfederatem? pięknie, doskonale!
To sztych Pułaskich! tak się Dzierżanowski
[składał,
To sztych Sawy! Któż Panu tak rękę układał,
Chyba Maciej Dobrzyński! a to? Jenerale
Mój wynalazek, dalbóg mój, ja się nie chwaleę,
To cięcie znane tylko w Rębajłów zaścianku,

Od mojego imienia zwane *Cios Mopanku*,
 Któż to Pana nauczył? to jest moje cięcie.
 Moje! — Wstał, Jenerała porwawszy w objęcie.
 „Teraz umrę spokojny! jest przecie na świecie
 Człowiek, który przytuli moje drogie dziecko;
 Bo wszak nad tém oddawna dzień i noc boleję,
 Czy po śmierci ten rapier mój nie zerdzewieje!
 Otóż nie zerdzewieje! Mój Jaśnie Wielmożny
 Jenerale, wybacz mi, porzućcie te rożny,
 Niemieckie szpadki, to wstyd szlacheckiemu dziecku
 Nosić ten kijek; weźmij szablę po szlachecku,
 Oto ten mój scyzoryk u nóg twoich składam,
 To jest co najdroższego na świecie posiadam.
 Nie miałem nigdy żony, nie miałem dziecięcia,
 On był żoną i dzieckiem; z mojego objęcia
 Nigdy on nie wychodził; od rana do mroku
 Pieściłem go, on w nocy sypiał przy mym boku!
 A kiedym się zestarzał, nad łóżkiem na ścianie
 Wisiał, jako nad żydem Boże przykazanie!
 Myślałem zakopać go razem z ręką w grobie,
 Lecz znalazłem dziedzica. — Niechaj służy tobie!“

Jenerał wpół śmiejąc się a na wpół wzruszony,

„Kolego, rzekł, jeżeli ustąpisz mnie żony
I dziecka, to zostaniesz przez resztę żywota
Bardzo samotny, stary, wdowiec i sierota!
Powiedz, czém ci ten drogi dar mam wynagrodzić?
I czém twoje sieroctwo i wdowstwo osłodzić!«

„Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,
Co żonę przegrał, grając w maryasza z Moskalem,
Jak o tém pieśń powiada.—Ja mam dosyć na tém
Że mój scyzoryk jeszcze zabłyśnie przed światem,
W takim ręk.—Niech tylko Jenerał pamięta,
Aby tasiemka była długa rościągnięta,
Bo to długie; a zawsze od lewego ucha
Ciąć oburącz, to przetniesz od głowy do brzucha.«

Jenerał wziął scyzoryk, lecz że bardzo długi,
Nie mógł nosić, w furgonie schowały go sługi,
Co się z nim stało, różnie powiadają o tém,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potem.

Dąbrowski rzekł do Maćka: „A ty co kolego?
Zdaje się że ty nie rad s przybycia naszego?
Milczysz kwaśny? i jakże serce ci nie skacze,
Gdy widzisz orły złote, srebrne? gdy trębacze

Pobudkę Kościuszkowską trąbią ci nad uchem?
 Maćku! myślałem że ty większym jesteś zuchem;
 Jeśli szabli nie weźmiesz i na koń nie sidziesz,
 Przynajmniej s kolegami wesoło pić będziesz
 Zdrowie Napoleona i Polski nadzieje!«

— „Ha! rzekł Maciej, słyszałem, widzę co się dzieje!
 Ale Panie dwóch orłów razem się nie gnieździ!
 Łaska Pańska, Hetmanie, na pstrym koniu jeździ!
 Cesarz wielki bohater! gadać o tém wiele!
 Pamiętam że Pułascy, moi przyjaciele,
 Mawiali, poglądając na Dumuriera,
 Że dla Polski, polskiego trzeba bohatera,
 Nie Francuza, ani też Włocha, ale Piasta,
 Jana albo Józefa, lub Maćka—i basta.

* Tu widzę inni ludzie niż byli w mych latach;
 Kędy posłuchasz, wszędzie mowa o harmatach,
 Manewrach. Noszą tylko lance, karabiny,
 Nawet i szlachta, nawet wielkich panów syny.
 Widziałem dwóch Potockich—i któż to uwierzy,
 Swędających się konno, samych jak żołnierzy,
 A byli to synowie Potockiego Jana
 Wprawdzie trochę dziwaka, lecz wielkiego pana. *

Kto to wszystko zrozumie! To grenadyery,
 To znowu fizyliery, to znów wołtyżery.
 Więcej tu knechtów niżeli Polaków,
 Ni Ussarzy nie widać, ni pancernych znaków!
 A szable, a mój Boże! wszak to kara nieba,
 Temi szablami u nas nieukroisz chleba.
 A muszą też być s Knechty Turki czy Tatary.

* Na Litwina uderzył Cesarz jak na wroga,
 Idzie mówią do Moskwy! daleka to droga,
 Pono Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga! *
 Słyszałem że już podpadł pod klątwy biskupie;
 Wszystko to jest...^c Tu Maciej chleb umoczył
 [w supie
 I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Nie w smak Podkomorzemu poszła Maćka mowa,
 Młodzież zaczęła szemrać; Sędzia przerwał swary,
 Głosząc przybycie trzeciój narzeczonej pary.

Był to Rejent, sam siebie Rejentem ogłosił,
 Nikt go nie poznał; dotąd Polskie suknie nosił,

Lecz teraz Telimena, przyszła żona, zmusza
 Warunkiem intercyzy wyrzec się kontusza;
 Więc się Rejent rad nie rad po francusku przebrał.
 Widno że mu frak duszy połowę odebrał,
 Stąpa jakby kij połknął, prosto, nie ruchawo,
 Jak żóraw, nie śmie spojrzeć ni w lewo ni w prawo;
 Mina gęsta, lecz z miny widać że jest w męce,
 Nie wie jak się pokłonić, gdzie ma podziać ręce,
 On, co tak gesty lubił ręce za pas sadził—
 Nie masz pasa—tylko się po żołądku gładził;
 Postrzegł omyłkę; bardzo zmięszwał się, spiekł raka,
 I ręce obie schował w jedną kieszeń fraka.
 Idzie jakby przez różgi śród szeptów i drwinek,
 Wstydząc się za frak jakby za niecny uczynek;
 Aż spotkał oczy Maćka, i zadrżał z bojaźni.

Maciej dotąd z Rejentem żył w wielkiej przyjaźni,
 Teraz wzrok nań obrócił tak ostry i dziki
 Że Rejent zbladnął, zaczął zapinać guziki,
 Myśląc że Maciej wzrokiem suknie z niego złupi;
 Dobrzyński tylko dwakroć wyrzekł głośno: „głupi!”
 I tak strasznie zgorszył się z Rejenta przebrania

Że zaraz wstał od stołu, i bez pożegnania
 Wymknąwszy się, wsiadł na koń, wrócił do Za-
 [ścianka.

A tymczasem Rejenta nadobna kochanka,
 Telimena, rostacza blaski swój urody,
 I ubior od stóp do głów co najświeższej mody.
 Jaką miała sukienkę, jaki strój na głowie,
 Daremnie pisać, pióro tego nie wypowie,
 Chyba pędzelby skręślił te tiule, ptyfenie,
 Blondyny, kaszemiry, perły i kamienie
 I oblicze różane i żywe wejrzenie.

Poznał ją zaraz Hrabia, z zadziwienia blady
 Wstał od stołu i szukał koło siebie szpady,
 — „I tyżeś to! zawołał, czy mnie oczy łudzą?
 Ty? w obecności mojej? ściskasz rękę cudzą?
 O niewierna istoto, o duszo zmiennicza!
 I nie skryjesz ze wstydu pod ziemię oblicza?
 Takeś twojej tak świeżej nie pomna przysięgi?
 O łatwowierny! pocóż nosiłem te wstęgi!
 Lecz biada rywalowi, co mię tak znieważa!
 Po moim chyba trupie pójdzie do ołtarza!“

Goście powstali, Rejent okropnie się zmieszał,
 Podkomorzy rywalów zagodzić pośpieszał,
 Lecz Telimena wzięwszy Hrabiego na stronę,
 „Jeszcze, szepnęła, Rejent nie wziął mię za żonę,
 Jeżeli Pan przeszkadzasz, odpowiedź na to,
 A odpowiedz mi zaraz, krótko, węzłowato:
 Czy mnie kochasz, czyś dotąd serca nie odmienił,
 Czy gotów żebyś ze mną zaraz się ożenił,
 Zaraz, dziś?—jeśli zechcesz odstąpię Rejenta.“
 Hrabia rzekł: „O kobieto dla mnie niepojęta!
 Dawniej w uczuciach twoich byłaś poetyczną,
 A teraz mi się zdajesz całkiem prozaiczną;
 Cóż są wasze małżeństwa, jeśli nie łańcuchy,
 Które zwięzują tylko ręce a nie duchy?
 Wierzaj, są oświadczenia, nawet bez wyznania,
 Są obowiązki nawet bez obowiązania!
 Dwa serca pałające na dwóch końcach ziemi,
 Rozmawiają jak gwiazdy promieńmi drżącemi,
 Kto wie, może dla tego ziemia tak do słońca
 Dąży, i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,
 Że wiecznie patrzą na się i najkrótszą drogą
 Biegą do siebie! ale zbliżyć się nie mogą!“
 „Dość już tego, przerwała, nie jestem planetą

Z łaski Bożej, dość Hrabio, ja jestem kobietą,
 Już wiem resztę, przestań mi pleść ni to ni owo.
 Teraz ostrzegam, jeśli piśniesz jedno słowo
 Ażeby ślub mój zerwać, to jak Bóg na niebie
 Że s temi paznokciami przyskoczę do ciebie
 I.. — Nie będę rzekł Hrabia, szczęścia Pani klócił^a
 I oczy pełne smutku i wzgardy odwrócił,
 I ażeby ukarać niewierną kochankę,
 Za przedmiot stałych ogniów wziął Podkomorzanke.

Wojski pragnął młodzieńców poróżnionych zgodzić
 Przykładami mądrymi, więc zaczął wywodzić
 Historyą o dziku nalibockich lasów,
 I o kłótni Rejtana s Książęciem Denassów,
 Ale goście tymczasem skończyli jeść lody
 I z zamku na dziedziniec wyszli dla ochłody.

Tam włość już kończy ucztę, krążą miodu dzbany,
 Muzyka już się stroi i wzywa na tany,
 Szukają Tadeusza, który stał na stronie
 I coś pilnego szeptal swojej przyszlęj żonie.

„Zofio! muszę ciebie w bardzo ważnej rzeczy
 Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy,

Wiesz iż znaczna część wiosek, które mam posiadać,
 Wedle prawa na ciebie powinnaby spadać.
 Ci chłopci są nie moi lecz twoi poddańi,
 Nie śmiałbym ich urządzić bez woli ich Pani.
 Teraz kiedy już mamy Ojczyznę kochaną,
 Czyliż wieśniacy zyszczą s tą szczęśliwą zmianą
 Tyle tylko, że pana innego dostaną?
 Prawda że byli dotąd rządzeni łaskawie,
 Lecz po méj śmierci Bóg wie komu ich zostawię;
 Jestem żołnierz, jesteśmy śmiertelni oboje,
 Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję.
 Bspieczniej zrobię kiedy władzy się wyrzekę,
 I oddam los włościanów pod prawa opiekę.
 Sami wolni, uczynmy i włościan wolnemi,
 Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi
 Na której się zrodzili; którą krwawą pracą
 Zdobyli, s której wszystkich żywią i bogacą.
 Lecz muszę ciebie ostrzedz, że tych ziem nadanie
 Zmniejszy nasz dochód, w miernym musimy żyć
 [stanie.
 Ja przywykłem do życia oszczędnego z młodu:
 Lecz ty Zofio, jesteś z wysokiego rodu,
 W stolicy przepędziłaś twoje młode lata,

Czyż zgodzisz się żyć na wsi? zdaleka od świata!
Jak ziemianka!«

A na to Zosia rzekła skromnie:

„Jestem kobietą, rządy nie należą do mnie,
Wszakże Pan będziesz mężem; ja do rady młoda,
Co Pan urządzisz, na to całym sercem zgoda!
Jeśli włość uwalniając zostaniesz uboższy,
To Tadeuszu będziesz sercu memu droższy.
O moim rodzie mało wiem, i niedbam o to;
Tyle pomnę, że byłam ubogą, sierotą,
Że od Sopliców byłam za córkę przybrana,
W ich domu hodowana i za mąż wydana.
Wsi nie lękam się; jeśli w wielkim mieście żyłam,
To dawno; zapomniałam, wieś zawsze lubiałam;
I wierz mi, że mnie moje kogutki i kurki
Więcej bawiły niżli owe Peterburki,
Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi,
To z dzieciństwa, wiem teraz że mnie miasto nudzi;
Przekonałam się zimą, po krótkim pobycie
W Wilnie, że ja na wiejskie urodzona życie;
Pośród zabaw tęskniłam znów do Soplicowa.
Pracy też nie lękam się bom młoda i zdrowa,
Umiem chodzić około domu, nosić klucze;

Gospodarstwa, obaczysz, jak ja się wyuczę!

* Obaczysz Tadeuszu nim kilka lat minie,
Będziesz miał s twojój żony sławną gospodynię. *

Gdy Zosia domawiała ostatnie wyrazy,
Podszedł ku niój zdziwiony i kwaśny Gerwazy:
„Już wiem! rzekł, Sędzia mówił już o tój wolności!
Lecz nie pojmuję co to ściąga się do włości!
Boję się żeby to coś niebyło z niemiecka!
Wszak wolność nie jest chłopska rzecz, ale szla-
[checka!

Prawda że się wywodzim wszyscy od Adama,
Alem słyszał że chłopi pochodzą od Chama,
Żydowie od Jafeta, my szlachta od Sema,
A więc panujem jako starsi nad obiema.
Jużci Pleban inaczéj uczy na ambonie....
Powiada, że to było tak w starym zakonie,
Ale skoro Chrystus Pan, choć s królów pochodził,
Między żydami w chłopskiéj stajni się urodził,
Odtąd więc wszystkie stany porównał i zgodził;
Niech i tak będzie, kiedy inaczéj nie można!
Zwłaszcza że jako słyszę, i Jaśnie Wielmożna
Pani moja Zofia na wszystko się zgadza;

Jéj rozkazać, mnie słuchać, jużci przy niéj władza.
 Radzę więc aby chłopów starym obyczajem
 Uszlachcić i ogłosić że im herb nasz dajem.
 Pani udzieli jednym wioskom Półkozica,
 Drugim niech swą Leliwę nada Pan Soplica.
 Natenczas i Rębajło uzna chłopą równym,
 Gdy go ujrzy szlachcicem wielmożnym, herbownym.
 Sejm potwierdzi.

A niech się mąż Pani nie trwoży,
 Iż oddanie ziem Państwo tak bardzo zuboży;
 Nie da Bóg, abym rączki córy dygnitarskiej
 Widział umozolone w pracy gospodarskiej.
 Jest na to sposób; w zamku wiem ja pewną skrzynię,
 W której jest Horeszkowskie stołowe naczynie,
 Przytém różne sygnety, kanaki, manele,
 Kity bogate, rzędy, cudne karabele,
 Skarbczyk Stolnika, w ziemi skryty od grabieży,
 Pani Zofii jako dziedzicze należy;
 Pilnowałem go w zamku jako oka w głowie,
 Mam także spory worek mych własnych talarów,
 Uzbieranych z wysługi, tudzież s pańskich darów,

Myśliłem, gdy nam zamek wróconym zostanie,
 Obrócić grosz na murów wyreperowanie;
 Nowemu gospodarstwu dziś zda się w potrzebie;—
 A więc Panie Soplico, wnoszę się do ciebie,
 Będę żył u méj Pani na łaskawym chlebie,
 I kołysząc Horeszków pokolenie trzecie,
 Wprawiać do scyzoryka Pani mojej dziecie,
 Jeśli syn, a syn będzie, bo wojny nadchodzą,
 A w czasie wojny zawždy synowie się rodzą.“

Ledwie ostatnie słowa domówił Gerwazy,
 Gdy poważnemi kroki przystąpił Protazy,
 Skłonił się i wydobył z zanadrza kontusza,
 Panegiryk ogromny, w pół trzecia arkusza.
 Skomponował go rymem podoficer młody,
 Który niegdyś w stolicy sławne pisał ody,
 Potém wdział mundur, lecz i w wojsku belletrysta,
 Wiersze rabiął—już Woźny przeczytał ich trzysta,
 Aż gdy przyszedł do miejsca: *O ty której wdzięki!*
Budzą boleśną radość i rokoszne męki!
Która na szyk Bellony gdy zwrócisz twarz piękną,
Złamią się wnet oszczepy i tarcze rozpękną,
Zwalcz dziś Marsa Hymenem; srogiej niezgód hydrze
Niech dłoń twoja syczące s czoła zmije wydrze!

Oficerowie wiodą muzykę wojskową;
 Ale Pan Sędzia w ucho rzekł do Jenerała:
 „Każ Pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała,
 Wiesz że dzisiaj synowca mego zaręczyny,
 A dawnym obyczajem jest naszej rodziny,
 Zaręczać się i żenić przy wiejskiej muzyce.
 Patrz, stoi Cymbalista, Skrzypak i kozice;
 Poczciwi muzykanci—już się Skrzypak zżyma,
 A Kobeźnik kłania się i żebrze oczyma,
 Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać;
 Lud przy innéj muzyce nie potrafi skakać,
 Niechaj ci zaczną, niech się i lud podweseli,
 Potém będziem wyborniej twój słuchać kapeli.“—
 Dał znak.

Skrzypak u sukni zakasał rękawek,
 Ścisnął gryf krzepko, oparł brodę o podstawek,
 I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy.
 Na to hasło stojący obok Kobeźnicy,
 Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion-ruchem
 Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem,
 Myśliłbyś że ta para w powietrze uleci,
 Podobna do pyzatyh Boreasza dzieci:
 Brakło Cymbałów.

Było Cymbalistów wielu,
 Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu;
 (Jankiel przez całą zimę niewiedzieć gdzie bawił;
 Teraz się nagle z głównym Sztabem Wojska zjawił.)
 Wiedzą wszyscy że mu nikt na tym instrumencie
 Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.
 Proszą ażeby zagrał, podają cymbały,
 Żyd wzbrania się, powiada że ręce zgrubiały,
 Odwykł od grania; nie śmie i panów się wstydzi;
 Kłaniając się umyka; gdy to Zosia widzi,
 Podbiega i na białej podaje mu dłoni
 Drażki, któremi zwykle mistrz we stróny dzwoni,
 Drugą rączką po siwój brodzie starca głaska,
 I dygając,— „Jankielu, mówi, jeśli łaska,
 Wszak to me zaręczyny, zagrajże Jankielu,
 Wszak nie raz przyrzekałeś grać na mém weselu?

Jankiel niezmiernie Zosię lubił, kiwnął brodą
 Na znak że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
 Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
 Kładą mu na kolanach, on patrzy, z roskoszą
 I z dumą; jak weteran w służbę powołany,

Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,
 Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
 Lecz uczuł że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
 Stroją na nowo stróny i probując brzęczą;
 Jankiel s przymrużonemi na poły oczyma
 Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.

Spuścił je, zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
 Potém gęściej siekł stróny jak deszczem nawalnym,
 Dziwią się wszyscy—lecz to była tylko proba,
 Bo wnet przerwał, i w górę podniósł drążki oba.

Znowu gra: już drżą drążki tak lekkimi ruchy,
 Jak gdyby zadzwoniło w stronę skrzydło muchy,
 Wydając ciche ledwie słyszalne brzęczenia.
 Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia.
 Spójrzył z góry, instrument dumném okiem zmierzył,
 Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył,
 Zdumieli się słuchacze.—

Razem ze strón wiela

Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
 Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki.
 Brzmi *Polonez Trzeciego Maja!*—Skoczne dźwięki
 Radością oddychają, radością słuch poją,
 Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu niedostoją,
 Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się
 [uniosły

W owe lata szczęśliwe, gdy Senat i posły,
 Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
 Zgodzonego z narodem króla fetowali;
 Gdy przy tańcu śpiewano: *Wiwat król kochany!*
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!
 Mistrz coraz takty nagli i tony natęża,
 A wtém puścił fałszywy akord jak syk węża,
 Jak zgrzyt żelaza po szkle — przejął wszystkich
 [dreszczem

I wesołość pomieślał przecuciem złowieszczem.
 Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
 Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
 Nie zmylił się mistrz taki! on umyślnie tręca
 Wciąż tę zdradziecką stronę, melodyę zmaça,
 Coraz głośniej targając akord rozdąsany,

Przeciwno zgodzie tonów skonfederowany;
 Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
 I krzyknął: „znam! znam głos ten! to jest TARGOWICA!“
 I wnet pękła ze świstem stróna złowróżąca;
 Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaća,
 Porzuca prymy, bieży z drążkami do bassów.

Słysząc tysiące coraz głośniejszych hałasów,
 Takt marszu, wojna, atak, szturm, słysząc wy-
 [strzały!

Jęk dzieci, płacze matek.—Tak mistrz doskonały
 Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,
 Rade że mistrz nakoniec strónami wszystkimi
 Zagrzmiął, i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
 Znowu muzyka inna—znów, zrazu brzęczenia
 Lekkie i ciche, kilka cienkich strónek jęczy,
 Jak kilka much gdy s siatki wyrwą się pajęczój.
 Lecz strón coraz przybywa, już rozpierschłe tony
 Łączą się i akordów wiążą legiony,
 I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,

Tworząc nótę żalną téj sławnéj piosenki:

O żołnierzu, tulaczu, który borem, lasem

Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,

Nakoniec pada u nóg konika wiernego,

A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.

Piosenka stara, wojsku Polskiemu tak miła!

Poznali ją żołnierze, Wiara się skupiła

Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie,

Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie

Zanócili tę piosnkę i poszli w kraj świata;

Przywodzą na myśl długie swéj wędrówki lata,

Po łądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,

Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie

Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.

Tak rozmyślając smutnie pochylili głowy!

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,

Nateża, takty zmienia, coś innego głosi,

I znowu spojrzął z góry, okiem stróny zmierzył,

Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył.

Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,

Że stróny zadzwoniły jak trąby mosiężne,

I s trąb znana piosenka ku niebu wionęła.

Muzyk jakby sam swojej dziwił się piosence,
 Upuścił drążki s palców, podniósł w górę ręce,
 Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
 Powiewała poważnie broda podniesiona,
 Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
 We wzroku ducha pełnym błyszczał żar młodzieńca,
 Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
 Zakrył rękami, s pod rąk łez potok się rzucił:

„Jenerale, rzekł, ciebie długo Litwa nasza
 Czekala, długo, jak my Żydzi Messyasza,
 Ciebie prorokowali dawno między ludem
 Śpiewaki, ciebie niebo obwieściło cudem!
 Żyj i wojuj, o ty nasz!“ ...Mówiąc ciągle szlochał,
 Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał!
 Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
 On czapkę zdjawszy, wodza rękę ucałował.

Poloneza czas zacząć.—Podkomorzy rusza
 I z lekka zarzuciwszy wyloty kontusza,
 I węża pokręcając, podał rękę Zosi,
 I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi.
 Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi,
 Dano hasło zaczęto taniec—on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,
 Bije blask s karabeli, świeci się pas suty,
 A on stąpa powoli, niby od niechcenia;
 Ale s każdego kroku, s każdego ruszenia,
 Można tancerza czucia i myśli wyczytać:—
 Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,
 Pochyla ku niój głowę, chce szepnąć do ucha;
 Dama głowę odwraca, wstydzi się nie słuca,
 On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
 Damy raczyły spojrzeć, lecz milczy upornie;
 On krok zwalnia, oczyma jój spojrzenia śledzi,
 I zaśmiał się nakoniec—rad z jój odpowiedzi
 Stępa prędzěj, pogląda na rywalów z góry,
 I swą konfederatkę s czaplinemi pióry
 To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
 Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa—
 Idzie; wszyscy zazdroszcza, biega w jego ślady,
 Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady;
 Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
 I żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
 Czasem zamysła zręcznie na bok się uchylić,
 Odmienia drogę, radby towarzyszków zmylić,
 Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty,

Ręce w tył założywszy, stoi zły, ponury,
 Wspomina swe dawniejsze do Zosi konkury:
 Jak lubił dla niej nosić kwiaty, pleść koszyczki,
 Wybierać gniazda ptasie, robić zauszniczki.
 Niewdzięczna! chociaż tyle pięknych darów strwonił,
 Choć przed nim uciekała, choć mu ojciec bronił!
 On jeszcze! ileż razy na parkanie siadał,
 By ją dojrzeć przez okna, w konopie się wkradał
 Żeby patrzeć jak ona pleła swe ogródki,
 Rwała ogórki, albo karmiła kogutki.
 Niewdzięczna! Spuścił głowę, i nakoniec świsnął
 Mazurka; potem kaszkiet na uszy nacisnął,
 I szedł w obóz, gdzie stała przy armatach warta;
 Tam dla rozerwania się zaczął grać w družbarta
 Z wiarusami, kielichem osładzając żalność.
 Taka była dla Zosi Dobrzyńskiego stałość.

Zosia tańczy wesoło: lecz choć w pierwszej parze,
 Ledwie widna zdaleka; na wielkim obszarze
 Zarosłego dziedzińca, w zielonej sukience
 Ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce,
 Śród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,

Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem
 Zgadniesz gdzie jest, bo ku niój obrócone oczy,
 Wyciągnięte ramiona, ku niój zgiełk się tłoczy.
 Darmo się Podkomorzy zostać przy niój sili,
 Zazdrośnicy już s pierwszėj pary go odbili;
 I szczęśliwy Dąbrowski nie długo się cieszył,
 Ustąpił ją drugiemu, a już trzeci śpieszył,
 I ten zaraz odbity odszedł bez nadziei.
 Aż Zosia już strudzona spotkała s kolei
 Tadeusza, i dalszėj lękając się zmiany,
 I chcąc przy nim pozostać, zakończyła tany.
 Idzie do stołu gościom nalewać kielichy.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
 Okrąg niebios gdzie niegdzie chmurkami zasłany,
 U góry błękitnawy, na zachód różany;
 Chmurki wróżą pogodę, lekkie i świecące,
 Tam jako trzody owiec na murawie śpiące,
 Ówdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek.
 Na zachód obłok nakształt rąbkowych firanek,
 Przejrzysty, sfaldowany, po wierzchu perłowy,
 Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,

Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,
Aż powoli poźółkniał, zbladnął i poszarzał:
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,
I raz ciepłym powiewem westchnąwszy—usnęło.
A szlachta ciągle pije i wiwaty wznosi
Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi,
Wreszcie s kolei wszystkich trzech par zaręczonych,
Wszystkich gości obecnych, wszystkich zaproszo-
[nych,
Wszystkich przyjaciół których kto żywych spamięta,
I których zmarłych pamięć pozostała święta!

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał w księgi umieściłem.

K O N I E C.

PRZYPISY DO KSIĘGI DWUNASTEJ.

WARJANTY.

* Zważcie iż w każdej kupce stoi wyższy człowiek,
Widać s tych ust otwartych, s podniesionych powiek,
Rąk zadartych—odgadniesz mówcę co tłumaczy,
Uważajcie jak palcem na dłoni coś znaczy.
Z tych mówców i s tych kupek wprawne oko zgada,
Że to przedsejmikowa domowa narada,
Ci mówcy kandydata są to przyjaciele,
Zamawiają dlań kreski; lecz ja powiem śmieie
Że się wybór nie uda, widać z min słuchaczy
Że niechętni i kilku mówców jest w rozpacz.
Wprawdzie w téj kupce szlachta przyłożyła ucha,
Ten ręce za pas włożył, schylił się i słucha,

Rękę przy uchu trzyma, a wąż coraz kręci,
 Rozważa słowa mówcy i składa w pamięci:
 Cieszy się mówca, widzi że są nawróceni,
 Maca kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni. *

Telimena prawie zaręczona Rejentowi, żąda od
 Hrabiego aby jój wyraźnie powiedział czy ją kocha.
 Na to otrzymuje odpowiedź.

* Widzę to, rzecze Hrabia, żeś w nim zakochana;
 Dowodzi tego nagła charakteru zmiana.
 I czegoż to nie mogą miłości płomienie?
 W hydrę najłagodniejsze przerobią stworzenie.
 Przebaczam ci. Bym szczęścia twojego nie kłócił...

To wyrzekłszy ze wzgardą od niój się odwrócił
 I ażeby niewiernój zapomnieć kochanki,
 Obrócił serce swoje do Podkomorzanki.

OBJAŚNIENIA.

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Str. 35, w 3. Nieco wyżej Dawida wóz, gotów do jazdy.

Wóz Dawida, konstellacya zwana u Astronomów
Ursa major.

Str. 36, w. 4. Podobnie Pleban Mirski zawiesił w Kościele
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Było zwyczajem zawieszać przy kościołach znajduwane zabytki kości kopalnych, które lud uważa za kości olbrzymów.

Str. 37, w. 7. Był to Kometa pierwszój wielkości i mocy.

Pamiętny Kometa roku 1811.

Str. 39, w. 3. Ksiądz Poczobut, człek sławny, był Obserwatorem.

Ksiądz Poczobut, Ex-jezuita, sławny Astronom, wydał dzieło o Zodyaku w Denderach, i obserwacyami swemi pomógł Lalandowi do obrachowania biegów księżycy. Ob. żywot przez Jana Sniadeckiego.

Str. 43, w. 6. W świecie Księcia był Książę Niemiecki Denassów.

Właściwie Książę de Nassau-Siegen, sławny podówczas wojownik i awanturnik. Był admirałem Rossyjskim i pobił Turków na Lemanie, potem sam na głowę pobity od Szwedów. Bawił czas jakiś w Polsce, gdzie otrzymał indygenat. Pojedynek Księcia de Nassau z tygrysem, brzmiał wówczas po wszystkich gazetach Europejskich.

Str. 97, w. 17. Ciągnie za sobą długie sążniowate drzewo
Uzbrojone w krzemienie i guzy i sęki.

Maczuga litewska robi się tym sposobem: wypatrzuje się młody dąb, i nacina się od dołu do góry siekierą tak, ażeby korę i miazgę rozerznawszy drzewo z lekka poranić. Wte karby wtykają się ostre krzemienie, które s cz sem wrastają w drzewo i tworzą guzy twarde. Maczugi stanowiły za czasów pogańskich główną broń piechoty litewskiej; dotąd używają się niekiedy i zowią się nasiekami.

Str. 112, w. 16. Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

Bywały i później jeszcze zajazdy lubo nie tak sławne, dosyć jednak głośnie i krwawe.

Str. 165.

Wróżby wiosenne. Jeden historyk rossyjski w podobny sposób opisuje wróżby i przecucia ludu moskiewskiego przed wojną 1812 r.

Str. 166, w. 6. Nie biegło na ruń....

Ruń jest to zieleniejąca się ozimina.

Str. 167, w. 17. Wszyscy na północ: rzekłbyś że w on czas z wyraju.

Wyraj w mowie gminnej znaczy właściwie czas jesienny kiedy ptaki wędrowne odlatują; lecieć na wyraj jest to lecieć w kraje ciepłe. Stąd przenośnie nazywa lud wyrajem, kraje ciepłe i w ogólności jakies kraje bajeczne, szczęśliwe, za morzami leżące.

Str. 171, w. 6. Księga ta miała tytuł: Kucharz doskonały.

Książka teraz bardzo rzadka, przed stu kilkudziesiąt laty wydana przez Stanisława Czernieckiego.

Str. 171, w. 10. Którym się Ojciec święty Urban ósmy dziwił.

Opisywano wielokroć i malowano ową Legacyą Rzymską. Ob. Kucharz doskonały, przemowa: „Ta legacya wszystkiemu zachodniemu Państwu wielkiem będąc podziwieniem, ogłosiła w rozum nieprzebranego Pana jako i splendor domu i apparatus stołu — że jeden s książąt Rzymskich rzekł: Dziś Rzym szczęśliwy mając takiego Posła.“—NB. Czerniecki sam był kuchmistrem Ossolińskiego.

Str. 176, w. 1. Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.

W Litwie, za wkroczeniem wojsk francuskich i polskich, zawiązano po Województwach Konfederacye i obrano Posłów na Sejm.

Str. 177, w. 1. On to pod Hohenlinden....

Wiadomo że pod Hohenlinden korpus polski, pod dowództwem Jenerała Kniaziewicza, zdecydował wygranę.

Str. 203, w. 2. Jest podanie że Książę Radziwił-Sierota.

Radziwił-Sierota odbył dalekie podróże i wydał opis peregrynacyi swojej do Ziemi świętej.

Str. 209. w. 18. Tymczasem serwis dalej zmieniał pory roku.

W szesnastym i na początku siedemnastego wieku, w epoce kwitnienia sztuk, uczyty nawet były przez artystów urządzone, pełne symbolów i scen teatralnych. Na sławnej uczcie danój w Rzymie dla Leona X. znajdował się serwis przedstawiający s kolei cztery pory roku, który służył zapewne za wzór Radziwiłowskiemu. Zwyczaje stołowe zmieniły się w Europie około połowy wieku ośmnastego, w Polsce najdłużej trwały.

Str. 211. w 17. Czyto Pinety Panu dał w służbę swe bisy?

Pinety, sławny na całą Polskę kuglarz; kiedy u nas gościł nie wiemy.

Str. 223, w. 2. Warunkiem interczyzy wyrzec się kontusza.

Moda przebierania się w suknie francuskie grasowała na prowincjach od roku 1800 do 1812. Najwięcej młodzieży przebrało się przed ożenieniem, na żądanie narzeczonych.

Str. 227, w. 6. I o kłótni Rejtana s książęciem Denassów.

Historia sporu Rejtana s książęciem de Nassau, przez Wojskiego niedoprowadzona do końca, wia-

doma jest s tradycyi. Umieszczamy koniec jój kwoli ciekawemu czytelnikowi.—Rejtan, obruszony przechwałkami książęcia De Nassau, stanął obok niego na przesmyku: właśnie ogromny odyniec, rozjuszony strzałami i szczwalnią, leciał na przesmyk. Rejtan wyrywa książęciu z rąk strzelbę, swoje ciska o ziemię, a ujawszy oszczep i podając drugi Niemcowi: „Teraz, rzekł, obaczym kto lepiej robi spisa.“ Już odyniec wpadał, kiedy Wojski Hreczecha opodal stojący, trafnym strzałem zwierza powalił. Panowie zrazu gniewali się, potem pogodzili się i hojnie wynagrodzili Hreczechę.

KORYBUT KSIĄŻĘ NOWOGRODKA

POEMA

Z DZIEJÓW LITEWSKICH.

KORYBUT KSIĄŻE NOWOGRODKA.

Mickiewicz w roku 1822, w wydanych dwóch tomikach swoich poezyj w Wilnie, pierwszy raz ogłosił *Grażynę*, powieść Litewską. W pierwiastkowym przecież brulionie własnoręcznym, dał temu utworowi napis: „KORYBUT KSIĄŻE NOWOGRODKA. POEMA Z DZIEJÓW LITEWSKICH. W ciągu dalszym, już przy końcu, w miejsce *Korybuta*, mieści Litawora. Główną postacią, bohaterką téj powieści była *Karyna*, którą w Epilogu dopiero przezwał GRAŻYNĄ. Rękopism ten, pisany w kroju arkuszowym, bez oznaczenia stronnic, jest dziś drogocenną ozdobą księgozbioru Alexandra Hr. Przeździeckiego. Na marginesie pierwszej stronnicy czytamy:

„Ten autograf Adama Mickiewicza, darowany

przez *jego* przed wyjazdem z Litwy. — Autorowi *Obrazów Wołynia i Podola*—Autor *Obrazów Litewskich*, właściciel dotychczasowy, na pamiątkę ofiaruje. Dziewiętnie. 1842. Ignacy Chodźko. «

Autograf ten, na piwszych kartach pisany wyraźnie, w dalszych snąc z wielkiego pośpiechu ręki mniej czytelny: wyrazy często niedokończone, kilka razy mylnie napisane. Poprawek bardzo mało i przekreśleń. Porównany z drukowaną *Grażyną*, nie pokazuje tak wielkich zmian, ażeby go w całości można drukować. Dowodzi jednak, że całą tę powieść musiał drugi raz przepisywać, w niektórych miejscach wygładzał styl—zmieniał szyk wyrazów, czasem opuścił po parze wierszy, ale wszędzie niemal zachował tożsamość rymów.—W autografie, który mamy przed oczyma, wpatrzywszy się dobrze w pismo, ledwie nie z pewnością twierdzić możemy, uważając jego zmiany, że sześć a najwięcej siedem razy siadał do skreślenia téj powieści. Ostatni ustęp o przygotowanym stosie dla *Grażyny* i *Epilog*, jednym pociągiem pióra, ze szczególnym pośpiechem napisał.

W tym ustępie znajdujemy sześć wierszy mo-

wy Litawora przed rzuceniem się na stos, których w drukowanej Grażynie nie ma.

„Ludy, słuchajcie, dla waszój nauki
Powiem; słuchajcie i zważcie dokładnie,
Wy, syny wasze, wnuków waszych wnuki,
Niechaj to w sercu zachowają na dnie,
Co człowiek zbłądził, rażon gniewu jadem,
To książe wielkim naprawi przykładem.“

Wykażemy teraz większe różnice tego autografu, w porównaniu z drukowaną powieścią.

Na początku, gdy Komtur Zakonu przybył do zamku Litawora, po wierszach:

„I krzyż miał czarny na białej kapicy,
I krzyż na piersiach u złotój petlicy,
Trąbkę na plecach, kopiją u toku,
Różaniec w pasie, i szablę u boku.“

Czytamy w autografie dwa następne wiersze, które opuszczono w druku:

Dwaj Knechty przed nim idą zsiadłszy s koni
Z odkrytą głową, bez płaszczów i broni.

Z początku wieszcz nasz powieść swoją w odleglejsze czasy Litwy przeniósł, bo do czasów Kiejstuta; ale w tymże rękopiśmie w dalszym ciągu, zbliżył do *Witołda*, *Korybuta* na *Litawora*, a *Karynę* na *Grażynę* zamienił.—Dla tego, w skardze Litawora, czytamy:

„Przebóg czyż nie dość, że duma *Kiejstuta*,
Wiecznie na koniu trzyma całą Litwę,
Piersz nasza wiecznie do zbroi przykuta,
Szyszaki już nam przyrosły do czoła.

Co zmienił w druku:

„Przebóg czyż nie dość, że *Witołda* buta,
Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę,
Piersz nasza wiecznie do zbroi przykuta,
Szyszaki już nam przyrosły do czoła.“

W rozmowie Rymwida z Grażyną, kiedy pierwszy mówi: o wydanym przez księcia rozkazie:

Odkładać próżno; co roszkazał zrobię,
Bo już roszkazał, bym przed gwiazdą drugą,

Zgromadził wojska na grób Peresieka.

Noc będzie widna, droga niedaleka.

W autografie czytamy:

„Karyna milczy, przymkniona powieka,
 Pochyłe czoło, w którym się przebija,
 Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka,
 W niepewnych rysach wschodzi i przemija,
 I znowu wschodzi, całą twarz obleka,
 Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem,
 Już umyśliła, przystąpiła krokiem,
 Skinęła czołem i źrenicą błysnie,
 Ach! od téj myśli państwa los zawisnie.“

Ustęp ten cały Mickiewicz po napisaniu przekreślił.

Kiedy Rymwid odbiera przeciwne rozkazy księcia od wydanych mu poprzednio, za wpływem Grażyny: w autografie czytamy:

„A jam zapomniał, widzę żem zbyt stary,
 Co to jest młodość i niewieście czary.“

W druku zmieniono:

Nie dziw, zapomniał starzec siwobrody,
 Że księżna piękna, a Litawor młody.

Giermek przybywa z wiadomością, że Krzyżacy
 już się z obozu ruszyli, nie masz chwili do strace-
 nia, potrzeba więc:

„Abyśmy znagła na lud jezdny padli,
 W nieznanym kraju, znienacka, w pomroku,
 Gdy ich żelazo i ogień powita,
 Pewno Rajtary nie dostoją kroku,
 Zaczem lud pieszy weźmiem pod kopyta.“

Tak czytamy w autografie; ustęp ten poprawio-
 ny w Grażynie jest silniejszy i dosadniejszy:

„Abyśmy znagła na lud jezdny padli
 Tak zapędzony na chrapy i rowy,
 Łacno Rajtarem i Bratom lby zmieciem,
 Potém Fussknechtów wzięwszy pod podkowy,
 Do szczętu plemie jaszczurcze wygnieciem.

Podamy wedle rękopismu cały *Epilog autora*, ponieważ zupełnie się różni od drukowanego w Grażynie.

„Jeżeli ktoś te dzieje odczytał cierpliwie,
 I nierad z nich do końca (czemu się nie dziwię)
 Bo splątawszy się w wątku, resztą we mgłę toną
 Porzucając ciekawość swą niedosyconą.
 Wiedźże, iż co się stało dawno i tajemnie
 Po tylu wielkich latach, nie może być ze mnie,
 Do gruntu dziś wysledzić, a na jaw wysadzić,
 A fałszem niechcąc uszu łatwowiernych zdradzić!
 Więc za co księżna w polu zastąpiła męża,
 Przecz Litawor na Niemce miał się oręza,
 Nikt przyczyn dostatecznych a pewnych nie wyda
 Bo nikt nie wiedział, oprócz starego Rymwida,
 I ten niedługo zasię rozstał się z żywotem,
 A póki żył nikomu nie powiedział o tém,
 Snać w przysiędze uwiązany albo w obietnicy.
 Był jednak drugi człowiek świadom tajemnicy,
 Giermek księżny, na on czas we dworcu przytomny.
 Ten jako człowiek prostak, mniej w języku skromny,
 Co wiedział, co nie wiedział plótł tajemnie zrazu,

Ale gdy strach ominął dawnego zakazu,
 (Bo zakazano było przed ludem rosplatać)
 Wieść tłumiona poczęła coraz szerzej latać,
 Przez tysiąc ust pędzona w nieśmiertelnym ruchu,
 Długie przepadłszy wieki doszła nam do słuchu.
 Ile w niej prawdy, niech każdy sam bada,
 A nie wyzwę na rękę, choć kto kłamstwo zada,
 Bo już nic zgoła swoją nie dostarczam głową,
 Co on giermek wyjawił, oddam słowo w słowo.
 Giermek zaś tak powiadał: — „Księżna sfrasowana
 Iż nie mogła prośbami złamać gniewu Pana,
 Sądziła go przekonać snadniej w innym czasie
 I kazała mnie posły zatrzymać w tarasie,
 Albo precz wygnąć; mnie się ten zamiar podoba,
 Wygnałem, ale grubo zbłądziliśmy oba,
 Bo Komtur odpowiedzią twardą rozgniewany
 Szedł na miasto, gotując ognie i tarany.
 Kiedym o tój nowinie uwiadomił panią,
 Znowu biegła do męża, ja zdaleka za nią,
 Weszliśmy, ciemno było w komnacie i głucho,
 Książę strudzony zasnął na oboje ucho.
 Stanęła podle łoża, lecz nie śmiała budzić,
 Czy nie chcąc darmo prosić, czy sennego trudzić,

Ale w rychle na obrót rzuciła się nowy:
 Zdjęła szablę wiszącą książeciu u głowy
 Pancierz kładzie, mężowski płaszcz na piersiach
 [zwiesza
 I cicho drzwi przymknąwszy, na ganek pospiesza.
 Mnie srogo zakazała o niczém nie gadać;
 Wraz i konia podano, a gdy miała wsiadać,
 Mniemałem, nie ujrzawszy miecza przy jój boku,
 Że go miała zapomnieć lub zgubić w pomroku.
 Biegam, szukam, powracam, a zamknięte wrota.
 Patrząc w okna, niestety, już za bramą rota.
 Strach mię ścisnął, jakobym obrzucon zarzewiem,
 Myślę po co się kręcę, co mam począć niewiem?
 Wtém grzmot niemieckiej broni rozlega się w dali,
 Zrozumiałem że w polu bitwę poczynali.
 Wkrótce Litawor, czyli dosyć mając spania
 Czy zbudzony łoskotem, zerwał się s posłania.
 Woła, klaszcze i woła, ja drżący ze strachu,
 Wsunąłem się na klęczkach w ciemny zakąt gmachu.
 Widziałem jako szukał oręża i zbroje,
 Kołatał we drzwi, skoczył na Księżny pokoje.
 Wrócił, wyłamał rygle, wyleciał na ganek.
 Ja do okna a już się zbierało na ranek,

Książę spoziera w koło i nadstawia uszy,
 I krzyczy, ale w zamku nie ma żywej duszy!
 Potém na dół jakoby nieprzytomny sobie
 Skoczył, gdzie stały jego rumaki przy żłobie.
 Wyjechał na dziedziniec, wstrzymał się u wałów,
 Słuchał, s której zgiełk strony, gdzie ogień po-
 [strzałów?
 I zawróciwszy konia, lotem błyskawicy,
 Przez dziedziniec, most, wały, skoczył ku stolicy.
 Jam óczmi stał ciekawie oczekując końca,
 Alem niedługo czekał; koło wschodu słońca,
 Wraca Litawor, Rymwid, i Grażynę z lęku
 Wysadziwszy, do gmachu dźwigali na rękę!
 Strach wspomnieć! kędy stąpią krew strumieniem
 [pryska,
 Bo pierś ciężko raniona i skonania bliska;
 Padła z łoża, to nogi ścisnęła Książęce,
 To załamane k'niemu wyciągając ręce:
 „Przebacz mężu, to pierwsza i ostatnia zdrada!“
 On rzewnie płacząc, przy niéj na kolana pada.—
 Skonała. Wstał, i odszedł i rękami oczy
 Zakrywszy stał; ja wszystko widziałem z uboczy;
 A gdy z Rymwidem jęli kłaść na łoże ciało,
 Uciekłem,—wicie wszyscy, co się potém stało.

Czytelnik po porównaniu z *Epilogiem* Grażyny powyższego ustępu, przekona się o różnicy wielkiej dwóch tych textów.

Ostatnia karta autografu opisywanego przez nas, w części dolnej jest obcięta, po wyrazie „*Koniec.*“

Na odwrotniej zaś stronnicy, własnoręcznie przez Mickiewicza, wyraźniejszym przecież pismem od Epilogu, mamy skreśloną bajkę *Baran i Wilk*, której zakończenia brakuje, przez obcięcie jak mówiliśmy części tej karty od dołu. Bajkę tę w całości podamy w dalszych tomach.

Cały autograf obejmuje arkuszy 8½ czyli kart 17, pisany na grubym niebieskawym papierze; z boku poematu *Korybut* są cyfry, oznaczające liczbę wierszy, co każde dziesięć wierszy. Poemat pomieniony obejmuje 1155 wierszy.

SZANFARY

LECTURE & DISCUSSION

SZANFARY.

SZANFARY

KASYDA Z ARABSKIEGO.

Bracia moi! postawcie wielbłądy na nogi
Dzisiaj Szanfary od was jedzie między wrogi,
Gotowe juki, rzemień do garbów przycisnął:
Dalej w drogę, noc ciepła i księżyc zabłysnął.

Dalej—jeśli przed skwarem na ziemi są cienie,
Dla mężnego przed hańbą znajdzie się schronienie;
I nie będzie mu ciasno, jeśli przy rozumie
Gonić roskosz a zgubie wymykać się umie.
Znajdę ja druhów, których przyjaźń więcej warta:
Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta,

Hyenę zdobył kroki pędząc chromemi,
 To moi przyjaciele,—nie masz między niemi
 Półgłówka, co mu tajnia w ustach niedoleży,
 Co brata błędzącego z szyderstwem odbieży.
 U nich na krzywdę zemsta, na gwałt moc gwałtowna.
 Waleczni, ale w męstwie żaden mi nie zrówna.
 Nieprzyjaciołom pierwszy ja skaczę do oczu,
 A gdy przyjdzie łup dzielić, stoję na uboczu.
 W dziale łupów łakomstwo chyżością zwycięża,
 Ja czynię obyczajem dostatniego męża;
 Nikt wielkością umysłu nie zdoła mi sprostać,
 A kto czuje swą wyższość godzien przy niej zostać.

Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,
 Których nie przyciągnąłem dobrodziejstw więzami,
 I do których nie lgnęło nigdy serce moje.
 Dostyc mam towarzystwa, gdy zostało troje:
 Serce waleczne, szabla, s której ognie biją;
 I łuk żółty wielbłądzą krzywiący się szyją;
 Przy którym pas bogaty, suta frędzla pływa,
 Majdan gładko ciosany i tęga cięciwa,
 Co tak żałośnie jęczy gdy z niej grot wyleci,

Jako matka wydarte ścigająca dzieci.
 Jam nie sługa pragnienia, co się w noc zaczaja,
 I odstraszywszy żrebce sam klacze wydaja.
 Jam nie tchórz, ni za dziewie ogonem włóczęga,
 Co w każdej drobnej sprawie rady ich zasięga.
 Nie strusie serce moje, choć strach zakołata,
 Nierównym pędem w piersiach jak wróbel nie lata.
 Kto mię widział od rana do nocy wśród gachów,
 Brew malować, włos trefić, w kąpielu zapachów?
 Czy mię kiedy noc zbłąka, choć piaszczysta fala
 Tumanami okręci i żwirem zawala?
 Lecę na mój wielbłądce, wrą u nóg ukropy,
 Krzemienie iskry sypiąc, pryskają s pod stopy.
 O głodzie choć najdłuższym w wielkomyślniej dumie
 Nigdy wspomnieć nie raczę, i tak go zatłumię.
 Karmię się prochem ziemi, a głód nadaremnie
 Pasując się wyznaje, że słabszy odemnie.
 Gdybym został w obozie, gdzież więcej napitków,
 Więcej jadła niż u mnie, do potrzeb i zbytków?
 Ale mam duszę gorzką, co się s hańbą klóci,
 I jeśli was nie rzucę, dusza mię porzuci.
 Teraz pragnienie skręca wnętrzności w mém łonie,
 Jak nie różnie targaną na prządki wrzecionie.

Zrana wybiegam na czezo podobny wilkowi
 Co wygłodniały hasa i wiatr paszczą łowi,
 I s pustyni w pustynie, w wąwozów rękawy
 Przeciska się włóczęga czatujący strawy;
 A gdy na długich czatach darmo się utrudzi
 Wyje, wtórują wyciem towarzysze chudzi.
 Jako z łonem niepełném wschodni księżyc cienki,
 Tak zapadłe ich boki, wychudłe paszczęki.
 Zęby dzwonią jak strzały we wróżka prawicy,
 Albo jak roje pszczelne gdy w koło rodzicy
 Szumiącą polatują na pagórek rzeszą,
 Gdzie drabinki bartnika gronami obwieszają.
 Paszcza ich wychudzona, ponura i gniewna;
 Gardziel rozdarta nakształt rozklótego drewna.
 Zawył; i oni wyją biegąc na pagórki
 Jak płaczące farysa małżonki lub córki;
 Umilknął; oni milczą. Wycie mu ulżyło,
 I dla nich słyszeć równie wyjącego miło.
 Zda się że spólność głodu wnętrzości uciszy,
 Znowu skarży się, znowu skarżących się słyszy,
 Umilkł w końcu, umilkła wrzaskliwa gromada.
 Lepiej w milczeniu cierpieć, gdy wrzask nic nie nada.

Jeśli do studni jadę, lecący pułk strusi
 Daremnie grzmi skrzydłami, męty spijać musi.
 Nie zgoni méj wielbłądki bystry ich wódz stada,
 Ja dojeżdżam, spragniona zostaje gromada.
 Jużem odjechał—Ptastwo runęło na męty;
 Wola ich rościągniona, dziób ku studni zgięty
 Jest posłem dobrych wieści; wre ciżba hałasem
 Jak obóz karawany siedzącej popasem.
 Znowu śmignęły w górę, znowu w studnie wpadły,
 Ścisnęły się nakoniec i zręby obsiadły,
 I ryczałem wypiwszy, rozwinęły loty
 Jak runące z oazy beduinów roty.

Ziemia twarda mnie družka, nieraz do jój łona,
 Tuliłem kark mój suchy i chude ramiona,
 Których stawy sterczące tak policzyć snadno
 Jak kostki co z rąk gracza za ławę wypadną.

Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,
 Toć Szanfary jój służył i wiernie i długo,
 Dziś nieszczęście w mą duszę jak w piłkę zagrało,
 Bolesci podzieliły losem moje ciało.

Każda bieda najpierwój na mój kark się wsuwa,
 Kiedy zasypiam, bieda u głów moich czuwa,
 I wytrzeszczywszy oczy patrzy skąd ugodzić.
 Troski, koleją febry, zwykły do mnie chodzić,
 Ale od febry gorzej nie dają pokoju,
 Lecą do mnie jak ptaki spragnione do zdroju:
 Sto razy je odpędzisz i setnemi chmury
 Znowu uderzą z boku i z dołu i z góry.

Wiecie jak w upał bosy lecę przez pustynie,
 Podobny córce piasku, błyszczącej gadzinie.
 Choć miękko wychowany i s przodków bogaty,
 Alem syn cierpliwości, włożyłem jój szaty
 Na pierś, w której hyeny przemieszkiwa śmiałość,
 Za obuwie na nogi włożyłem wytrwałość.
 Na stepach bez namiotu, w skwary bez pokrycia,
 Jam wesół i bogaty, bo nieszczędzę życia.
 W dniach szczęścia dostatkami nie byłem odęty,
 Głupie lenistwo dla mnie nie miało ponęty,
 Czylim z nadstawném uchem za plotkami latał?
 Czylim na cudzą sławę potwarze wymiatał?

Pamiętacie noc klęski! tę noc niepogodną,

Noc tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną
 Że Arab grzał się paląc własny łuk i groty.
 Ja wybiegłem na boje wśród mroku i słoty;
 Przewodniczką mi była błyskawic pożoga,
 Towarzyszami piorun, okropność i trwoga.
 Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,
 Wróciłem jakem wyszedł nocą otoczony.
 Nazajutrz, gdy spokojnie w Gumaiza leżał,
 Mówiono o mnie w stepach, którem w noc prze-
 [bieżał.

Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada,
 Jedna z nich zapytuje, druga odpowiada.
 Słyszano, mówią, wczora nocne psów warczenie,
 Zdało się, że wilk przebiegł, lub hyeny szczenie,
 Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie musnął;
 Bo pies zawarczał tylko i po chwili usnął.
 Może to Diw przechodząc tyle szkody zrobił?
 Może człowiek? nie, człowiek tyluby nie pobił.

Ja w dzień, gdy niebo wrzało ogniami letniemi,
 Tak że zmije od skwaru skakały po ziemi,
 W dziurawym płaszczu padłem na żwiru kipiące
 I zdjąwszy turban, głową wyzywałem słońce,

A włos mój, brudu pełny, nieznający woni,
Kołtunami przylegał do niemytėj skroni.

Łono pustyni, co się bez końca rozszerza,
Tak twarde i tak nagie jako grzbiet puklerza,
Nieraz całe bosemi przemierzyłem stopy;
Gdy ujrzałem nad głową skał podniebne stropy,
Na klęczkach pnąc się, jak pies, wlażłem im na czoło.
Tam dzikie antelopy biegały w około,
Białonogie i wełną odziane bogatą,
Jak nadobne dziewice wlekącą się szatą,
I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada;
Bo myślały że jestem kozioł, wódz ich stada,
Co mu rogi w tak długie piętrzą się ramiona,
Że wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,
Albo niemi do skały przyczepia się szczytu,
I wisi jako ptaszek w otchłani błękitu.

OBJAŚNIENIA.

Szanfary, jeden z najślawniejszych przed Mohammedem rycerzy czyli farysów arabskich, wojownik i poeta, był s pokolenia Asd. Obrażony przez rycerzy s pokolenia Salaman, wzywał swoich aby mu dopomogli zemścić się krzywdy! Nie otrzymawszy wsparcia, Szanfary opuścił swe pokolenie i napisał niniejszą kasydę, (powieść) wyrzucając rodakom ich zniewieściałość i niewdzięczność. Udał się sam na wojnę i poprzysiągł póty nie złożyć oręża, póki nie zabije stu farysów s pokolenia Salaman. Już był ich zabił 99, gdy wpadłszy w zasadzkę Salamanów sam zginął. Głowa jego walła się w koczowisku i gdy jeden s farysów trącił ją nogą, tak mocno skaleczył się o kość czaszki, że wkrótce ży-

cie utracił i dopełnił liczby stu zaprzysiężonej przez Szanfarego.

Tę kasydę tłómaczyłem s francuskiego, przekładu P. de Sacy. Później miałem sobie udzielone od P. Sękowskiego, tłómaczenie polskie dosłowne, z obszernym uczonym komentarzem. Korzystając s téj nowéj pomocy, starałem się text mego przekładu, ile możności poprawić. S komentarza P. Sękowskiego umieszczam kilka przypisów, oświadczając uczonemu mężowi wdzięczność za jego przysługę.

Postawcie wielblądy na nogi w oryg: podnieście piersi wielblądów.

Wielblądy kładą się na ziemi zginając pod siebie nogi. Kiedy karawana ma ruszyć, człowiek siada na siodło, i ciągnąc wodze podnosi wielbląda.

Brew umalować.

Arabowie nacierają powieki pewną farbą brunatną, zwaną *kohl*, co u nich za wielką poczytują ozdobę.

Czy mię kiedy noc zbląka.

W pustyni kierują się podróżni po gwiazdach. Beduini kładą w rzędzie celnych przymiotów ryce-rza, trafność jechania w dzień i w nocy.

Jak strzały we wróżka prawicy.

Dawni Arabowie poganie mieli w świątyni Mek-kańskiej strzały wyroczone *zalum*, z których rozmaitego mieszania wrózano o przyszłości.

Jak płaczące farysa małżonki lub córki.

Kiedy arab zginie na wojnie, żony jego i krewne wychodzą na bliskie wzgórze, płaczą, jęczą i wrzaskliwie narzekając, zaklinają jeźdźców swego poko-lenia ażeby zemścili się jego zgonu.

Pułstrusi.

W oryginale jest tu mowa nie o strusiah, ael o ptastwie zwaném *Katho*, wielkości kruka. W poe-zyi arabskiej często znajdujemy wzmiankę o tém ptastwie, przelatującym stadami pustynie Arabii. Farys powinien znać położenia źródeł w pustyni, ażeby wiedział gdzie ma popasać.

Boleści podzieliły losem moje ciało.

Przenośnia wzięta ze zwyczaju Arabów, którzy zabiwszy wielbłąda, losem ciągną jaka część komu się dostanie.

Diw, znaczy duch, geniusz: Wyraz polski *dziw*, zdaniem P. Sękowskiego, pochodzi s perskiego i musiał dawniej toż samo mieć znaczenie.

A włos mój brudu pełny.

Szafary przysiągł zemścić się na pokoleniu Salaman. Arab po takiej przysiędze nie umywa się, nie strzyże i nie zaczesywa włosów, nie zmienia odzieży i nie pije wina, dopóki zemście zadosyć nie uczyni.

Bo myślały że jestem kozioł.

W oryginale: „myślały że jestem z rodu kozłów“ Tu następuje ich opisanie. Mowa tu zapewne o gatunku kóz dzikich, *Antilope rupicapra*, (Chamois.)



SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE CZWARTYM.



KSIĘGA VII.

R A D A.

	<i>Str.</i>
Zbawienne rady Bartka zwanego Prusak.—Głos żołnierski Maćka Chrzeciela.—Głos polityczny Pana Buchmana.—Jankiel radzi ku zgodzie, którą Scyzoryk rościna.—Rzecz Gerwazego, s której okazują się wielkie skutki wymowy sejmowej.—Protestacya starego Maćka.—Nagłe przybycie posiłków wojennych zrywa naradę.—Hejże na Soplice!.....	1

KSIĘGA VIII.

Z A J A Z D.

Astronomia Wojskiego.—Uwaga Podkomorzego nad kometami.—Tajemnicza scena w pokoju Sędziego.—Tadeusz chcąc zręcznie wypłatać się, wpada w wielkie kłopoty.—Nowa Dydo.—Zajazd.—Ostatnia woźnieńska protestacya.—Hrabia zdobywa Soplicowo.—Szturm i rzeź.—Gerwazy piwniczym.—Uczta Zajazdowa.....	31
---	----

KSIEGA IX.

B I T W A.

O niebezpieczeństwach wynikających z nieporządnego obowozowania.—Odsiecz niespodziana.—Smutne położenie Szlachty.—Odwiedziny Kwestarskie są wróżbą ratunku.—Major Płut zbytnią zalotnością ściąga na siebie burzę.—Wystrzał s krucicy, hasło boju. — Czyny Kropiciela, czyny i niebezpieczeństwa Maćka.—Konewka zasadzką ocala Soplicowo.—Posiłki jezdne, atak na piechotę. — Czyny Tadeusza.—Pojedynek dowódców przerwany zdradą.—Wojski stanowczym manewrem przechyla szalę boju. — Czyny krwawe Gerwazego. — Podkomorzy zwycięzca wspañiałomyślny.	Str. 75
--	------------

KSIEGA X.

EMIGRACYA. JACEK.

Narada tycząca się zabezpieczenia losu zwycięzców.—Układy z Rykowem.—Pożegnanie.—Ważne odkrycie.—Nadzieja.	115
Przypisy do księgi dziesiątej. „WARJANTY.“.....	161

KSIEGA XI.

R O K 1812.

Wróżby wiosenne.—Wkroczenie wojsk. — Nabożeństwo.—Rehabilitacya urzędowa ś. p. Jacka Soplicy.— Z rozmów

Gerwazego i Protazego wnosić można bliski koniec procesu.—Umizgi ułana z dziewczyną.—Rostrzyga się spór o Kusego i Sokoła. — Zaczém goście zgromadzają się na biesiadę. — Przedstawienie wodzom par narzeczonych.... 165 Str.

KSIĘGA XII.

KOCHAJMY SIĘ.

Ostatnia Uczta staropolska. — Arcy-serwis. — objaśnienie jego figur.—Jego ruchy.—Dąbrowski udarowany.—Jeszcze o Scyzoryku. — Kniaziwicz udarowany. — Pierwszy akt urzędowy Tadeusza przy objęciu dziedzictwa. — Uwagi Gerwazego.—Koncert nad koncertami.—Polonez.—Kochajmy się!.....	201
Przypisy do księgi dwunastój „WARJANTY”.....	245
Objaśnienia.....	247

KORYBUT KSIĄŻE NOWOGRODKA.

Korybut Książę Nowogrodka. Poema z dziejów Litewskich..	255
---	-----

SZANFARY.

Szanfary. Kasyda z Arabskiego.....	271
Objaśnienia.....	279

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY







Biblioteka WSP Kielce



0227431